

# Wilkołak-Czarny księżyc

Steve Feasy



calibre 0.9.27

STEVE FEASEY

„WILKOŁAK. CZARNY KSIEŻYC.”

Miejsce:

Luksusowy apartament w Docklands, Londyn. Siedziba Charron Industrial Inc. - globalnego imperium zajmującego się walką z mocami Otchłani

Czas:

Wiosna. Pięć miesięcy po tym, jak czternastoletni Trey Laporte odkrył, że jest wilkołakiem

Postacie:

Lucien Charon - wampir

Alexa Charon - córka wyżej wymienionego; czarodziejka

Trey Laporte - wcześniej zwyczajny nastolatek; ostatni wilkołak czystej krwi Tom O'Callahan - człowiek; twardy facet, który potrafi dopiąć swego

Czarny charakter:

Kaliban

- zły wampir, brat Luciena Charrona; krwiożercza bestia żądna zniszczenia

Misja:

Czytaj dalej...

Lucien Charron leżał na łóżku z wysokim wezgłowiem w swoim mieszkaniu w Docklands. Mętne światło wczesnego poranka wpadające przez okno sprawiało, że wnętrze pokoju wydawało się ponure i nieprzyjemne. Białe prześcieradła, którymi przykryto wampira, idealnie naciągnięte na brzegach, wznosiły się i opadały na wypukłościach i wklęsłościach jego ciała, tworząc śnieżnobiały krajobraz. Można było pomyśleć, że blada i nieruchoma istota nie żyje - jej skóra przybrała barwę pumeksu, a esencja istnienia, którą wyczuwa się instynktownie, niemal całkiem znikła. I tylko liczne urządzenia oraz monitory mrugające i wydające ciche dźwięki, ustawione po drugiej stronie łóżka, sugerowały, że Lucien wciąż się broni przed nieuchronnym końcem zwiastowanym przez lekarzy.

W ciągu pięciu miesięcy, podczas których Lucien pozostawał w tym stanie, obudził się tylko raz - kilka tygodni po tym, jak wyratował swoją córkę z rąk złego wampira Kalibana. Ale nawet wtedy odzyskał przytomność zaledwie na kilka chwil, wypytując o zdrowie córki i o szczegóły starcia z Kalibanem. Na wieść o zwycięstwie znowu zapadł się w ciemność i pogрузzył w śpiączce. Nie wiadomo było, czy się kiedykolwiek z niej wybudzi.

Lekarz zerknął na pacjenta znad karty i zapisał wskazania monitorów, które wciąż pozostawały niezmiennie. Powiesił tabliczkę z kartą w nogach łóżka i odwrócił się do trojga ludzi, którzy, zgromadzeni przy drzwiach, wpatrywali się w niego z nadzieją i niepokojem.

- Niestety, poprawa nie nastąpiła - oznajmił im. - Jak już mówiłem państwu w zeszłym tygodniu, wygląda na to, że płuca po operacji odzyskały niemal

pełną wydolność, a obrażenia w piersi i na plecach, powstałe w wyniku wbicia kołka, zagoiły się lepiej, niż się spodziewaliśmy. Jeśli zaś chodzi o ranę po ugryzieniu - pokręcił głową i spojrzał na opatrunek zakrywający zaognione miejsce - żadne leczenie nie skutkuje. Obawiam się, że infekcja tylko się nasila. Lucien został ugryziony, gdy śmignął między córkę a Kalibana dokładnie w momencie, kiedy jego zły brat próbował zabić dziewczynę. Ogromne kły, które miały przebić szyję niewinnej ofiary, zanurzyły się w barku wampira. Przeżył tylko dlatego, że młody wilkołak, Trey Laporte, zaatakował Kalibana i udaremnił jego atak.

To właśnie rana na barku Luciena nie chciała się zabiżnić. Te „normalne” goiły się znacznie szybciej. Dzięki niezwykłym zdolnościom regeneracji wampiry i inne stworzenia z Otchłani pozostawały niemal całkowicie odporne na obrażenia zadane przez ludzi lub zwierzęta z tego świata, za to rany odniesione w walce z innymi istotami cienia jątrzyły się i często powodowały śmierć. Lekarz uniósł opatrunek. Miejsce ugryzienia wciąż nie chciało się zasklepić, a czerwone zagłębienia wypełniała kwaśno pachnąca ropa, wciąż obecna pomimo ogromnych ilości zaaplikowanych antybiotyków. Skóra wokół obszarów przebitych zębami była sina i ściągnięta, przez co rana wciąż wyglądała na świeżą, choć upłynęło już sporo czasu. Skaleczenie cuchnęło zgnilizną, która powoli atakowała całe ciało - infekcja ochoczo pożerała żywiciela.

- Zakażenie przeniknęło do krwi i nie poddaje się leczeniu - powiedział. -

Obawiam się, że organizm pacjenta przestaje walczyć. Sytuacja jest bardzo zła.

Stracimy Luciena, jeśli nie znajdziemy sposobu na powstrzymanie

infekcji.

Troje pobladłych i spiętych ludzi wpatrywało się w niego. Groźnie wyglądający mężczyzna z twarzą oszpeconą blizną, wysoki chudy nastolatek oraz dziewczyna o ładnych rysach i kruczoczarnych włosach - wszyscy troje pragnęli usłyszeć od lekarza coś, co dałoby im choćby cień nadziei.

- Ile czasu zostało ojcu? - zapytała Alexa niepewnym głosem.

- Trudno powiedzieć, panno Charron. Szczerze mówiąc, jesteście zdumieni, że wciąż żyje, dlatego nie umiem określić, jak długo jeszcze będzie walczył. Nie wiemy, jak mu pomóc. Będziemy się starali służyć pani ojcu najlepiej, jak potrafimy, ale musi się pani przygotować na najgorsze.

Tom, wysoki Irlandczyk, podszedł do niego i uściśnął mu rękę.

- Dziękuję ci, Howardzie - powiedział, przerywając ciszę, jaka nastąpiła po słowach doktora. - Doceniamy wysiłki twoje i twoich ludzi. - Łagodnie skierował lekarza w stronę drzwi i wyszedł za nim, zostawiając w pokoju Alexę i Treya.

- Wszystko w porządku? - odezwał się Trey, kiedy cisza stała się nie do zniesienia.

- Nie za bardzo - odparła dziewczyna. Zebrała siły, by wykrzesać z siebie słaby uśmiech.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytał, spoglądając to na przyjaciółkę, to na swojego opiekuna spoczywającego na łóżku. Czuł się zupełnie bezradny.

- Nie, ale dzięki, Treyu. Chciałabym tylko zostać sama z tatą, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Odpowiedział skinieniem głowy i wyszedł z sali. Oparł się plecami o drzwi i

zamknął oczy. Starał się jeszcze raz przywołać w myślach słowa lekarza. Po chwili westchnął i spojrzał przed siebie. Przez moment wodził wzrokiem po luksusowo urządzonym penthousie - patrzył na eleganckie meble, dzieła sztuki, gobeliny na ścianach oraz rozmaite technologiczne gadżety i sprzęt. Takie ekskluzywne wnętrza prezentowano w programie telewizyjnym o domach bogatych i znanych ludzi. A przecież mieszkanie stanowiło zaledwie niewielką część imperium, które Lucien Charron zbudował przez lata, imperium, którego celem było zniszczenie złych mocy Otchłani i ochrona ludzkości przed jej mieszkańcami. Całe to przedsięwzięcie funkcjonowało tylko dzięki Lucienowi i Trey nawet nie próbował sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby jego opiekun nie mógł już poprowadzić innych do walki. Na razie Tom i Alexa zajmowali się wszystkim najlepiej, jak umieli, lecz Trey podejrzewał, że było to możliwe tylko dlatego, że Kaliban gdzieś się zaszył. Pan Otchłani nie pojawił się od chwili ich powrotu z Amsterdamu. Nieobecność władcy wampirów napawała chłopaka nikłą nadzieją, że może Kaliban zginął - Trey odgryzł mu rękę, ratując Alexę - choć w rzeczywistości w to nie wierzył. Niełatwo zabić wampira; Lucien był tego najlepszym przykładem. Nie, Kaliban celowo się nie odzywał, a to nie wróżyło niczego dobrego - z pewnością planował coś dużego. A oni właśnie musieli go namierzyć; Lucien mógł przeżyć, tylko pod warunkiem, że udałoby im się odnaleźć Kalibana.

Trey kiwnął głową, potakując własnym myślom, i ruszył w stronę windy. Zamierzał zjechać na niższe piętro, gdzie znajdowały się pomieszczenia badawcze.

Alexa przysiadła obok łóżka i wzięła ojca za rękę, z trudem powstrzymując

lzy. Pochyliła się i wyszeptała do Luciena:

- Nie słuchaj ich, tato. Właśnie, że można coś dla ciebie zrobić. Pracujemy nad tym razem z Treyem i Tomem. Tak więc... wytrzymaj jeszcze trochę, dobrze? Słyszysz mnie? Nie poddawaj się, proszę!

Przesunęła dłonią po jego gładkiej głowie, tak samo jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką i siedziała na kolanach ojca, wsłuchana w jego opowieści o tym, co widział podczas swojego długiego życia. Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze był łysy, nie potrafiła wyobrazić go sobie z włosami. Pochyliła się i pocałowała ojca w chłodny policzek, a potem położyła na prześcieradle jego dłoń, którą przez cały czas ścisłała.

Nie zdziwiła się, gdy tuż za drzwiami zobaczyła czekającego na nią Treya. Skinęła mu głową i uśmiechnęła się smutno. Została im już tylko jedna możliwość. Zamierzali ukraść Kulę Mynora - bardzo stary przedmiot mający niewiarygodną moc uzdrawiania. Jednakże, aby ją zdobyć, muszą udać się do Otchłani i zabrać Kulę sprzed nosa Gwendolinie, bezwzględnej matce Alexy, najpotężniejszej czarodziejce wśród istot cienia.

Jeżeli im się nie powiedzie, Lucien umrze.

- No proszę, oto i on - powiedział Tom z wyraźnym irlandzkim akcentem, gdy rankiem następnego dnia Trey ciężkim krokiem wszedł do kuchni. -

Zastanawiałem się, czy cię nie zbudzić z orzeźwiającego snu - rozumiesz, twoje urodziny i tak dalej - lecz wiedząc, jak nieprzyzwoicie długo lubisz się wylegiwać, wolałem poczekać, aż sam wstaniesz, kiedy burczenie brzucha okaże się nie do zniesienia.

Trey zmrużył oczy osłepiony jasnym światłem dnia, które wlewało się przez okna, i przywitał Alexę skinieniem głowy; siedziała przy kuchennym stole, na którym złożono nieduży stos prezentów i kopert. Na środku pokoju wisiał transparent z napisem wyszytym srebrną i niebieską nitką na czarnym tle:

„Wszystkiego najlepszego z okazji 15. urodzin”.

- Skąd wiedzieliście, że dziś są moje urodziny? - zapytał Trey. Usiadł naprzeciwko Alexy i nalał sobie soku pomarańczowego. - Przecież nikomu o tym nie mówiłem.

- Żartujesz? - rzuciła. - Myślałeś, że utrzymasz to w tajemnicy?

- W takim razie skąd wiecie?

- Tata zaznaczył to w swoim kalendarzu. Tom ma dostęp do wszystkich jego plików i zgadnij, jaka przypominajka wyświetliła się trzy dni temu? „Nikomu nie mówiłem, że są moje urodziny” - też coś! Ale z ciebie naiwniak, Treyu!

- Po prostu nigdy specjalnie nie obchodziłem urodzin. W domu dziecka dostawało się kartkę z życzeniami podpisaną przez cały personel i wszystkie dzieciaki, tort oraz kilka funciaków dodatkowego kieszonkowego. Nic wielkiego.



- Za to teraz jest inaczej - rzekł Tom, podchodząc do chłopaka. - Proszę, to ode mnie. - Wskazał największy pakunek i kiwnął głową, sugerując, by Trey otworzył go jako pierwszy.

Solenizant popatrzył na wysokiego Irlandczyka o surowym spojrzeniu i sięgnął po prezent; podrzucił go w rękę, jakby na podstawie samego ciężaru potrafił odgadnąć, co to może być. Przyjrzał mu się uważniej: coś o długości mniej więcej metra, dość ciężkie.

- Och, na miłość boską! Otworzysz to cholerstwo czy też będziesz tak siedział i gapił się przez cały dzień? - Tom podszedł i usiadł obok Treya; jego pełna wyczekiwania twarz, oszpecona brzydką blizną, wydawała się jeszcze straszniejsza niż zwykle.

Spoglądając na zmienione rysy Irlandczyka, chłopak pomyślał, że w tej chwili jego towarzysz w ogóle nie przypomina człowieka, który był prawą ręką Luciena – trzeba przyznać, że silną ręką. Tom to wojownik, twardy jak stal. Zawsze stał u boku wampira w najtrudniejszych sytuacjach, uzbrojony po zęby, obwieszony bronią i materiałami wybuchowymi - a teraz zachowywał się jak dziecko w bożonarodzeniowy poranek.

Trey, poirytowany, wypuścił powietrze i szarpnął za czerwoną wstążkę, którą obwiązane było opakowanie. Potem rozerwał papier i spojrzał zdumiony na płócienną torbę zamykaną na zamek. Kiedy pociągnął za suwak, zobaczył broń. Szybko zamknął torbę, jakby się bał, że zawartość z niej wyskoczy, i spojrzał na Irlandczyka.

- To strzelba - powiedział, nie kryjąc przerażenia.

- Trafne spostrzeżenie - odparł Tom. - Marlin model 60, jeśli chodzi o

ściśłość. To nie wszystko... - dodał i wyjął z tylnej kieszeni niedużą kopertę, którą wręczył Treyowi. - Wykupiłem ci roczne członkostwo w klubie strzeleckim Marylebone. Zajrzemy tam później i spróbujesz swoich sił, co? Zaczniemy razem, ale po paru miesiącach będziesz mógł już ćwiczyć sam, kiedy tylko zechcesz.

Trey ponownie spojrzął z niedowierzaniem na strzelbę z drewna i metalu, spoczywającą w miękkim płóciennym wnętrzu. Po chwili szybko zasunął zamek torby, zorientował się bowiem, że Tom siedzi pochylony do przodu, oczekując jego reakcji na prezent. Chłopak ułożył usta w szeroki głupawy uśmiech i kiwnął głową, by wyrazić swoją aprobatę.

- Fantastyczny prezent, Tom. Bardzo ci dziękuję. Tylko że ja nie...

- Widziałem, jak cię rajcowały strzelby i cały nasz ekwipunek, który zabraliśmy ze sobą do Holandii po obecną tu piękną Alexę. Tak więc kiedy się dowiedziałem, że masz urodziny, postanowiłem, że kupię ci coś takiego.

Pomyślałem, że ci się spodoba.

Trey nie wyobrażał sobie, by dobrowolnie wziął do ręki strzelbę, dlatego wciąż nie mógł uwierzyć, że przyjaciel zadał sobie tyle trudu, aby kupić mu coś takiego. Położył torbę na podłodze przy swoim krześle i jeszcze raz kiwnął głową. Miał nadzieję, że Tom nie dostrzeże jego konsternacji. Irlandczyk zawsze traktował Treya bardzo uprzejmie, a chłopak odczuwał ogromną wdzięczność za wszystko, co dla niego zrobił od czasu, gdy Lucien wziął go pod swoje opiekuńcze skrzydła. Z drugiej strony wciąż był nieco zdenerwowany w obecności Toma, ponieważ wyczuwał bezwzględność drzemącą tuż pod skórą tego twardego mężczyzny.

- Pokaż mi, że się cieszysz, Treyu. Strasznie się zapalił do tego pomysłu.

Próbowałam mu to wyperswadować, ale mnie nie posłuchał. - Głos Alexy zabrzmiał bezpośrednio w jego głowie, gdyż uaktywniła telepatyczny przekaz, którym posługiwała się w podobnych sytuacjach. Kiedy spojrzał na nią, zobaczył, że uśmiecha się do niego rozbawiona.

- A to ode mnie - powiedziała i podała mu o wiele mniejszy przedmiot, który wyglądał tak, jakby zapakował go ekspert od origami.

Trey wziął od dziewczyny prezent i ostrożnie rozerwał papier. Książka.

Oprawiona w skórę szorstką w dotyku jak drobnoziarnisty papier ścierny. Gdy spróbował ją otworzyć, Alexa powstrzymała go gestem dłoni.

- Zaczekałabym z tym - doradziła.

- Dlaczego? - zapytał, obrzucając ją podejrzliwym spojrzeniem.

- To księga zaklęć. Większość z nich jest absolutnie bezpieczna - dodała szybko i uniosła dłoń, by powstrzymać jego komentarz. - Ale niektóre lubią zaskakiwać, szczególnie jeśli nie jest się na nie przygotowanym.

Trey bardzo chciał wrócić do łóżka. Niespodziewanie poczuł, że podpisana przez wszystkich kartka z życzeniami i czekoladowy tort bardziej mu się podobały niż prezenty, jakie otrzymał tego ranka. Tom podarował mu śmiertcioną broń, od Alexy zaś dostał książkę, która mogła pozbawić go życia, gdyby otworzył ją bez fachowej instrukcji.

- Dzięki - powiedział. - Obojgu wam bardzo dziękuję. To bardzo... miłe z waszej strony.

- Jest jeszcze coś - odezwała się dziewczyna. - Oczywiście mój ojciec nie może dać ci tego osobiście, ale wiem, że takie byłoby jego życzenie.

Podarła chłopakowi kolejny prezent. Zerknął tylko i posłał jej pytające spojrzenie.

Odpowiedziała smutnym uśmiechem.

- W porządku. To można bez obaw rozpakować.

Była to fotografia oprawiona w srebrną ramkę. Na brzegu dużego jeziora, na tle ściany gęstego lasu, stali jego rodzice. Śmiali się odwróceniem twarzami do obiektywu aparatu, jakby fotograf opowiedział właśnie jakiś świetny żart. Obok ojca Treya stał mężczyzna, którego chłopak nigdy wcześniej nie widział.

Oddychał głęboko, starając się zapanować nad emocjami. W dniu, w którym zrobiono to zdjęcie, musiało być ciepło, bo ojciec miał rozpiętą pod szyją koszulkę. Dzięki temu widać było łańcuszek na jego szyi. Trey odruchowo pomacał przez koszulkę srebrny amulet, który należał do jego ojca. Otrzymał go od Luciena podczas ich pierwszego spotkania w domu dziecka. Wreszcie podniósł wzrok i podziękował skinieniem głowy.

- Kim jest mężczyzna ze zdjęcia? - zapytał i wskazał głową fotografię, która wciąż leżała na jego kolanach.

- Nie wiem, ale ojciec będzie wiedział. On... - urwała.

- Chodź, Treyu - odezwał się głośno Tom, przerywając niezręczną ciszę. -

Pani Magilton usmażyła naleśniki z jagodami, twoje ulubione, a ja zaparzę ci dobrej herbaty. Potem weźmiemy tę twoją pukawkę i zejdziemy na dół na strzelnicę, gdzie udzielę ci pierwszej lekcji.

- Dzisiaj jest dzień pana Allena. Muszę tu być, kiedy przyjdzie -

odpowiedział szybko Trey, naprędce szukając wymówki.

Pan Allen uczył Treya. Był to dziwny drobny mężczyzna ze zmierzwioną

brodą, która sięgała mu prawie do pasa, co upodabniało go do karła.

Zatrudniono go, kiedy zapadła decyzja, że Trey i Alexa powinni uczyć się w domu, czemu dziewczyna bardzo się sprzeciwiała. Zgodziła się, dopiero gdy Tom przypomniał, na jakie niebezpieczeństwa zostali narażeni po jej porwaniu.

- Ach, dzisiejsza lekcja została odwołana - odparł Tom i puścił do niego oko.

- Wszystko załatwiłem. Masz wolny dzień, w końcu to twoje urodziny. Tak więc zetrzyj z twarzy tę udręczoną minę i ruszaj za mną. Naleśniki z jagodami i próbne strzelanie - to jest życie!

Strzelnica znajdowała się niedaleko Docklands, dzielnicy, w której mieszkali, dlatego Trey zasugerował, żeby pójść pieszo. Wolał jak najpóźniej dotrzeć na miejsce.

- Nie podoba mi się pomysł spacerowania po Londynie ze strzelbą w rękę - odpowiedział Tom, po czym skontaktował się z jednym ze swoich ludzi i polecił mu, żeby zawiózł ich samochodem. - Wiesz, im szybciej tam dotrzemy, tym więcej czasu zostanie na strzelanie.

Trey rzucił okiem na Alexę, która siedziała na sofie i przysłuchiwała się rozmowie, uśmiechając się złośliwie.

- Ciebie pewnie to śmieszy - syknął do niej, gdy Tom wyszedł gdzieś na chwilę.

- Daj spokój. Po prostu jedź tam z nim i przekonaj się, jak ci pójdzie. Kto wie? Może to polubisz?

Trey pokręcił głową i spojrzał na futerał ze strzelbą, który Irlandczyk położył przy windzie.

- Wątpię - mruknął i zrezygnowany poszedł do swojego pokoju po kurtkę.

W drodze do strzelnicy, usadowiony na tylnym siedzeniu samochodu, próbował wymyślić kolejne argumenty, które mógłby przedstawić Tomowi, by go przekonać, że nie chce strzelać. Bał się broni. Kiedy zatrzymali się przed klubem, otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz gdy popatrzył na rozpromienionego Irlandczyka, uznał, że warto poświęcić popołudnie, aby sprawić przyjacielowi przyjemność. Uśmiechnął się z nadzieją, że skutecznie ukryje swój niepokój.

Przez niewielkie drzwi weszli do holu, gdzie Tom wsunął kartę do czytnika i wklepał kod. Buczenie, podobne do brzęczenia rozgniewanej osy uwięzionej w puszcze, oznajmiło, że drzwi są otwarte, ruszyli więc krótkim, słabo oświetlonym korytarzem. Na jego końcu, przy dużej korkowej tablicy, gdzie zawieszono liczne ogłoszenia i tabele z wynikami zawodów, przywitał ich uśmiechnięty mężczyzna w średnim wieku, który przedstawił się jako David Rampton, sekretarz klubu.

- Miło mi cię poznać, Treyu - powiedział pan Rampton, ściskając dłoń chłopaka. - Oprowadzę cię, a potem porozmawiamy o zasadach bezpieczeństwa. Później zostawię cię w rękach Toma, żebyś mógł wypróbować swoją wspaniałą nowiutką strzelbę. Jestem pewien, że miło spędzisz tu czas, no i wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Po okrutnie długim wykładzie dotyczącym zasad bezpieczeństwa Tom i Trey zeszli do strzelnicy, zabierając po drodze zapas amunicji. Nikogo tam nie zastali. Irlandczyk wyjaśnił, że jest to jego ulubiona pora, ponieważ wtedy przychodzi mało ludzi i można spokojnie zająć się sobą. Wybrali jedno ze środkowych stanowisk, a torby i okrycia zostawili pod niedużym stołem umieszczonym z tyłu. Wysokie ściany po bokach odgradzały ich od reszty sali, tak więc Trey spoglądał tylko przed siebie. Tom otworzył torbę i położył broń na stole między nimi. Po raz kolejny opisał, jak działa strzelba, a potem kazał chłopakowi wykonywać te same ruchy, kilkakrotnie, aż zaboląły go ręce. Po godzinie poklepał przyjaciela po plecach i sięgnął po pudełko z amunicją.

- No dobrze, młodzieńcze - rzekł, odkładając pudełko na półkę - myślisz, że jesteś gotowy do pierwszej próby?

Trey westchnął. Już poprzednio, gdy trzymał w rękach nie nabitą strzelbę, czuł się nieswojo, a teraz wręcz przeraziła go świadomość, że ma w magazynku nabój.

- Nie wiem, Tom. Trochę się boję.

- To dobrze - odparł Irlandczyk. - Dobrze, że się boisz, bo jest czego. Strzela się w jednym i tylko w jednym celu: żeby zabić. Tylko do tego służą strzelby.

Mimo to każdego tygodnia więcej osób ginie od noża niż od broni palnej.

Karabiny same nie zabijają, robią to ludzie. - Spojrzał na Treya i uśmiechnął się ciepło. - Wiem, że nie należysz do tych świrów, którzy traktują takie rzeczy jak

zabawki. Ale jeśli spróbujesz i zrobisz wszystko zgodnie z moimi poleceniami, to z pewnością nie będziesz żałował.

- W porządku. - Trey kiwnął głową.

Tom załadował dziesięć naboju do magazynka strzelby, a potem wsunął go na miejsce i zabezpieczył broń. Podał ją chłopakowi.

-Odciągnij blokadę, tak jak ćwiczyliśmy, i możesz spróbować.

Trey spojrział na Irlandczyka, a ten zachęcił go ruchem głowy. Przyłożył broń do ramienia i skierował lufę do celu. Tom przyciskiem uruchomił wyciąg, który odsunął tarczę, i zatrzymał ją na wysokości znaku dziesięciu metrów.

- Wszystko gra, możemy zaczynać. Później zwiększymy odległość, jak już się trochę wprawisz. - Podeszedł do Treya i podał mu ochronne słuchawki i okulary. Położył dłonie na ramionach chłopaka i delikatnie ułożył je w pozycji strzeleckiej.

- Unieś broń, tak jak ćwiczyliśmy. Odbezpiecz, nakieruj celownik i delikatnie naciśnij spust - poinstruował chłopaka po raz ostatni, po czym nałożył mu słuchawki na uszy i podniósł kciuki w zachęcającym geście.



Trey, bardzo zestresowany, wycelował w tarczę; wąziutka strużka potu przemierzyła jego policzek, skręciła przy ustach i pospiesznie spłynęła z podbródka. Odbezpieczył strzelbę, ale ręce tak bardzo mu drżały, że lufa odchyłała się na wszystkie strony, przez co trudno mu było wycelować w dużą czarno-białą tarczę. Po chwili wziął głęboki oddech, uspokoił dłonie i delikatnie nacisnął spust.

Wystrzał okazał się głośny, mimo osłony na uszy, a broń uderzyła go w ramię. Trey spodziewał się silniejszego odrzutu i zdziwił go brak dymu.

Zadrzał, a jego serce zabiło mocniej, pobudzone adrenaliną, gdyż w pełni uświadomił sobie, że właśnie zapanował nad mocą. Wyczuwszy, że Tom podszedł do niego z tyłu, przypomniał sobie kolejne punkty instrukcji.

Zabezpieczył broń, sprawdził, czy w magazynku nie został pocisk, i odłożył strzelbę na stół - przez cały czas trzymał ją tak, by lufa była skierowana ku sali.

- Gdy poczuł na ramieniu dłoń przyjaciela, zdjął słuchawki i odwrócił się.

- I jak? - zapytał Tom.

- Fantastycznie! - odparł Trey, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Bardzo mi się podobało, jak się zachowałeś po strzale. Kiedy człowiek jest podkręcony, łatwo zapomnieć o środkach bezpieczeństwa. - Dotknął ramienia chłopaka i obdarzył podopiecznego jednym ze swoich krzywych uśmiechów. -

Próbujemy jeszcze?

- Jak najbardziej - rzekł Trey i sięgnął po broń.

Trey już wcześniej odsunął tarczę na maksymalną odległość dwudziestu pięciu metrów, a teraz skoncentrował się na celowaniu, wystrzeliwując kolejne pociski. Po każdym sześciu strzałach guzikiem uruchamiał wyciąg i wpatrywał się w dużą tarczę, która podjeżdżała zawieszona na drutach.

Sprawdzał, ile nabojów trafiło w czarny środek, ile weszło w białe koła, a ile w ogóle nie dotarło do celu. Potem porównywał wynik z poprzednim, zakładał nową tarczę i odsuwał ją na sam koniec.

W strzelnicy wciąż nie było nikogo poza nimi. Tom trzymał się z tyłu, pomagał mu załadować broń i zachęcał pochwałami po wyjątkowo udanych strzałach. Trey dość szybko zużył całe opakowanie nabojów. Czuł zmęczenie rąk, szczególnie prawa była obolała z powodu odrzutu strzelby. Położył broń na stole, by rozmasować mięśnie przedramion, napięte i podatne na skurcze.

- Wystarczy jak na pierwszy raz? - zapytał Irlandczyk.

Trey odpowiedział uśmiechem.

- To było fantastyczne, Tom. Dzięki. Nie sądziłem, że w ogóle polubię strzelanie, ale to chyba jest bardzo zaraźliwe, prawda?

- Cieszę się, że się dobrze bawiłeś. Muszę przyznać, że masz do tego dryg.

Szybko załapałeś. Jestem pod wrażeniem. Jeśli będziesz ćwiczył regularnie, to wystawimy cię do zawodów w twojej grupie wiekowej. A teraz już to zabiorę

- dodał i sięgnął po broń, sprawdzając, czy nie jest naładowana. - Zostawimy

ją na stojaku przy mojej. Następnym razem dostaniesz własne stanowisko. -

Odwrócił się, lecz zanim odszedł, zapytał: - Mogę cię zostawić samego na

kilka minut? Chcę porozmawiać o czymś z Davidem. Niedługo wrócę.

- Jasne - odparł Trey. - I tak zamierzałem sprawdzić ostatnią tarczę.

Tom skinął głową i wyszedł, zabierając ze sobą strzelbę Treya.

Chłopak odwrócił się i otworzył butelkę, rozkoszując się chłodną wodą, która popłynęła przez jego wyschnięte gardło. Powąchał dłonie, zdziwiony kwaśnym zapachem, jaki pozostawiła na nich broń, a potem uśmiechnął się na wspomnienie tego, co poczuł po oddaniu pierwszego strzału.

Zerknął na tarczę wiszącą jeszcze na końcu strzelnicy i już miał uruchomić mechanizm, kiedy zatrzymał palec nad małym zielonym guzikiem. Wyteżył wzrok, patrząc przez żółte szkła okularów ochronnych na białe-czarne kręgi na płaszczyźnie tarczy. Gdy zauważył, że tarcza się odkształciła, pomyślał, że to tylko złudzenie, gra światła: linie kręgów wygięły się na papierze, a czarny środek wybrzuszył się, drgając, jakby chciał się wyrwać z białej powierzchni. Tarcza powiększyła się niemal dwukrotnie i wciąż rosła.

Trey poczuł, że jego serce zabiło gwałtownie; nawet nie zauważył, że plastikowa butelka wysunęła się z jego dłoni i woda rozlała mu się na stopy i zakurzoną betonową podłogę. Chciał krzyknąć, zawiadomić kogoś o tym, co się dzieje, lecz zdołał tylko wydobyć z siebie ciche skrzeczenie, które i tak uwięzło mu w gardle.

Tarcza znowu się powiększyła, teraz co najmniej o metr, i wciąż się rozszerzała we wszystkie strony, przyjmując nowy kształt. Dało się dostrzec zarys ludzkiej sylwetki, głowy i ramion rozciągających ją od wewnątrz tak, jakby postać chciała się przedrzeć na drugą stronę; Trey niemal dostrzegł niewyraźne kontury patrzącej na niego twarzy. Niespodziewanie dłoń

wystrzeliła do przodu, przebijając palcami w poszukiwaniu jakiegoś uchwytu na membranie tarczy rozciągliwej teraz jak guma, tylko że to już nie była tarcza. Trey stwierdził, że musi to być zasłona oddzielająca ten świat od wymiaru, z którego tamta istota próbowała się uwolnić. Chłopak patrzył, jak środek tarczy marszczy się, gdyż stworowi udało się zebrać w dłoń zasłonę; zastanawiał się jednocześnie, jak to możliwe, że tarcza, która znowu powiększyła się dwa razy, wisi jeszcze na podtrzymujących ją uchwytach. Zerknął na drzwi, modląc się, by zobaczyć w nich Toma. Serce tłukło się w jego piersi, a umysł wypełniło kłębowisko myśli, lecz on nie potrafił skupić się na żadnej z nich. Wahał się, jak postąpić. Chciałby po prostu odwrócić się i uciec, lecz poczuł, że stopy mając przyklejone do podłogi, a nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Ujrzał z przerażeniem, że druga dłoń istoty wysuwa się w jego kierunku, rozciągając membranę tarczy niemal na całą długość ramienia, i owija wokół niej. Kształt ręki zarysował się wyraźnie, nie była to jednak naturalna kończyna. Przed Treyem wyrosła jakaś groteskowa proteza - palce zastąpione długimi wyposażonymi w zawiasy szponami, poruszonymi, jak się zdawało, licznymi metalowymi prętami, które wchodziły w ciało nadgarstka. Nagle rozległ się jakiś odgłos - szpon przedarł się przez membranę. Śmignął w powietrzu, kierując się prosto w stronę Treya, a potem się wycofał, próbując powiększyć otwór w zasłonie oddzielającej oba światy, tak by cała istota mogła się z niej wyswobodzić.

Trey zrozumiał, że ma przed sobą portal, który łączył ten świat z Otchłanią, i nie miał wątpliwości, kto próbuje przedostać się na drugą stronę. Kaliban go odnalazł.

Kaliban, wampir odpowiedzialny za zniszczenie wszystkiego, co było drogą Treyowi. Kaliban, przez którego Lucien leżał teraz w śpiączce, walcząc o życie. Kaliban, który zrobi wszystko, żeby podporządkować sobie ludzi i zamienić ich w istoty podobne do bydła, którymi można się żywić do woli. Nagle rozległ się przeraźliwy zgrzyt. Silnik mechanizmu wyciągarki uruchomił się i tarcza zaczęła się przesuwawać w kierunku chłopaka. Trey nacisnął przycisk zatrzymania na panelu kontrolnym, lecz portal nadpływał nieuchronnie, kołysząc się łagodnie pod uchwytami, na których był zawieszony. Chłopak miał się już obejrzeć, by sprawdzić, czy przypadkiem nie wrócił Tom - choć wiedział, że nie wrócił - gdy raptem ujrzał przed sobą twarz wampira. Napierała na membranę i rozciągała ją; wydawało się, że błona zaraz pęknie i uwolni to ohydne oblicze.

Tarcza była jakieś trzy metry przed Treyem. Widział już wyraźnie zęby wystające z górnej szczęki wampira, wyobrażał sobie, jak te niezwykle ostre i śmiertelnie niebezpieczne kły będą rozrywać jego ciało, gdy tylko Kaliban uwolni się z portalu. Zrobił więc jedyne, co mógł: przeistoczył się w wilkołaka i zaatakował.

Tym razem dokonało się to prawie bezboleśnie. Zamiast agonii towarzyszącej wcześniejszym zmianom postaci poczuł krótki paroksyzm bólu podczas mutacji komórek - kości wydłużyły się i pogubiły, a mięśnie poruszające nimi powiększyły swą objętość, gdyż ich włókna pomnożyły się dziesięciokrotnie podczas przemiany w ogromnego człowieka-wilka. Na skórze gwałtownie wyrosły grube i szorstkie włosy, na końcach palców pojawiły się ogromne czarne szpony, a w pysku błysnęły kły. 11 brania

popękały na szwach i opadły na podłogę niczym bezużyteczne szmaty.

Trey skoczył ku zbliżającej się groteskowej postaci, poruszając się na wielkich nogach. Z jego pyska wydobył się przerażający ryk, gdy zaatakował wampira szponami. Czuł, że z portalem coś jest nie w porządku i że właśnie teraz powinien uniemożliwić Kalibanowi uwolnienie się z lepkiej tarczy.

Rozwarł szeroko szczęki i zacisnął zęby na czubku głowy wroga. Wilczą łapą odepchnął od siebie metalowy szpon. Drugą złapał tarczę od góry, starając się ściągnąć ją całą na ziemię - dzięki temu atak byłby łatwiejszy. Cienki drut, na którym przemieszczała się tablica, zerwał się i jej metalowa obudowa runęła z hukiem na podłogę. Trey zatoczył się do tyłu i nieoczekiwanie poczuł, że jego szczęki niczego nie trzymają, a szpony, którymi chwycił wampira, trafiły w pustkę.

Zerwał się na nogi i rozejrzał niespokojnie, pewny, że napastnik śmignął i zaraz ukaże się w innym miejscu, by ponownie zaatakować. Lecz atak nie nastąpił. Ani śladu Kalibana. W pomieszczeniu wciąż dało się słyszeć metaliczny brzęk towarzyszący zawaleniu się wyciągu tarczy. Wampira nigdzie jednak nie było. Jakby w ogóle się nie pojawił. Treyowi udało się więc odpędzić go tam, skąd przybył. Spojrzał na podłogę pokrytą kawałkami drewna, metalu i drutów. W samym środku pobjowiska leżały kawałki drewnianej tablicy z białą-czarną tarczą.

Nagle w drzwiach umieszczonych z tyłu strzelnicy pojawił się Tom.

Stanął i wybałuszył oczy przerażony widokiem ponad dwumetrowego wilkołaka.

- Zmień postać! Szybko! - krzyknął, spoglądając za siebie.

Trey przeistoczył się w momencie, gdy do sali wszedł David Rampton.

Sekretarz klubu patrzył w zdumieniu na nagiego chłopaka w samym środku zrujnowanego stanowiska strzeleckiego.

- Boże... coś ty tu wyrabiał? - zapytał. Mówił wysokim, podniesionym głosem, a jego twarz oblał purpurowy rumieniec.

Trey spojrział na niego, a potem rozejrzał się wokół.

- Bo... powstał pewien problem ze sprzętem. Urządzenie się zacięło, a ja się zdenerwowałem. Bardzo... bardzo przepraszam, panie Rampton. Zapłacę za szkody... przykro mi.

- Ty cholerny chuliganie! Co ty sobie wyobrażasz?! - Zamilkł na moment i skupił spojrzenie na chłopaku. - I, na Boga, dlaczego jesteś nagi?

Trey chwycił kurtkę zawieszoną na oparciu krzesła i owinał się nią w pasie. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego stoi nagusieńki na środku strzelnicy.

- Zrobiło mi się gorąco - powiedział i odwrócił głowę świadomy, że ta odpowiedź zabrzmiała absurdalnie.

Na pomoc przyszedł mu Tom. Czas był już najwyższy, bo rozwścieczony mężczyzna szykował się, aby dać upust złości. Irlandczyk przemówił do kolegi spokojnym Kłosem:

- Widzisz, Davidzie, chłopak ma kłopoty. Ostatnio dużo przeszedł, stąd jego... problemy emocjonalne. Myślałem, że wizyta tutaj pozwoli mu poukładać pewne rzeczy w głowie. Rozumiesz, dyscyplina towarzysząca strzelaniu i tak dalej. Przyjmij, proszę, nasze przeprosiny. Tak jak powiedział

Trey, zapłacimy za wszystko.

Rampton spojrział na Irlandczyka, jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu.

- Zapłacicie, a jakże. Cały ten sprzęt jest wart dużo pieniędzy. Co więcej, będziecie musieli zrekompensować klubowi przestój związany z remontem stanowiska. Jestem zmuszony unieważnić wasze członkostwo w trybie natychmiastowym. Tacy jak ty, młody człowieku - powiedział, mierząc palcem w Treya - nie są tutaj mile widziani. - Ponownie spojrział na Toma. - Zabierzesz swoje rzeczy w ciągu tygodnia, a teraz chcę, żebyście natychmiast opuścili klub.

Irlandczyk otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz ostatecznie przytaknął.

- Dobrze, Davidzie. Już się zmywamy. Chodź, Treju. Idziemy.

Chłopak przeszedł nad płataniną drutów i szczątkami wyciągu. Jeszcze raz przeprosił mężczyznę skinieniem głowy i pozwolił się wyprowadzić.



- Co się stało? - zapytał Tom, gdy tylko ruszył samochód, który po nich przyjechał.

- Pojawił się Kaliban - odparł Trey. - Patrzyłem na tarczę na końcu stanowiska, gdy nagle on wyłonił się z portalu i usiłował do mnie dobrać.

Przepraszam, ale nie miałem innego wyjścia.

Irlandczyk spojrzał na niego i powoli pokręcił głową.

- Nie masz za co przepraszać, chłopcze. Nie powinienem był zostawiać cię samego.

Trey spojrzał przez okno na wieżowce finansowej dzielnicy Londynu.

Kończyła się pora lunchu i pracownicy wracali za biurka, idąc powoli ulicami, by jak najdłużej cieszyć się blaskiem słońca. Zazdrościł im normalnego życia.

Wątpił, by kiedykolwiek zdołał poczuć się tak swobodnie jak oni.

- Próbowałem sobie wmówić, że dał sobie ze mną spokój - rzekł Trey i

pokręcił głową, ganiąc się za własną głupotę. - Przez cały ten czas nie dał znaku życia. Sam mówiłeś, że przepadł i nie można go namierzyć. Dlatego miałem

nadzieję... - Chłopak zamknął oczy, powracając myślami do wydarzenia na

strzelnicy. - Tak już będzie zawsze, prawda? Będę musiał bez przerwy oglądać się przez ramię w obawie przed kolejnym atakiem.

Tom nie odpowiedział od razu i tylko spojrzał na siedzącego obok niego

przyjaciela, a gdy wreszcie się odezwał, mówił łagodnym, ściszym głosem.

- Tak, Treyu. Myślę, że zawsze będziesz musiał mieć się na baczności.

Kaliban nigdy nie da ci spokoju. To znaczy dopóki nie powstrzymamy go raz na zawsze.

Irlandczyk wyciągnął rękę i uściśnął ramię chłopaka.

- Oboje z Alexą będziemy cię osłaniać i znajdziemy sposób na uzdrowienie

Luciena. On będzie wiedział, jak powstrzymać Kalibana.

Spojrzał za okno. Trey patrzył na niego uważnie.

- Moim zdaniem to nie był planowany atak - ciągnął Irlandczyk. - Kaliban

coś knuje, ale bardzo chce to przed nami ukryć. To dlatego nie możemy go

znaleźć. Tymczasem on najwyraźniej nas obserwuje i chyba nie potrafił się

oprzeć pokusie, by cię dopaść. Z tego, co mówisz, wynika, że zbyt szybko

utworzyli portal... albo że Kaliban nie mógł wytrzymać, aż go skończą, i utknął

w przejściu. Miałaś szczęście, choć pewnie tak nie myślisz.

Tom lekko klepnął chłopaka w ramię.

- Może się ubierzesz. - Wskazał ubrania, które polecił kierowcy przywieźć z

apartamentu. Odwrócił się i nucąc coś pod nosem, wyglądał na zewnątrz, by

dać Treyowi choć odrobinę prywatności.

Milczeli przez resztę podróży, aż wreszcie samochód zatrzymał się przed

dużym budynkiem, w którym mieściła się siedziba Charron Industrial Inc., a także

londyńskie mieszkanie Luciena i jego rodziny.

Trey, stojąc na chodniku przyglądał się byłemu magazynowi. Z zewnątrz nie

wydawał się specjalnie okazały, ale mieścił w sobie niedużą armię demonów, dżinów i innych istot  
cienia, które kierowały wszystkie swoje siły - ziemskie i magiczne -

na ochronę tego świata przed mocami Otchłani. Te istoty, będące dla Treya

czymś w rodzaju rodziny, dbały też o jego bezpieczeństwo. Kaliban pragnął śmierci chłopaka, który  
stanowił dla niego zagrożenie jako ostatni wilkołak czystej

krwi. Zgodnie z prastarą legendą taki wilkołak miał pokonać władcę wampirów.

Coraz potężniejszy w świecie Otchłani, Kaliban nie zamierzał pozwolić, by ktoś

stał mu na drodze.

Tom zakaszłał cicho, by wyrwać Treya z zamyślenia.

- Wejdziemy? Czy też będziesz tu stał i gapił się w pustkę?

Chłopak skinął głową i ruszył za przyjacielem do niedużego frontowego holu.

Minęli niczym niewyróżniającego się strażnika, który w rzeczywistości był demonem - co do tego Trey nie miał wątpliwości - i weszli do windy. Kiedy zaczęła zwalniać na górze, Irlandczyk spojrzał na towarzysza z dziwnym, trudnym do odczytania wyrazem twarzy.

- Bądź miły - powiedział tajemniczo i posłał mu surowe spojrzenie. Wtedy rozsunęły się drzwi windy.

- NIESPODZIANKA! - rozległ się chóralny okrzyk; zagrały papierowe trąbki, a na ich głowy posypało się konfetti. Nerwy Treya były tak napięte, że omal nie zmienił postaci - przez ułamek sekundy myślał, że ponownie został zaatakowany.

- Wszystkiego najlepszego, Treyu - przywitała go Alexa i pocałowała w policzek.

Była ubrana w krótką czarną sukienkę, a długie włosy upięła wysoko, co zdaniem Treya ją postarzało. Mimo to wyglądała czarująco, dlatego zarumienił się, gdy dostał całusa.

- Wiemy, że nie obchodzisz urodzin - powiedziała, podając mu butelkę piwa - ale mimo wszystko postanowiliśmy zorganizować skromne przyjęcie. Właściwie to był pomysł Toma, ale ja jestem odpowiedzialna za organizację tego wszystkiego.

Wśród gości zobaczył ludzi z biura na dole, z którymi zdążył się zaprzyjaźnić, a

także Stephanie, najlepszą przyjaciółkę Alexy. Pani Magilton pomachała mu w srebrnej czapeczce przekrzywionej zawadiacko na głowie. Mile zaskoczony dostrzegł w tłumie Jensa van der Zande; wysoki Holender górował nad resztą zebranych. Podszedł do Treya i serdecznie uściskał mu dłoń. Mężczyzna towarzyszył im w Amsterdamie, kiedy ratowali Alexę z rąk Kalibana, dlatego też Trey szczerze się ucieszył na jego widok.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział Holender, a jego surowe, ostro rzeźbione rysy złagodniały nieco, dzięki czemu wyglądał niemal tak, jakby się uśmiechał.

- Nie wiedziałem, co ci podarować, więc przyniosłem to. - Podał solenizantowi prostokątny pakunek długi na jakieś trzydzieści centymetrów. - Pomyślałem, że może ci się spodobać. Pamiątka z twojej wizyty u nas.

- Dziękuję ci, Jensie. Nie trzeba było - odparł Trey, rozwijając papier.

Zobaczył szklany pojemnik, w którym znajdowało się coś, co wyglądało jak szara zmumifikowana dłoń, spoczywająca na jasnopurpurowej jedwabnej wyściółce.

- Co to jest? - zapytał, wpatrując się z przerażeniem w prezent.

- Nie wiesz? - zdziwił się Holender, unosząc brwi.

- Och... Powiedz, proszę, że to nie...

- Tak, to jego ręka. Kalibana. Ta, którą mu odgryzłeś.

Chłopak miał już powiedzieć coś, czego z pewnością potem by żałował, lecz pojawił się Tom, który klepnął go po ramieniu i popchnął naprzód, odsuwając od Holendra.

- No, stary - rzucił. - Udajmy się z tym twoim czarującym prezentem do

kuchni. Alexa zorganizowała bufet, a ja chętnie strzelę sobie dużego, mocnego drinka.

Pozwolił, by przyjaciel zdecydowanym ruchem pokierował go do kuchni, tymczasem przyjęcie w pokoju rozkręcało się na dobre.

Trey postawił szklany pojemnik na jednym z kuchennych blatów i cofnął się o krok, jakby spodziewał się, że ręka nagle ożyje i popełźnie ku niemu. Tom podniósł makabryczny prezent, przyjrzał mu się, a potem zerknął przez ramię na chłopaka i uśmiechnął się krzywo, kręcąc głową.

- Nie pytaj mnie - rzekł, uprzedzając Treya. - Ja też nie mam pojęcia, o co mu chodziło. - Irlandczyk ze smutkiem spojrział na drzwi, zanim znów się odezwał. - Wybacz, chłopcze. Zamierzałem świętować twoje urodziny, ale wzywają mnie obowiązki. Czekaliśmy na pojawienie się Kalibana, dlatego teraz muszę zejść na dół i trochę popracować.

Trey odpowiedział skinieniem głowy.

- W porządku. Chcesz, żebym ci pomógł?

Tom wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ty się tak łatwo nie wywiniesz. Wracaj tam i spróbuj się dobrze bawić. Może uda ci się chociaż na chwilę zapomnieć o dzisiejszych wydarzeniach. Alexa bardzo się napracowała, żeby to wszystko zorganizować. Spotkamy się punktualnie o szóstej, żeby porozmawiać o moich ewentualnych odkryciach. - Minął Treya i wyszedł z kuchni, zostawiając chłopaka samego.

Trey spojrział na swoje odbicie w dużym przesuwanym oknie. Nie wyobrażał sobie, żeby miał teraz - po tym co się wcześniej wydarzyło - wrócić do pokoju i przyłączyć się do zabawy. Jeszcze raz zerknął na rękę w pojemniku i

postanowił, że z samego rana wrzuci ją do pieca do spalania odpadków. Żałował, że nie da się równie łatwo pozbyć właściciela dłoni.

Wziął głęboki oddech, nakazał ustom ułożyć się w szeroki uśmiech i wyszedł do pokoju, gotów do świętowania urodzin wraz z przyjaciółmi.

Trey stał na balkonie przylegającym do kuchni i spoglądał na Tamizę, która mijając zakolami Docklands i zmierzała ku morzu. Poziom wody był wysoki, a od rzeki wiał lekki wiatr, który mierzwił mu włosy i niósł przyjemnie słonawy, metaliczny zapach.

Przyjęcie powoli się kończyło, w miarę jak opuszczali je kolejni, nieliczni już goście. Co pewien czas ktoś podchodził, by się pożegnać i jeszcze raz życzyć mu wszystkiego najlepszego. Dziękował za karty z życzeniami i prezenty, a potem odprowadzał znajomych do windy. Gdy wreszcie został sam, postanowił zaczerpnąć świeżego powietrza. Wcześniej zaskoczył samego siebie, bo idąc za radą Toma, zapomniał na chwilę o wydarzeniach dnia, teraz jednak, kiedy został sam, gwałtownie powróciły w jego umyśle, zdecydowanie psując mu nastrój.

Alexa świetnie zorganizowała przyjęcie i zadbała o to, żeby zaprosić wszystkich, z którymi Trey się zaprzyjaźnił w ciągu ostatnich kilku miesięcy. „Teraz to moja rodzina - pomyślał. - Bliscy mi ludzie”. Uznał, że dopisało mu szczęście, miał bowiem to, czego tak bardzo pragnął przez tyle lat. „Tylko dlaczego musiałem za to zapłacić tak straszną cenę?”.

Jeszcze raz westchnął i spojrzał na butelkę, którą dostał na samym początku

przyjęcia. Przez cały wieczór trzymał ją w ręku, dlatego resztki piwa, pozostałe na dnie, były ciepłe i zwiędzałe. Trey wylał je za poręcz balkonu i wrócił do

mieszkania.

Ze zdziwieniem ujrzał, że Tom siedzi w kuchni zajęty lekturą thrillera w

miękkiej lśniącej okładce - przedstawiała celownik skierowany na zarys odznaki

SS.

- Jak leci? - zapytał chłopak.

- Nie za dobrze. Zrobiłem sobie krótką przerwę i zaraz wracam na dół. Moim zdaniem nieoczekiwana poranna wizyta wiesz kogo oznacza, że znowu próbuje swoich starych sztuczek. Potrzebuję jakiejś wskazówki, aby odkryć, gdzie się ukrywa. O tej porze w biurze jest spokojniej niż w ciągu dnia, dlatego lepiej mi się pracuje.

Trey wiedział, że istnieje też inny powód, dla którego Irlandczyk pracuje wieczorami - w ich szeregach był zdrajca. Domyślali się, że Kaliban ma informatora w organizacji Luciena, dlatego Tom podjął kroki, aby się dowiedzieć, kim on jest i jak go odnaleźć wśród osób cieszących się zaufaniem i przebywających przez cały czas w gmachu.

Biuro było jednym z wielu, jakie Lucien Charron założył na całym świecie, a pracowała w nim rzesza ludzi (i istot) specjalizujących się w różnych aspektach magii, wiedzy o demonach, w okultyzmie i wielu innych dziedzinach, o których chłopak wciąż nie miał najmniejszego pojęcia. Wpadał tu czasem, aby popatrzeć na setki osób wykonujących z zapalem swoje zadania.

W przeważającej części pracowały tam demony, które w oczach chłopaka wyglądały całkiem normalnie. W tym świecie ukrywały prawdziwy wygląd pod ludzką skorupą, więc nie sposób było ich odróżnić, no, chyba że się było istotą cienia. Dostrzeżenie prawdziwej postaci przypominało oglądanie kogoś, kto chowa się za drżącą przejrzystą zasłoną, a Trey potrafił tego dokonać tylko wtedy, gdy stawał się wilkołakiem. Trawiony ciekawością, zamknął się któregoś dnia w sali konferencyjnej, a potem zmienił postać i zerknął zza żaluzji, by sprawdzić, kto jest człowiekiem, a kto nie. Zaskoczyło go, w jak wielu przypadkach mylił się w swych domysłach, a jeszcze bardziej zdumiała go różnorodność istot cienia.

Niektóre miały postać humanoidalną z groteskowymi twarzami w najróżniejszych wariacjach, z wielościennymi oczami, dziobami i ustami wąskimi



jak ostrze brzytwy; z ciemnozielonej twarzy jednego z nich zwisało coś na kształt czulek ślimaka, zakończonych oczami. Inne w niczym nie przypominały

człowieka. Trey ze zdziwieniem stwierdził, że Nathan, do którego czasem się przysiadał, by porozmawiać o futbolu, jest w rzeczywistości ogromnym stworem podobnym do ślimaka. Jego głowa - właściwie przedłużenie czarnego lśniącego

ciała - była wyposażona u góry w parę oczu, które, jak się zdawało, mogły patrzeć na wszystkie strony. Usta osadzone poniżej, idealnie okrągłe, otwierały się i

zamykały niczym jakiś upiorny zwieracz, odsłaniając równiutkie trójkątne zęby.

Trey obserwował, jak Nathan śmieje się z jakiejś uwagi rzuconej pod jego adresem przez kogoś z sali i natychmiast coś odpowiada. Chłopak widział ludzką

powłokę demona siedzącego na krześle ze skrzyżowanymi nogami, ale pod nią też zobaczył ogromnego ślimaka błyszczącego od śluzu, którego ohydne usta

otwierały się i zamykały podczas rozmowy. Gdy minął początkowy szok, Trey

wzruszył tylko ramionami i skierował uwagę na pozostałych pracowników

obecnych w pomieszczeniu. Jakie to miało znaczenie? Nathan był ślimakiem,

Lucien wampirem, a on sam wilkołakiem.

Dziwiło go, jak szybko przyzwyczaił się do tego wszystkiego. To była kolejna

dawka niesamowitości, jaką musiał zaakceptować, kiedy dawne normalne życie

zaczęło się kruszyć kawałek po kawałku, a jego miejsce zajęło to nadprzyrodzone, którego stał się częścią.

Kiedyś zapytał Alexę, czy demony zatrudnione przez Luciena widzą pod jego

ludzką postacią ogromnego, ponad dwumetrowego wilkołaka - istotę cienia, w

którą potrafił się przemienić.

- To tak nie działa - odpowiedziała mu wtedy. - Tak jak ty pod postacią

człowieka nie widzisz istot cienia, podobnie one, patrząc na ciebie, odbierają cię tylko jako człowieka. Ale gdy się zmieniasz, widzą oba elementy twojej

struktury - i wilkołaka, i zarys ludzkiej sylwetki w jego wnętrzu.

Przyjął jej słowa skinieniem głowy, lecz nie odważył się zadać pytania, które najbardziej nie dawało mu spokoju: dlaczego wszyscy czuli się nieswojo w jego towarzystwie, kiedy przybierał postać wilkołaka? Zarówno demony, jak i ludzie wykazywali pewną nerwowość, którą dostrzegał też na ich twarzach ludzi podczas rozmowy z Lucieniem, a która była mieszanką podejrzliwości i strachu. Jakby spodziewali się, że rozmówca zaatakuje ich bez powodu jak pies, który nie wie, dlaczego rzuca się i gryzie dziecko, mimo że od lat mieszka z nim pod jednym dachem.

Trey przeszedł do salonu. Zastanawiał się, czy włączyć telewizor. Wziął do ręki pilota i przez chwilę wpatrywał się w niego. Zza drzwi pokoju Alexy dobiegł przenikliwy chichot; spojrzął w tamtą stronę. Stephanie została na noc i teraz z pewnością prowadziły te swoje dziewczynskie rozmowy - cokolwiek to znaczyło.

Czuł niepokój, ale nie chciał w tej chwili zawracać jej głowy. Odwrócił się więc, zapukał cicho, a potem wszedł do pokoju Luciena i zamknął za sobą drzwi. Nie

zapalając światła, usiadł na krześle przy łóżku swojego opiekuna. Diody LED, zamontowane na różnych urządzeniach monitorujących stan wampira w dzień i w nocy, jarzyły się w mroku dziwnym światłem. Trey spojrzął na nieruchomą postać, a potem dotknął jej dłoni, gładkiej i zimnej.

- Chyba nie masz nic przeciwko mojej wizycie, Lucienie? Przyszedłem, bo muszę wyrzucić z siebie pewne rzeczy. Alexa i Tom ze wszystkich sił starają się odnaleźć Kalibana i Gwendolinę, żebyśmy mogli zdobyć Kulę Mynora i cię uleczyć, jednak za każdym razem, kiedy próbuję im pomóc, czuję, że tylko przeszkadzam. - Odwrócił głowę i uśmiechnął się, gdy do jego uszu dotarła przytłumiona muzyka płynąca z sypialni dziewczyny. - Dzisiaj Alexa po raz pierwszy trochę się

wyluzowała - zaczął mówić dalej, ponownie spoglądając na wampira. - Do tej pory

wieczorami albo pracowała, albo przesiadywała u ciebie. Jesteś dla niej wszystkim.

- Zamilkł i zamknął oczy pogrążony w ciszy pokoju. - Bez ciebie, Lucienie, nic nie wygląda tak samo. Jesteśmy jak statek bez kapitana. - Jedno z urzędzeń piknęło i

Trey zerknął w jego stronę. - Mam mętlik w głowie. Potrzebuję cię. - Znowu spojrzał

na swojego opiekuna. Dziękuję za prezent urodzinowy. Ładne zdjęcie... Rodzice

wyglądają na szczęśliwych...

Wstał, popatrzył na nieruchomą postać przywódcy ich małego klanu i znowu

poczuł, jak ogarnia go smutek.

- Trzymaj się. Znajdziemy sposób, żebyś do nas wrócił.

Nekrotrof rozejrzał się po biurze, sprawdzając, kto z personelu pracuje jeszcze o tak późnej porze. Tom wyszedł na przerwę, a demon zastanawiał się przez chwilę, ile czasu może mu zająć to, co ma do zrobienia. Odczekał pięć minut, obserwując, jak je odmierza wskazówka przesuwaną się powoli na zegarze, po czym, uznawszy, że mężczyzna dotarł już na górę, wziął ze stołu swój kubek i poszedł do pokoju badań. Oglądając się przez ramię, wszedł do środka i stanął przy drzwiach, aby się rozejrzeć.

Blat stołu całkowicie zakrywały liczne materiały, mapy i brudne kubki.

Były wśród nich stare teksty, niewątpliwie przyniesione z pokaźnego archiwum, które wampir Charron zgromadził przez lata, a także wydruki komputerowe, i to właśnie na nich demon skupił całą swą uwagę. Sięgnął po ten leżący najbliżej niego i jeszcze raz zerknął przez ramię, zanim zaczął czytać. Przedstawione w tabeli dane nie zawierały niczego interesującego, jedynie charakterystykę użycia w ostatnich kilku tygodniach jednego z zakłęb, tak więc nekrotrof odłożył kartkę na miejsce. Szukał innych notatek, które by wskazały, czego szukają Irlandczyk i bachor wampira, a teraz jeszcze ten wilkołak. Szukał informacji, która podpowiedziałyby mu, co knują, i którą mógłby przekazać swojemu panu, Kalibanowi.

Przesunął mapę przedstawiającą pewien obszar Otchłani i natychmiast się uśmiechnął, ujrawszy róg notesu w sztywnej oprawie. Już wyciągał po niego rękę, gdy nagle usłyszał za sobą czyjś głos.

- Co tu robisz? - Demon nie miał wątpliwości, że to głos Irlandczyka, Toma O'Callahana. - Mówiłem, żeby nikt tu nie wchodził, kiedy pracuję. Nawet jeśli

wychodzę na chwilę. Dlatego zostawiłem na drzwiach wywieszkę „Zajęte”.

Na szczęście nekrotof stał tyłem do drzwi, a jego ręce pozostawały niewidoczne; przysunął je do boków i musnął dłonią jedną mapę, by odsunąć ją na miejsce, drugą zaś zgarnął z biurka kubek, który wcześniej postawił na blacie.

Odwrócił się do mężczyzny z uśmiechem na ustach.

Irlandczyk patrzył uważnie na stojącą przed nim kobietę: wyraźnie zażenowana, o czym świadczył rumieniec na twarzy, nerwowo przebierała palcami po kubku. Pracowała u nich od lat i wydawała mu się lojalna i uczciwa. Także trochę wścibska, ale ogólnie poczciwa.

- Wpadłam tylko, żeby zapytać, czy nie napiłbyś się kawy albo herbaty. Jesteś taki zapracowany, pomyślałam więc, że może miałbyś ochotę na coś gorącego. -

Patrzyła, jak jego spojrzenie powędrowało ku stołowi. – Szukałam twojego kubka.

Niczego nie dotykałam, przysięgam.

W pierwszej chwili nic nie odpowiedział, tylko studiował jej twarz nieruchomym spojrzeniem.

- Nie, dziękuję, Ruth - odezwał się wreszcie, najwyraźniej zadowolony ze swoich oględzin. - Wypiłem filiżankę herbaty na gorze. - Odsunął się na bok, dając jej do zrozumienia, by opuściła pomieszczenie, i dodał bardziej stanowczym tonem: - Byłbym wdzięczny, gdybyś tu nie wchodziła pod moją nieobecność. - Uniesioną dłonią powstrzymał jej dalsze tłumaczenia.

Kobieta oblała się jeszcze ciemniejszym rumieńcem i wyszła szybko, mamrocząc słowa przeprosin.

Tom patrzył, jak siada za swoim biurkiem i kieruje wzrok na monitor komputera. Zamknął za sobą drzwi i jeszcze raz omiótł spojrzeniem stół, by

sprawdzić, czy przypadkiem coś nie zostało poruszone. Po chwili pokręcił głową i zajął swoje miejsce, karcąc się w myślach za paranoidalne zachowanie.

Próbował usprawiedliwić się zmęczeniem. Ruth należała do grona najbardziej zaufanych pracowników biura. Znali się od lat - spotkał ją i jej męża, zanim jeszcze oboje zatrudnili się u Luciena. Postanowił, że rano z nią porozmawia i przeprosi ją za swoją opryskliwość.

Demon zerknął na Irlandczyka, który wrócił do studiowania map i pozostałych papierów. Odetchnął z ulgą i zganił się w duchu za nieuwagę. To się nie może powtórzyć. Będzie musiał poczekać i znaleźć inny sposób na zdobycie informacji.

- Puść to jeszcze raz, uwielbiam ten zespół. – Steph uklękła na łóżku Alexy i wskazała jeden z tytułów wyświetlonych na ekranie LCD, trącając plastikową obudowę pustą butelką. Każdy z pokoi w mieszkaniu Luciena był wyposażony w wielofunkcyjny panel, za pomocą którego regulowało się oświetlenie i temperaturę oraz systemy audio, wideo i telecom. Stephanie studiowała długi wykaz piosenek zgromadzonych na serwerze i dodawała kolejne do listy, i tak już za długiej, aby się dało odsłuchać je wszystkie w jeden wieczór.

Alexa spojrzała na przyjaciółkę z uśmiechem. Nie widziały się całe wieki. Od wypadku Luciena uznano, że dziewczynie grozi niebezpieczeństwo, dlatego Tom zdecydował, że będzie kontynuowała edukację w domu, przez co urwały się jej wszelkie kontakty z przyjaciółmi ze szkoły.

- No to graj, zaraz.

Steph uśmiechnęła się i dotknęła ekranu sensorowego palcem zakończonym długim jasnoróżowym paznokciem. Gdy z ukrytych w ścianach i w suficie głośników popłynęła muzyka, jej przyjaciółka sięgnęła po pilota i trochę ją ściszyła.

- Lex, daj spokój! - zaprotestowała dziewczyna.

- Robi się późno i musimy mieć wzgląd na innych - odpowiedziała Alexa, uśmiechając się. - A poza tym nie zaprosiłam cię tu po to, żebyśmy cały wieczór słuchały muzyki. Jestem ciekawa ploteczek. Co nowego w szkole, o czym jeszcze nie wiem? - Przynęła się na kolanach do Stephanie. - No, gadaj.

- Nic specjalnego się nie wydarzyło - odparła Steph. - Nic, o czym bym ci już nie mówiła.

- Och, daj spokój. Na pewno pojawiły się jakieś gorące ploteczki.

Steph posłała przyjaciółce szelmowski uśmiech.

- No, może i coś słyszałam. Znasz Emmę Myers? Mówią, że się umawia z Jakiem

Chalmersem, tylko że - ha! - Jake Chalmers chodzi już z Tracey King. A jak Tracey się o tym dowie, to nie chciałabym być w skórze Gemmy Myers. Zabije ją.

- Jake Chalmers? Na miłość boską, ten brzydka? Co one w nim widzą?

- Ma samochód. Myślę, że to główny powód ich zainteresowania. A poza tym nie jest aż taki brzydki.

- Stephanie Ellington, idź do okulisty, bo potrzebne ci są okulary, i to od zaraz. Jake Chalmers jest beznadziejny.

Dziewczyna uniosła brew i spojrzała na przyjaciółkę, kręcąc głową.

- Zakładam, że w twoim życiu wciąż nie ma żadnego mężczyzny? Kiedy ostatni raz się z kimś umawiałaś?

- Minęło trochę czasu...

- Trochę! Gruba nieściskość. Lexa, musisz się wyrwać z domu. Żyjesz jak zakonnica. - Uśmiechnęła się, a Alexa od razu zrozumiała, co Stephanie ma na myśli.

- A on ma dziewczynę? - zapytała i wskazała głową zamknięte drzwi.

- Kto?

- Ten seksowny Irlandczyk - odparła, wywracając oczami. - A któż by inny?

Trey!

- Nie. Ostatnio wiele przeszedł i chyba dziewczyna to ostatnia rzecz, jakiej mu w tej chwili trzeba. A dlaczego pytasz?

- Bo jest słodziutki.

- No tak. Zresztą nieważne. - Alexa odwróciła się, żeby puścić inną



piosenkę.

- Czy to znaczy, że nie jesteś nim zainteresowana? - zapytała Steph. - Bo pomyślałam, że mogłabym się z nim umówić. Poszlibyśmy do kina albo coś w tym rodzaju. W multipleksie grają horror; grupa uczniów utknęła w autobusie gdzieś na pustkowiu, a banda niebezpiecznych mieszkańców porywa kolejne dzieciaki.

W ciemnej sali nic tak nie wprawia faceta w dobry nastrój jak niezły horror.

Alexa od razu powróciła myślami do tamtego dnia sprzed pięciu miesięcy, kiedy patrzyła, jak Trey, ogromny, ponaddwumetrowy wilkołak, zaciska szczęki na przedramieniu wampira i odgryza mu dłoń tuż nad nadgarstkiem, ratując jej ojca.

Trudno było skojarzyć tamtego atakującego z furią wilkołaka z nieśmiałym, spokojnym piętnastolatkiem, którego Stephanie nazwała „słodziutkim”.

„Steph, nie masz o niczym pojęcia” - pomyślała, uśmiechając się do przyjaciółki.

- Miałaś coś przeciwko temu? - zapytała Stephanie. Alexa znowu dostrzegła figlarny uśmiech na jej twarzy i wyczuła, że przyjaciółka próbuje ją wy badać.

- Ja? Nie. Niby dlaczego?

- Och, daj spokój, Lex. Widziałam, jak czasem na ciebie patrzy. A ty specjalnie się od niego nie opędzasz, mam rację? Kiedy z nim rozmawiasz, trzepoczesz rzęsami i poprawiasz włosy. Uznałam, że... no wiesz, że lecisz na niego.

- Nie bądź głupia. - Alexa pokręciła głową. - Nie jest w moim typie. Przede wszystkim za młody. Po prostu się przyjaźnimy. Do tego mieszkamy w jednym domu. Wątpię, żeby ojciec się ucieszył, gdyby się dowiedział, że jego córka umawia się z chłopakiem, którego wziął pod opiekę.

Zamilkła, znowu powróciły wspomnienia. Pomyślała o ojcu, który leżał w innej części apartamentu, podłączony do różnych urządzeń, kroplówek i igieł, podczas gdy ona ćwierkała sobie wesoło z przyjaciółką. Ale dobrze się bawiła. Może nawet lepiej, niż miała odwagę się do tego przyznać. Czuła się zrelaksowana i po raz pierwszy od miesiący śmiała się głośno, przynajmniej w niewielkim stopniu udało jej się odpędzić smutek i niepokój, które tłumiła w sobie od tak dawna.

Stephanie wyczuła zmianę nastroju przyjaciółki.

- Jak się ma twój tato? - zapytała.

- Bez zmian, ale dzięki, że pytasz. - Alexa pokazała pustą butelkę, żeby zmienić temat. - Napijesz się jeszcze?

Steph pokręciła głową.

- Nie, dzięki. Wystarczy. - Na jej twarz powrócił uśmiech. Spojrzała na

Alexę spod brwi, które niedawno wymodelowała wprawna dłoń kosmetyczki. - To nie masz nic przeciwko? Żebym się umówiła z Treyem?

Alexa spojrzała na Stephanie. Zaprzyjaźniły się tego samego dnia, gdy zaczęły naukę w jednym liceum, i wiedziała, że to miła i sympatyczna dziewczyna. Ale

wiedziała też, że zachowuje się jak rekin, jeśli chodzi o facetów. Od początku ich znajomości spotykała się z wieloma chłopakami. Czasem Alexa zastanawiała się w

głębi duszy, czy chciałaby chodzić z Treyem, zawsze jednak odpędzała od siebie tę myśl. Teraz, widząc wyraz twarzy Stephanie, stwierdziła, że chyba nie udało jej się ukryć swego zainteresowania. Co poczuła? Zazdrość? Nie, na pewno nie.

„To szaleństwo - oceniła. - Przecież tylko się przyjaźnimy”.

Zmarszczyła czoło, starając się zdefiniować emocje, jakie wzbudziło w niej pytanie Steph.

„W ogóle mnie to nie obchodzi” - pomyślała. Trey podoba się Steph i nawet

jeśli zechce się z nią umówić, to czy robi to jej różnicę?

- Nie, nie mam nic przeciwko temu. Próbuj - odpowiedziała.

- Super - odparła Steph. - Coś mi mówi, że młody Trey potrzebuje kobiety, która nauczy go kilku rzeczy. Podaj mi butelki. Zaniosę je do kuchni i sprawdzę, czy się tam gdzieś nie kręci.

Alexa patrzyła, jak dziewczyna kieruje się ku drzwiom, i nagle poczuła, że nie jest jej obojętne to, czy Steph umówi się z Treyem, czy nie. Była zła na siebie, że tak niespodziewanie poddała się tym niechcianym emocjom, i przez chwilę głowiła się, skąd się wzięły. Potrzebowała trochę czasu, żeby przemyśleć pewne rzeczy, zastanowić się, dlaczego właściwie obchodzi ją, z kim Trey chciałby się spotykać.

Zamknęła oczy i odchyliwszy głowę do tyłu, wzięła głęboki oddech.

- N'gart astollamon ashath... - zaintonowała cicho monotonnym głosem.

- Co ty robisz? - Steph zatrzymała się z ręką na klamce i patrzyła przez ramię na dziewczynę, zaskoczona i rozbawiona zarazem. Głos, który wydobywał się teraz z gardła Alexy, w niczym nie przypominał głosu jej najlepszej przyjaciółki. Był to suchy, prastary dźwięk i w miarę jak Alexa wymawiała kolejne złowieszczo brzmiące słowa, Stephanie coraz wyraźniej czuła coś zbliżonego do paniki.

- Elniefh ralleth n'gor, allemn agrath shallerith.

- Lex, odpuść sobie. To wcale nie jest śmieszne.

Jeszcze przez kilka sekund Alexa siedziała z zamkniętymi oczami, wypełniając świadomość myślami i uczuciami niezbędnymi do przywołania zaklęcia. Poczowała w sobie poruszenie, coś na podobieństwo mentalnego kuksańca znak, że je uaktywniła. Uniosła powieki i uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Och, daj spokój, Lex. Widziałam, jak czasem na ciebie patrzy. A ty

specjalnie się od niego nie opędzasz, mam rację? Kiedy z nim rozmawiasz, trzepoczesz rzęsami i poprawiasz włosy. Uznałam, że... no wiesz, że lecisz na niego. - Stephanie powtórzyła słowa, które dopiero co wypowiedziała, zachowując identyczny wyraz twarzy i intonację.

Alexa nieśmiało skinęła głową i spuściła na chwilę wzrok.

- Tak, myślę, że jest niezły - szepnęła. - I chyba mi się trochę podoba.

- W takim razie trudno - odparła Steph i zerknąwszy z pewnym zdziwieniem na trzymaną w rękę butelkę, wróciła na łóżko. - Zamierzałam się z nim umówić na wieczór, ale wygląda na to, że będę musiała znaleźć inną ofiarę, na której wypróbuję swój kobiecy urok, co? - Puściła oko do przyjaciółki, a jej oblicze rozjaśnił szeroki i szczery uśmiech.

Alexa nagle ujrzała, że uśmiech gaśnie, a jego miejsce zajmuje coraz wyraźniejsza konsternacja.

- Hm, dziwne - powiedziała Steph, marszcząc nos.

- Co takiego?

- Przeżyłam właśnie jeden z tych momentów deja vu. Wiesz, kiedy wydaje ci się, że już wcześniej zdarzyło ci się to samo. Zawsze w takich chwilach trochę się boję. Doświadczyłaś kiedyś czegoś podobnego?

- Tak - odparła Alexa, po czym podniosła się i dotknęła ekranu, by wyłączyć muzykę. - Ja też w takich chwilach trochę się boję. Ale to tylko wytwór naszego umysłu. Czego chcesz teraz posłuchać? - zapytała i odwróciła się, by przyjaciółka nie zobaczyła uśmiechu, który pojawił się na jej twarzy.

Trey poszedł spać tuż przed północą, a gdy zamykał drzwi swojego pokoju, słyszał cichą rozmowę dziewczyn i ich zduszone chichoty. Rozebrał się i położył, zbyt zmęczony, aby wziąć prysznic albo chociaż umyć zęby. Obiecał sobie, że rano doprowadzi się do porządku. Odwrócił się na bok, by wyłączyć lampkę stojącą na nocnym stoliku.

Gdy opadł na plecy, zobaczył wampira.

Kaliban stał przy jego łóżku, uśmiechając się nienawistnie. Chłopak zdusił okrzyk, który wezbrał w jego gardle, i instynktownie chwycił lampkę.

Zamachnął się nią, kierując ciężką metalową podstawę w głowę nieprzyjaciela. Ku jego zdziwieniu nie natrafiła na żaden opór -przeniknęła przez twarz wampira i

ukazała się za jego głową, ani trochę nie zwalniając. Trey podniósł się na kolana i zaskoczony patrzył na lampkę; przewód został wyrwany, lecz poza tym była cała.

Kaliban spojrzał z góry na chłopaka.

- Oszukujesz sam siebie - przemówił. - Myślisz, że gdybym był tu naprawdę,

jeszcze byś oddychał? - Wampir otworzył usta i wyszczerzył zęby, które

natychmiast ułożyły się w ohydny uśmiech. - Nie, Treyu. Gdybym potrafił tak łatwo obejść zabezpieczenia mojego brata, to chętnie skorzystałbym z okazji, by

wypróbować nową protezę na twoim młodym, delikatnym gardle. - Podniósł

sztuczną dłoń przymocowaną do nadgarstka i zgiął palce podobne do noży,

spoglądając na nie z niezdrową fascynacją. - Tak się złożyło, że w klubie nie mieliśmy okazji porozmawiać... Rozumiesz, co mam na myśli? Twarzą w twarz.

Trey dopiero teraz pojął, że stojąca przed nim postać nie jest całkiem

materialna. Dostrzegał przez nią pozostałą część pokoju.

- Ale niebawem lepiej się poznamy. Mój brat pomału odchodzi i wkrótce stracisz ochronę, którą ci zapewnił. A wtedy, panie Laporte, spotkamy się naprawdę. Pokażę ci, co znaczą ból, tortura i agonja - tobie i tym wszystkim, którzy stają na mojej drodze od tak dawna. Piasek w klepsydrze Luciena już prawie się przesypał, a gdy opadnie ostatnie ziarno, po prostu wejdę do jego świata i poczynię spustoszenie wśród tych, którzy pełnią straż u jego boku. Wampir przechylił głowę, wodząc po twarzy chłopaka żółtymi, głęboko osadzonymi oczami.

Trey na moment opuścił powieki, w nadziei że gdy znów je uniesie, zjawa zniknie.

- Wiesz, że jesteś do niego podobny? - rzekł Kaliban.

- Do kogo? - Z gardła chłopaka wydobył się ledwo słyszalny szept.

- Do swojego ojca. - Twarz istoty cienia wykrzywił drwiący uśmiech. -

Zdradzę ci pewien sekret. Zanim skróciłem go o głowę, błagał mnie, abym go zabił. Tak bardzo cierpiał, że padł u moich stóp i skamlał, bym zakończył jego męczarnie. Gdy już znudziły mnie jego jęki, spełniłem to życzenie. - W oczach

wampira pojawił się złowrogi błysk, a Trey aż drgnął pod tym okrutnym

spojrzeniem. - Niebawem i ty poprosisz, żebym skrócił twoja udękę. Ale z tobą

pobawię się dłużej. Tak, z wielką przyjemnością popatrzę, jak się wiesz i prosisz o litość, tak samo jak twój żaloszny, tchórzliwy ojciec.

Chłopak zerwał się z łóżka i natarł na wampira. Zamachnął się ręką z

zakrzywionymi palcami, by go chwycić, lecz jego dłoń przeszła przez zjawę bez

przeszkód i uderzyła w komodę, strącając szklankę. Spadła na podłogę, ozdabiając

wykładzinę tysiącem małych szklanych sztyletów. Trey dźwignął się na nogi,

ignorując ból - liczne okruchy wbiły się w podeszwy jego stóp. Odwrócił się

błyskawicznie, oczekując ataku.

Usłyszał jednak tylko śmiech wampira, a sam Kaliban zniknął.

Trey osunął się na ziemię, z jego ust wydobył się urywany szloch. Zwiesił głowę i podciągnął nogi, przyglądając się swoim stopom, jakby należały do kogoś innego. Krew tworzyła nabrzmiałe ciemne krople, które spływały strużkami i wsiąkały w wykładzinę. Kiedy zamrugał, wzbierające w jego oczach łzy potoczyły się po policzkach i dalej na podłogę, dołączając do szkarłatnych klejnotów.

Serce chłopaka biło coraz wolniej. W końcu odzyskał nad sobą kontrolę.

Ktoś zapukał do drzwi, a on zerwał się na nogi, uderzając głową w szuflady komody. Czuł, że ma nerwy w strzępach.

- Treyu - usłyszał stłumiony głos Alexy. – Wszystko w porządku? Wydawało nam się, że usłyszałyśmy jakiś trzask.

Spojrzał na zniszczoną lampkę nocną, a potem na zakrwawioną wykładzinę.

- Treyu?

Już miał odpowiedzieć, lecz się powstrzymał; nie chciał psuć Alexie wieczoru historiami o zjawach. Od tak dawna czekała na spotkanie z przyjaciółką. Wszystko jej opowie później. Ale najpierw poczeka do rana i porozmawia o tym z Tomem, zanim spotkają się wszyscy razem.

- Nic mi nie jest - rzucił, starając się opanować drżenie głosu. - Zaplątałem się i straciłem szklanę.

- Pomóc ci w sprzątaniu? - Teraz była to Stephanie.

- Nie, dzięki. Już sobie sam poradziłem.

- W porządku - odezwała się Alexa. - Dobrze, że ci się nic nie stało.

Dobranoc, Treyu.

- Dobranoc, Alexo. Dobranoc, Steph.

Wstrzymał oddech. Wyczuwał, że wciąż stoją pod drzwiami, a tak bardzo chciał, żeby już sobie poszły. Odczekał parę chwil, aż wreszcie usłyszał, jak wracają do pokoju, z którego sączyła się muzyka. Wydał policzki i odchylił głowę do tyłu, wciąż próbując zapanować nad sobą. To nie było prawdziwe. Opowie o wszystkim Tomowi, ale to nie działa się naprawdę, więc nie ma potrzeby zawracać mu głowy w tej chwili. Wampir chciał go po prostu przestraszyć. I to mu się udało.

Powyciągał ze stóp drobniutkie odłamki szkła i zebrał je na mały stos, a potem przyjrzał się skaleczeniom. Wiedział, jak szybko goją się na nim rany, i był przekonany, że do rana nie zostanie po nich żaden ślad. Chwycił koszulę, która wypadła z kosza na bieliznę, urwał z niej dwa paski i owinął nimi nogi, żeby już bardziej nie zabrudzić podłogi. Będzie musiał powiedzieć o tym pani Magilton. Już widział, jak wydziwiała na widok bałaganu w jego pokoju.

Kiedy Trey skończył opatrywać sobie stopy, zgarnął okruchy i położył je na niskim kredensie, na którym stała fotografia jego rodziców. Wpatrywał w nią dłuższą chwilę, powracając myślami do wszystkich tych okropności, o których mówił Kaliban.

Cieszył się, że znowu ma zdjęcie mamy i taty. Ostatnio próbował przypomnieć sobie ich twarze. Bardzo pragnął ich pamiętać, zganił się w duchu za to, że ich rysy zaczęły się już zacierać. Poprzednia fotografia spłonęła w pożarze domu dziecka, w którym mieszkał, zanim przeprowadził się do Luciena - ogień wzniecili ludzie

Kalibana, kiedy próbowali go zabić - lecz teraz znowu mógł na nich patrzeć i żałował, że są tak daleko i że nie mogą pomóc mu przejść przez to wszystko.

Westchnął i poszedł do łazienki, a potem odkręcił kurek w kabinie prysznicowej, pozwalając, by ulewa gorących wodnych igiełek obmyła jego ciało.



Po kąpieli wrócił do pokoju i spojrzał na skłębioną pościel, która zsunęła się na podłogę. Zebrał ją i ułożył porządnie na materacu. Potem obszedł łóżko i usiadłszy przy biurku, sięgnął po książkę - nie spodziewał się, by zdołał zasnąć tej nocy.

Promienie gorącego, wiosennego słońca wśliznęły się przez szczelinę między zasłonami i dotknęły twarzy Treya, który obudził się z jękiem, na pół zdrętwiały. Zasnął na krześle i teraz, kiedy się wyprostował, poczuł przenikliwy ból w nogach i plecach. Podciągnął do góry stopy i zobaczył, że - tak jak przypuszczał - nie ma na nich śladu po ranach. Wziął szybki prysznic, ubrał się i zerknął na zegarek. Zastanawiał się, czy złapie Toma przed porannym spotkaniem. Poszedł do kuchni, licząc na to, że znajdzie coś do jedzenia, i przez cały czas wypatrywał Irlandczyka.

Zorientował się, że ktoś jadł już śniadanie, bo na kuchennym stole stała letnia kawa, a na talerzu były okruchy z tostów. Domyślił się, że Alexa wstała przed nim.

Obok talerza leżała jedna z jej książek. Bardzo stara brązowa okładka wytarła się na rogach, a pokrywająca ją skóra wywinęła się niczym języczek liżący powierzchnię tomu.

Trey wziął jabłko z miski z owocami i wbił w nie zęby, a potem wytarł dłonie o spodnie i spojrzał na otwartą stronę.

Nie rozpoznał języka, w którym napisano tekst, i po chwili przekrzywił książkę, jakby liczył na to, że patrząc pod innym kątem, zdoła go odczytać.

Przerzucił kilka kartek, w nadziei że znajdzie jakieś wskazówki. Były bardzo cienkie i przypominały stronicę Biblii, którą jako mały chłopak kartkował w domu babci.

Jedna ze stron, pokryta literami większymi i grubszymi niż pozostała, zwróciła jego uwagę. Przez chwilę przyglądał się tekstowi, usiłując odgadnąć tajemniczy język, lecz ostatecznie pokręcił głową zrezygnowany. Wyjął jabłko z

ust i zaczął głośno artykułować kolejne słowa, a potem wrócił na początek akapitu i przeczytał płynnie całość. Wyrazy brzmiały dość dziwnie, a Trey nabrał niejasnego przekonania, że wręcz domagają się, by ktoś je wymówił, jakby zbyt długo trwały uwięzione na papierze i teraz zapragnęły usłyszeć własne brzmienie. W jego umyśle rozległ się ostrzegawczy sygnał, a on sam instynktownie poczuł, że powinien przestać i odłożyć książkę. Ale słowa chciały być usłyszane. Czuł wzbierającą w nich moc.

Dobrnął do połowy akapitu, gdy do kuchni wpadła Alexa, wrzeszcząc niemiłosiernie, żeby przestał. Pochyliła się nad stołem i wyrwała mu książkę z rąk, po czym zamknęła ją gwałtownym ruchem, mierząc chłopaka spojrzeniem, które nieporadnie ukrywało pogardę.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - warknęła, a jej twarz pokryła się purpurą.

- Po prostu sobie czytałem. Nie wściekaj się, Alexo.

- Masz w ogóle świadomość, jakie zakłęcie próbowałeś wymówić?

Wypowiedziałeś je już w połowie, Treyu. A gdybyś doszedł do końca, sprowadziłbyś do tego świata cholernie wielkiego demona, którego wolałabym tu nie zobaczyć. Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę oglądać na środku własnej kuchni sześciometrowego potwora, którego imię znaczy Rozpruwacz. -

Pomachała Treyowi książką przed twarzą. - Nie widziano go od ponad pięciuset lat, więc nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co by się mogło wydarzyć, ale sądząc po imieniu, pan Rozpruwacz nie należy do gości, których zaprasza się na filiżankę herbaty i kawałek ciasta!

- Skoro ta książka jest tak cholernie niebezpieczna, to dlaczego zostawiasz ją

byle gdzie, ty głupolu? - odciął się Trey.

Długą chwilę mierzyli się nieprzyjaznym spojrzeniem i żadne nie chciało

ustąpić, aż wreszcie twarz chłopaka nieoczekiwanie się rozjaśniła. Po chwili oboje zachichotali i wybuchnęli śmiechem.

- Co cię tak śmieszy? - zapytała dziewczyna, krzyżując ramiona na piersi.

- Wyobraziłem sobie tego gigantycznego demona, jak siedzi przy stole i zajada ciasto pani Magilton, popijając herbatą. Już słyszę, jak ona mówi: „Nakrusz mi tylko na podłogę, a cię wybebeszę i nie obchodzi mnie, czy jesteś Rozpruwacz, czy inne cholerstwo!”.

Alexa próbowała zachować powagę, ale w końcu nie wytrzymała i też się roześmiała.

- Proszę cię, Treyu - powiedziała, gdy już się uspokoili. - Uważaj z tymi starymi książkami. W wielu z nich drzemie ogromna moc i nie powinny być otwierane przez tego, kto nie wie, czym to grozi.

- Sama podarowałaś mi jedną na urodziny - zauważył chłopak.

I- przykazałam, żebyś otwierał ją tylko w mojej obecności.

Zadzwonił telefon. Sygnał sugerował połączenie wewnętrzne. Alexa

podniosła słuchawkę i milczała w skupieniu. W jednej chwili atmosfera w pomieszczeniu się zmieniła, a Trey zauważył, jak twarz dziewczyny tężeje.

Skończyła rozmowę i spojrzała na niego, pełna podniecenia zmieszanego z niepokojem.

- W końcu coś znaleźli. Charles twierdzi, że zlokalizował Leroth i moją matkę.

Prosi, żebym zeszła na dół, bo chce ze mną o tym porozmawiać.

- Charles? - powtórzył Trey, starając się przybrać obojętny ton. - Och, masz na myśli lorda Farquara?

- Nie zaczynaj od nowa. To bardzo miły chłopak, szczególnie przy bliższym poznaniu.

Trey kilkakrotnie natknął się na Charlesa Henstalla, kiedy próbowali zlokalizować matkę dziewczyny. Przy każdym spotkaniu starszy od niego chłopak zadzierał nosa, dlatego Trey wymyślił to przezwisko.

- Chodźmy. - Alexa była już przy drzwiach, gdy ją zatrzymał.

- Słuchaj, jest coś, o czym chciałbym ci powiedzieć. Wczoraj wieczorem, kiedy przyszłyście pod mój pokój...

- Jeśli chodzi ci o tę głupią lampkę nocną, to nie masz się czym przejmować.

- Zniecierpliwiona zerknęła na telefon. - No co? - zachęciła, widząc jego niepewną minę.

- Kaliban. Był w moim pokoju. To znaczy, nie fizycznie, ale odwiedził mnie i...

- Och, Treyu! - zawołała. - Dlaczego, do licha, nic nie powiedziałaś?

Pokręcił głową i odwrócił wzrok.

- Nie chciałem wam zepsuć wieczoru - mruknął. - A poza tym, jak mówiłem, on nie przyszedł tu tak naprawdę, a jedynie pod postacią jakiegoś obrazu... stworzonego pewnie za sprawą magii, czy jakoś tak.

- Chodź. Musimy powtórzyć to innym i dowiedzieć się, co odkrył Charles. -

Wzięła go za łokieć i wyciągnęła z kuchni, prowadząc przez salon do windy.

- Co się dzieje? - zapytał Tom, wchodząc do pokoju badań. Wyglądał na zmęczonego i miał na sobie to samo ubranie, które nosił wieczorem poprzedniego dnia. Treyowi wystarczyło jedno spojrzenie, by się zorientować, że przyjaciel spał równie mało jak on. - Mam nadzieję, że podacie mi istotny powód, dla którego odwołaliście zaplanowane spotkanie.

Alexa i Charles siedzieli pochyleni nad stołem, wpatrzeni w monitor notebooka. W sali wyczuwało się napięcie. Trey, który zajął miejsce trochę z boku, wstał, gdy pojawił się Tom, i z ulgą spojrzął na Irlandczyka.

- Wygląda na to, że znaleźliśmy Gwendolinę... moją matkę - powiedziała Alexa, nie odrywając wzroku od monitora.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego zajęło to aż tyle czasu - rzekł Trey.

- Wieża Leroth, gdzie mieszka Gwendolina - wyjaśnił Charles obserwujący dane wyświetlone na monitorze - nie jest miejscem statycznym. W rzeczywistości to wcale nie jest miejsce, lecz portal między światami, pomiędzy naszym światem a Otchłanią.

Trey ocenił, że Charles ma jakieś osiemnaście lat, może trochę mniej, lecz mówił tak, że równie dobrze mógłby być o wiele starszy. Ton jego głosu i sposób bycia wskazywały na staranne wychowanie i dobre wykształcenie. Było w nim coś, co drażniło Treya.

- Charles, czy mógłbyś wyjaśnić to po angielsku? - rzucił. - Nie bardzo łapię ten żargon.

Chłopak zerknął na niego, a potem wyprostował się, zwracając do wszystkich zebranych w pomieszczeniu.

- Jak już wiesz, Leroth może istnieć jednocześnie na obu poziomach i ma możliwość zmiany miejsca położenia, w którym tworzy most między światami.

W przeciwieństwie do innych mniejszych portali, które da się otworzyć

pomiędzy poziomami, a które są malusieńkie w porównaniu z nim, zajmuje on

ogromną przestrzeń i potrafi się dosłownie wtopić w otoczenie, przez co pozostaje niezauważalny. - Charles uniósł brew, jakby sprawdzał, czy Trey wszystko

zrozumiał, po czym uśmiechnął się do Alexy. - Posługując się wieżą Leroth,

Kaliban i Gwendolina próbują uniemożliwić nam przeciwdziałanie ich poczynaniom. Gwendolina jest bardzo potężną czarodziejką. Potrafi siać ogromne spustoszenie za pomocą czarnej magii. Mamy w naszej organizacji ludzi, którzy umieją zneutralizować większość zniszczeń przez nią spowodowanych, jednakże tylko wtedy, gdy ustalimy, skąd rzucono zaklęcia. Znając to miejsce, używamy antyzaklęć i przeciwmagii. Dlatego ona wykorzystuje zdolność wieży do zmiany pozycji, by udaremnić nasze próby przemieszczania się poza ten poziom i z powrotem.

Trey słuchał tylko jednym uchem. Zaczął się zastanawiać, czy Charles jest człowiekiem, czy może jedną z tych istot cienia, które podglądał w biurze. Postanowił, że to sprawdzi, gdy tylko nadarzy się kolejna okazja zmiany postaci w sali konferencyjnej. Miał nadzieję, że pod płaszczkiem tego uprzedzająco grzecznego wazeliniarza kryje się jakiś dziwaczny, monstrialny potwór - coś na podobieństwo Nathana: ogromna ślimakopodobna kreatura.

- Nie, Treyu. Jestem w stu procentach człowiekiem - rzucił niespodziewanie Charles, który zwrócił się do chłopaka i z uśmiechem na ustach przyglądał jego skonsternowanej twarzy. - Ani śladu ślimaka, ani innych mięczaków, niestety. Nie potrafię też zmieniać się w kogoś będącego w połowie człowiekiem, a w połowie psem... dzięki Bogu. - Najwyraźniej bawiło go kompletne zaskoczenie Treya. Zanim się odwrócił, dodał jeszcze: -Przepraszam, to nie było grzeczne z mojej strony. Nie zamierzałem sprawdzać twoich myśli, ale wydawałeś się taki zakłopotany i... nieobecny, że nie miałem pewności, czy mnie rozumiesz, stwierdziłem więc, że zajrzę. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Na twarzy Treya pojawił się gniewny grymas. Wyczuwał, że coś dzieje się w

jego głowie, że pojawiła się w niej jakaś sonda, jakiś gładki robak, który wiję się i rozgląda na wszystkie strony. Poczł nagle, że w brutalny sposób naruszono

jego prywatność. Kipiąc gniewem, wpatrywał się w Charlesa, pochylony nad nim

tak bardzo, że ich nosy niemal się dotykały.

- Posłuchaj, Charles. Nie wiem, kim albo czym jesteś, i szczerze mówiąc,

guzik mnie to obchodzi, ale jeśli jeszcze raz „zajrzysz” do mojego umysłu tak jak teraz, to chętnie pokażę ci, w jakiego pół człowieka, pół psa potrafię się

zmienić. I może wtedy ja zajrzę ci do głowy, odsłaniając czaszkę, i ręcznie

przejrę jej zawartość na podłodze.

Słowa, zdecydowanie zbyt gniewne, wyszły z ust chłopaka wbrew jego woli

i w pokoju zapadła niezręczna cisza. Trey zerknął na Toma i Alexę i oblał się

rumieńcem, gdy zobaczył ich poirytowane twarze.

- Hej, rogacze w rui, jak już ustalicie pozycję samca w stadzie - rzuciła

dziewczyna - to przyłączcie się do nas. Będziemy za ścianą i chętnie

porozmawiamy o tym, co dalej. - Zamknęła notebook, wzięła go ze stołu i ruszyła

w kierunku sal konferencyjnych usytuowanych po lewej stronie biura. Tom

pokręcił głową i poszedł za nią.

Trey spojrział na Charlesa i zmusił się do uśmiechu.

- Ty pierwszy - powiedział.

- I co nam to wszystko mówi? - zapytał Trey, wskazując głową na duży ekran na końcu sali. Te same dane, które wcześniej oglądali na monitorze komputera, teraz widniały wyświetlone na ogromnym, prawie dwumetrowym ekranie.

- Prowadzimy stałą kontrolę poziomów magii - wyjaśniła Alexa. - Nasi ludzie są niezwykle wyczuleni na jakiegokolwiek formy magii, którą ktoś mógłby się posługiwać w każdym miejscu świata i o każdej porze. Wszystkie jej rodzaje zostawiają ślady, które odpowiednia osoba potrafi rozpoznać i wytropić. Jeśli członkowie naszego zespołu uznają, że dana postać magii jest szkodliwa, informują nas o tym, a potem starają się zlokalizować miejsce jej użycia, tak byśmy mogli ją jak najszybciej zneutralizować. Spojrzała na dane, zanim zaczęła mówić dalej.

- Pewne formy czarów... te najmroczniejsze i najbardziej wrogie... sugerują działanie groźnego napastnika, ale nie objawiają się o wiele silniej niż ślad Kalibana czy Gwendoliny. Dzisiaj rano namierzono mocny sygnał - bardzo silny, za to tak krótki, że nie zdołaliśmy określić rodzaju magii. Naszym zdaniem ktoś prowadził jakieś przygotowania, coś w rodzaju testu próbnego. Mimo że nie potrafili zidentyfikować postaci czarów, Charles i jego zespół namierzili miejsce akcji: Islandię, a dokładniej mówiąc, punkt znajdujący się dwadzieścia mil od Rejkiawiku. - Zamilkła na chwilę i spojrzała na Treya. - Zarówno to, jak i wczorajsza nocna wizyta Kalibana, sugerują, że wyszli z ukrycia i ze wszystkich sił starają się osiągnąć swój cel, cokolwiek to znaczy.

- Wczorajsza nocna wizyta? - powtórzył ze zdziwieniem Irlandczyk.

- Miałem gościa późnym wieczorem - wyjaśnił chłopak, wzruszając ramionami.

Tom spojrzał na Alexę.



- Wczoraj na strzelnicy też próbował do niego dotrzeć.

Dziewczyna wbiła wzrok w Irlandczyka, nie kryjąc gniewu.

- Wiesz co? Dobra komunikacja bardzo by nam pomogła. Wszyscy bylibyśmy lepiej zorientowani w bieżących wydarzeniach.

- Pomówimy o tym później - rzekł Tom i zwrócił się do Charlesa. - Czy wiemy, co oni robią na Islandii?

- Jeszcze nie - odparł Charles. - Na razie zdołaliśmy jedynie namierzyć miejsce ich pobytu. Liczymy na to, że w ciągu najbliższych godzin uda nam się obejść zaklęcia maskujące i ustalić, co robią. Wtedy zaczniemy neutralizować ich magię naszą i...

- Nie. Nie róbcie tego - przerwała mu Alexa.

- Dlaczego? - odpowiedział pytaniem Charles. Spojrzał na nią z drugiego końca sali, mrużąc ciemne inteligentne oczy i próbując odgadnąć jej myśli. - Jak mówiłem, nie zajmie nam wiele czasu ustalenie rodzajów magii, jakimi się posługują.

- Charles, wstrzymajcie się, to bardzo ważne. Monitorujcie Islandię i informujcie mnie i Toma, ale nie zaczynajcie procedur antymagicznych bez wyraźnego polecenia.

- Wybacz, Alexo, ale cię nie rozumiem. Jeśli coś się dzieje, to chyba przede wszystkim moi ludzie powinni o tym wiedzieć. Gdyby był tu Lucien...

- Proszę, nie próbuj sugerować, co by zrobił albo czego by nie zrobił mój ojciec. - W jej oczach błysnęły iskierki gniewu.

- Tak nie może być, Alexo. Nalegam, aby...

Trey dostrzegł rumieniec wypływający na policzki Alexy. Zawsze

zwiastował gniewne wybuchy, których świadkiem był wielokrotnie w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

- Charles, podczas niedyspozycji mojego ojca oboje z Tomem kierujemy wszystkimi operacjami. Zdaję sobie sprawę, że wiele żądam, i jeśli się okaże, że swoją decyzją narażam czyjeś życie, choćby tylko na krótko, natychmiast cię poproszę, abyś usunął grożące nam niebezpieczeństwo. Tom zgadza się ze mną w tym punkcie, więc na razie niech to ci wystarczy. - Jej twarz znowu złagodniała i Alexa popatrzyła na chłopaka tak, że Trey poczuł chęć, by zdzielić go w nos. - Zrobisz to dla mnie, Charles? Proszę? Potrzebuję twojej pomocy w tej sprawie.

Trey spojrzał na Irlandczyka, który siedział naprzeciwko niego po drugiej stronie stołu i szczerzył zęby w uśmiechu. Wyraz jego twarzy mówił jednak wyraźnie, że nie uzgadniał niczego takiego z Alexą i że wcale mu się nie podoba sposób, w jaki dziewczyna go wykorzystuje. Posłał Treyowi zimne spojrzenie, a ten uznał nagle, że powinien skupić uwagę na czymś innym.

- A teraz, Charles - mówiła dalej Alexa przymilnym głosem - bądź tak miły i zostaw nas samych na kilka minut. Muszę coś omówić na osobności z Tomem i Treyem.

Charlesowi wyraźnie nie spodobało się, że został splawiony, mimo to wstał, miętosząc palcami połą marynarki. Zerknął na Toma, jakby oczekiwał, że mężczyzna wstawi się za nim. Napotkawszy pozbawione wyrazu spojrzenie, zwrócił oczy ku Treyowi, który szeroko się uśmiechnął, wyraźnie zadowolony z jego upokorzenia. Puścił do chłopaka oko i pomachał mu, więc Charles odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju.

Trey odwrócił się do pozostałych, a głupawy uśmiech, jaki zagościł na jego

twarzy, od razu z niej wyparował, roztopiony pod wpływem lodowatych spojrzeń Toma i Alexy. Dziewczyna nadal była zarumieniona, co wskazywało, że on może być następny na jej liście.

- Treyu, postaraj się nie zrażać do nas ludzi, którzy próbują nam pomóc -

wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Mógłbyś przynajmniej spróbować zachowywać się stosownie do swojego wieku i nie stawiać się przez cały czas.

- Ja? A co o nim powiesz? Patrzy na mnie z góry i wciąż rzuca złośliwe uwagi. Wiesz, że czytał w moich myślach. Wkradł się do mojej głowy, posługując się magią albo czymś takim, i je odczytał. Jeśli to nie jest stawianie się, to sam już nie wiem.

- W porządku - przerwał im Tom, zanim Alexa zdążyła odpowiedzieć. -

Uspokójmy się wszyscy i skupmy na najważniejszym. - Wypuścił głośno powietrze.

- Alexo, czy zechcesz nam przedstawić swoją opinię na temat bieżących spraw?

Oczywiście powinienem ją znać, bo przecież omówiliśmy to wszystko, ale jakoś nie przypominam sobie naszej rozmowy. To już pewnie ten wiek.

- To proste i nie próbuj mi sugerować, że nie wiesz, o co chodzi. - Posiała mu przepaszający uśmiech. - Jeżeli uaktywnimy antyzakłęcia i przeciwmagię, nie będziemy mieli szansy choćby na cień zaskoczenia. Kiedy tylko się zorientują, że znamy miejsce ich pobytu, po prostu zwiną kram i znowu znikną.

- Ale nie wiemy, co knują, Alexo.

- Rozumiem twoje obawy, jednak jak powiedziałam, jeśli stwierdzimy, że ich działania są niebezpieczne, pozwolę naszym ludziom robić, co do nich należy. Ale przecież czekaliśmy na tę chwilę od miesięcy i powinniśmy wykorzystać to odkrycie na naszą korzyść, o ile to tylko możliwe.

Tom wytrzymał jej spojrzenie przez kilka chwil, a potem powoli skinął

głową.

- Dobrze - mruknął. - Jaki masz plan?

- Mała grupa naszych ludzi uda się do Rejkiawiku przy najbliższej nadarzającej się okazji. Dostaniemy się do wieży Leroth i jeśli nie zostaniemy złapani, zabierzemy Gwendolinie Kulę Mynora i wrócimy, żeby uleczyć mojego ojca.

Na twarzy Toma odmalowały się niedowierzanie i konsternacja.

- Tak po prostu? - zapytał, wzruszając ramionami.

- No wiesz, trzeba dopracować szczegóły, ale zasadniczo taki jest plan.

- Kto wejdzie w skład tej „małej grupy naszych ludzi”? - zapytał Trey.

- Ty, ja, Tom i Charles.

- Charles? - zdziwił się chłopak, wstając z miejsca. - Na miłość boską, po co chcesz ciągnąć tam tego bubka?

- Uważam, że Charles jest naszym najlepszym czarodziejem. Jego ojciec pełnił ważną funkcję w organizacji, a Charles bez wątpienia pójdzie w jego ślady. -

Spojrzała na drzwi, przez które kilka minut temu wyszedł młodzieniec, i ciągnęła

ściszym głosem: - Wiesz, Treyu, on nie miał łatwego życia. Wychował się w

niemal klasztornych warunkach wśród mentorów magii z całego świata. Jest

bardzo dobry w tym, co robi, a ponieważ mamy stawić czoła jednej z

najpotężniejszych czarownic, jakie kiedykolwiek istniały, uważam, że powinniśmy

dysponować największą siłą rażenia, na jaką tylko nas stać. - Na jej twarzy pojawił

się uśmiech, który wcale nie spodobał się Treyowi. - Będziecie mieli okazję lepiej się poznać, nim wyruszymy, bo chcę, żebyście razem nad czymś popracowali.

- Co takiego? - zdziwił się i opadł z powrotem na swoje miejsce. - Może

potrzebujecie kilku wskazówek, jak zdobywać przyjaciół i jak wpływać na ludzi,

żebym mógł potem oczarować Kalibana i zmusić go do uległości? Nie, dzięki.

- Nie. Musisz opanować zakłęcie transferu myśli z książki, którą

podarowałam ci na urodziny.

- A po co mi to?

- Pamiętasz, jak stanąłeś oko w oko z Kalibanem i jego demonami? Jak się

zmieszałeś, nie mogąc porozumieć się z Tomem ani moim ojcem, kiedy

przybyliście, żeby mnie uratować? Jako wilkołak nie jesteś w stanie rozmawiać z

tymi, którzy ci towarzyszą, ale gdybyś opanował to zakłęcie, mógłbyś się z nami

komunikować w razie potrzeby.

- Dlaczego ty mnie tego nie nauczysz?

- Już ci mówiłam. Charles jest chyba najlepszym magiem w naszych

szeregach. Ja nieźle sobie radzę, ale daleko mi do niego. Mnie pewnie zajęłoby to z tydzień, a on uwinie się w dzień lub dwa. Nie mamy tygodnia, może nawet

dwa dni to za długo.

Trey spojrzał na Toma, szukając u niego wsparcia, lecz Irlandczyk odpowiedział

mu jednym ze swoich grymasów, któremu towarzyszyło wzruszenie ramion.

- Mało czasu.

Odchylił się do tyłu, oparł głowę o krzesło, wydał policzki i głęboko

odetchnął.

- Dobra, popracuję z nim nad tym głupim zaklęciem. Ale nie będę udawał, że

go lubię. Facet jest skończonym nieudacznikiem. - Popatrzył na swoich

rozmówców. - A wy czym się teraz zajmiecie?

- Dopracujemy plan Alexy i przygotowujemy się do drogi - odrzekł Irlandczyk i

wstał. - Zacisnął mocno usta i zmierzył Treya nieustępliwym spojrzeniem,

takim samym, jakie chłopak zaobserwował podczas spotkania z mrocznym

bratem Luciena Charrona. Było to spojrzenie wojownika, który wyrusza na wojnę.

Trey wstał i już miał opuścić pokój, kiedy Tom zatrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Od tej pory masz mi mówić o wszystkim, co uznasz za nienormalne. Bez względu na to, czy ci się to wyda nieistotne, prawdziwe czy nieprawdziwe.

Zrozumiano?

Trey skinął głową.

- Dobrze - rzekł mężczyzna i cofnął dłoń. - Zabierajmy się do pracy.

- Jeszcze raz.

Trey posłał Charlesowi groźne spojrzenie w nadziei, że powstrzyma to jego zapędy. Czarodziej jednak tylko popatrzył na niego ze spokojem. Zamrugał powoli i powtórzył:

- Jeszcze raz.

- Lethren agorn shu alak hiroth - wyrecytował Trey chyba już po raz setny. W jego umyśle uformowała się wiadomość, którą chciał przekazać człowiekowi siedzącemu po drugiej stronie stołu: „Charles, jesteś dupkiem”.

Uniósł brew, zastanawiając się, czy mu się udało.

- Jeszcze raz - rzucił czarodziej.

- Niech to szlag! - warknął Trey i oparł czoło na stole. - Siedzimy tu już całe wieki. Co robię nie tak? Przecież to tylko pięć cholernych słów. To nie może być aż takie trudne. Czy wciąż źle wymawiam alak?

Charles splótł palce dłoni i spojrzał na niego znużony. Dwie godziny wcześniej poluzował krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli, i wydawało się, że nie zamierza zrobić nic więcej, by uchronić ich przed duchotą sali konferencyjnej. Przed godziną Trey włączył klimatyzację, ale chyba się zepsuła, bo w miarę upływu czasu w pomieszczeniu robiło się coraz goręcej.

Czarodziej westchnął i zerknął na swój zegarek.

- Treyu, ile razy jeszcze mam ci to powtarzać? Wszystko wymawiasz prawidłowo. Już po godzinie dobrze ci szło, co mnie zaskoczyło. Ale chodzi o twój sposób myślenia. Żeby to zaklęcie zadziałało, musisz odpowiednio nastroić swój umysł. Proszę więc, powtórz je jeszcze raz.

- Dobrze się bawisz, co? - rzekł Trey, wpatrując się w Charlesa spod zmarszczonych brwi.

Młodzieniec prychnął poirytowany.

- Jeśli sądzisz, że sprawia mi przyjemność siedzenie tu z tobą i uczenie cię podstawowych zasad magii, to masz o sobie zbyt wielkie mniemanie. Robię to tylko na prośbę Alexy. Uwierz mi, istnieje tysiąc i jedna rzecz, które wolałbym teraz robić, niż tkwić tutaj. Powiniennem zająć się wyprawą na Islandię i

sprawdzić, czy jestem do niej odpowiednio przygotowany. - Westchnąwszy, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki chusteczkę i otarł nią czoło. - Proszę, panie

Laporte, oczyść swój umysł - to nie powinno ci sprawić trudności - i wyobraź

sobie, że twoje myśli są jak ciecz, którą potrafisz wyrzucić z głowy i skierować do umysłów innych ludzi, a potem powtórz zaklęcie.

- Dlaczego tu jest tak cholernie gorąco? - zapytał Trey i po raz kolejny

spojrzał na termostat zawieszony na ścianie. Miał ochotę wstać i sprawdzić go po raz czwarty, lecz ostatecznie uznał to za bezcelowe.

- Mamy do czynienia z magią. - Charles westchnął. - Za każdym razem, kiedy

ktoś rzuca zaklęcie, czy też próbuje je rzucić, wytwarza się ogromna ilość

energii, ponieważ otwiera się mały portal między tym światem a Otchłanią. To właśnie dzięki tej energii potrafimy namierzyć magię innych i jej przeciwdziałać.

Różne rodzaje magii wytwarzają różną energię. Tak się składa, że to zaklęcie, i inne jemu podobne, wytwarza ciepło. A teraz, proszę, przestań jęczeć i narzekać na temperaturę, i weź się do roboty.

- Odpieprz się.

Spojrzenie Charlesa stało się bardzo nieprzyjemne.

- Treyu Laporte, wiem, że masz o mnie kiepskie mniemanie, a i ja, szczerze



mówiąc, za tobą nie przepadam, ale poproszono mnie, żebym nauczył cię tego zaklęcia, byś mógł się nim posłużyć podczas naszej misji, tak więc będziemy tu siedzieć dzień i noc, jeśli zajdzie taka potrzeba. Przygotuj się, tak jak mówiłem, i powtórz to cholerne zaklęcie!

- Odpieprz się. - Trey wstał, podszedł do termostatu i walnął w niego dłonią.

- Tak bardzo przeszkadza ci upał? - rzucił Charles z przekąsem. - No cóż, zobaczmy, czy da się cię trochę ochłodzić.

Ton jego głosu sprawił, że Trey popatrzył na niego przez ramię i napotkał wyjątkowo wrogie spojrzenie - nawet jak na Charlesa. Chłopak obserwował, jak gałki oczu tamtego uciekły nagle w głąb oczodołów, a jego źrenice niewiarygodnie szybko zawirowały i znikły. Oczy młodego maga, całkowicie białe, wyglądały teraz jak oczy ślepeca. Czarownik wziął głęboki oddech i odchylił lekko głowę.

Potem powoli wstał i wyciągnął przed siebie ręce, jakby odpychał jakąś niewidzialną ścianę.

- Nashgrun alacnarog! - wyrecytował, wymawiając twardo spółgłoski, co Treyowi skojarzyło się z walijskim akcentem.

Przez krótką chwilę nic się nie działo, a potem pierwszy chłodny podmuch ugodził chłopaka w pierś, pozbawiając go oddechu. Przed wzniesionymi dłońmi Charlesa utworzył się malutki wir tańczących lodowatych cząsteczek, które popędziły z niewiarygodną prędkością i uderzyły Treya w twarz i szyję.

Zaatakowany kłującymi kryształkami zamrugał i odwrócił głowę, lecz wtedy zmrożona materia wcisnęła mu się do uszu. Wiatr wzmógł się; drobniutki śnieg wciskał się w szczeliny ubrania i od razu zamieniał w lodowatą wodę w

zestknięciu z ciałem chłopaka, wydającego z siebie zduszone okrzyki. Trey zaczął się cofać, lecz twarde, ostre kryształki kłuły go w twarz i oczy, popychając dalej do tyłu, aż wreszcie

oparł się plecami o ścianę. Lodowaty wiatr wciąż się

nasilał i Trey zaczął szczekać zębami. W szalejącej nawałnicy słyszał tylko odgłos, który nasuwał skojarzenie z oszalałym dzieciołem, walącym dziobem w porcelanową filiżankę.

- Przestań, wariacie! - próbował przekrzyknąć szum powietrza, lecz było jasne, że czarodziej go nie słyszy albo nie chce usłyszeć.

Zerknął na swoje dłonie i zobaczył, że są brudnosine, bowiem krew odpłynęła z jego kończyn. W następnej chwili zawadził o coś nogą i poleciał do tyłu, boleśnie uderzając łokciem w listwę przypodłogową. Potwornie zziębnięty podciągnął kolana pod brodę i tak został, zwinięty w kłębek i obsypany śniegiem.

- Powiedziałem: przestań, ty idioto! - ryknął Trey. Malutka część jego umysłu zastanawiała się, dlaczego nikt nie przybiegł, żeby sprawdzić, jaka jest przyczyna hałasu. Przecież ten, kto pracował w biurze obok, z pewnością słyszał wycie wiatru i widział śnieg i lód, które wypełniały pokój.

- Lethren agorn shu alak hiroth. - Trey wyrecytował zaklęcie przez zaciśnięte zęby. Przestań, Charles. Uformował myśl najlepiej jak potrafił i skupił się, by posłać ją do głowy maga. Lethren agorn shu alak hiroth. Wymówił w myślach słowa zaklęcia, tak jak instruował go czarownik.

PRZESTAŃ, CHARLES. PRZESTAŃ! - wrzasnął niemo. Zamknął oczy i wyrzucił wyrazy z własnego umysłu, kierując je do głowy chłopaka, który wciąż stał nieruchomo w drugim końcu pokoju.

Wiatr ustał równie nieoczekiwanie, jak się pojawił. Trey otworzył oczy i się rozejrzał. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Nigdzie nie widział zasp śniegu ani

lodu, które jeszcze przed chwilą go zakrywały. Kiedy podniósł dłoń, zobaczył, że

jest jasnoróżowa, jak zwykle. Dotknął nagiego przedramienia, by tylko potwierdzić swoje przypuszczenie - jego ciało miało normalną temperaturę.

Dźwignął się na nogi i spojrzał na Charlesa, który uśmiechał się do niego zza stołu z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Usłyszałem cię całkiem wyraźnie.

- Co to było, do cholery? - zapytał Trey i usiadł niepewnie na swoim miejscu, rozglądając się po pokoju, jakby wciąż nie wierzył swoim zmysłom.

- Złudzenie. Miraż, jeśli wolisz. Mówiłeś, że jest ci gorąco, więc wczepiłem się w tę część twojego umysłu, która chciała, żebyś się ochłodził, i po prostu trochę wzmocniłem to pragnienie... no, może odrobinę więcej niż trochę.

Trey spojrzał na Charlesa w zupełnie nowy sposób. Co prawda nie lubił sposobu bycia swojego towarzysza i wątpił, by kiedykolwiek mieli wracać z nocnego klubu jedną taksówką, ale nie mógł nie podziwiać jego umiejętności.

Wydał policzki i zmusił się do uśmiechu.

- Przynajmniej udało mi się wreszcie uaktywnić to cholerne zakłęcie - powiedział.

- W rzeczywistości zrobiłeś to już przed godziną. Chciałem się tylko przekonać, czy dasz sobie radę pod presją. Dobra robota. Szybko się uczysz. -

Wstał, gotowy do wyjścia. - Ćwicz dalej, a wkrótce zaczniesz się posługiwać zakłębciem w dowolnej chwili. Nie będziesz musiał nawet wypowiadać słów na głos.

Trey pomyślał, że musi ciekawie wyglądać w oczach czarodzieja, siedząc z rozdziawioną gębą niczym ryba wyłowiona z rzeki przez zręcznego wędkarza.

- Charles - powiedział, lekko kręcąc głową - jesteś beznadziejny.

Młody czarodziej zatrzymał się na progu.

- No, to już brzmi trochę lepiej niż dupek. - Pożegnał się skinieniem głowy i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Liczne torby, które niósł Trey, zaklinowały się między jego nogami a otwartymi drzwiami, przez co musiał odwrócić się i przecisnąć przez nie bokiem, szarpiąc jednocześnie bagaż niczym odporne zwierzę pociągowe. Kiedy już przedostał się do środka, bezceremonialnie rzucił torby na ziemię, tak że utworzyły papierowo-plastikową wyspę ozdobioną nazwami różnych sklepów.

Podszedł do lodówki i zajrzał do jej jaskrawo oświetlonego wnętrza, aby czegoś sobie poszukać, choć jeszcze nie wiedział czego. Miał wrażenie, że ostatnimi czasy dużą część dnia spędzał na zagładaniu do lodówki, nie bardzo wiedząc, co spodziewa się tam znaleźć. Ostatecznie wyjął puszkę mrożonej herbaty, otworzył ją i usiadł przy stole.

Jeszcze raz spojrział na stos zakupów i uśmiechnął się pogardliwie. Prawie wszystkie sprawunki należały do Alexy; już po raz kolejny się zastanawiał, jak ktoś może czerpać tyle przyjemności z wybierania ubrań, które w rzeczywistości wcale nie są mu potrzebne. Wiedział jednak, że dziewczyna w ten sposób radzi sobie z trudną sytuacją, dlatego gdy zasugerowała zaopatrzenie się w ciuchy i rozmaity ekwipunek na wyprawę, zgodził się jej towarzyszyć.

- Gdzie jest Tom? - zapytała Alexa otoczona wianuszkami reklamówek.

Zadzwonił telefon, jakby w odpowiedzi na wzruszenie ramion Treya, więc chwyciła za słuchawkę.

Milczała przez chwilę, a potem odpowiedziała krótko:

- Dobrze. Zaraz zejdziemy. - Rozłączyła się i odwróciła do stołu; na jej gładkim zwykle czole pojawiły się drobne bruzdy.

- Co znowu? - zapytał chłopak, popijając mrożoną herbatę.

- Dzwonił Tom. Chce, żebyśmy do nich zeszli. Twierdzi, że natrafili na coś dziwnego. Sprawiał wrażenie podekscytowanego.

Irlandczyka znaleźli w jednym z licznych boksów, na które podzielono biuro.

Uniósł głowę na widok przyjaciół, po czym natychmiast ponownie opuścił wzrok na ekran komputera. Obok niego siedział mężczyzna. Trey wiedział o nim tylko tyle, że ma na imię Martin - jeden z komputerowych maniaków od analizy danych - a który teraz, pochylony nad blatem, pokazywał coś Tomowi. Ten wydymał policzki i kręcił głową.

- Hej. - Chłopak przywitał Irlandczyka skinieniem głowy i zmartwił się, widząc niepokój na twarzy przyjaciela. - W czym problem?

- Tego jeszcze dokładnie nie wiemy - odrzekł Tom i dał znak, żeby podeszli bliżej. - Ale jestem pewny, że może to mieć duże znaczenie.

Na ekranie widniał wykres. Linia kropkowana biegła równoległe do poziomej osi, a potem, mniej więcej w połowie jej długości, opadała gwałtownie, tworząc nierówne wypiętrzenie, podobne do stromej ściany niebezpiecznego klifu.

Trey spojrzał na Irlandczyka.

- Nigdy nie byłem orłem z matmy. Co to jest?

- Ja też nie - odparł. - Wykres pokazuje ślad energii konkretnej postaci magii.

Jest dość rzadki, dlatego trudno go zgubić. Magia z wykresu ma łagodną postać, dlatego zwykle takie odkrycie specjalnie nas nie niepokoi. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że zamierzamy zdobyć przedmiot, który pozostawia po sobie szczególny ślad energii...

- Chodzi o Kulę Mynora - przerwała mu Alexa. - Wykres pokazuje historię użycia Kuli w ciągu ostatnich trzech miesięcy. - Zamilkła i pokręciła głową. -

Skąd tak duża i nagła zmiana?

- Nad tym się właśnie zastanawiamy. Sprawdziliśmy wcześniejsze zapisy, na których te niewielkie skoki nie są niczym niezwykłym. Używają Kuli rzadko i bardzo oszczędnie. Powszechnie wiadomo, że Gwendolina sieje wokół siebie chaos i zniszczenie, można więc się domyślać, że posługuje się Kulą tylko wtedy, gdy ranny jest któryś z jej poddanych albo kiedy sama jej potrzebuje. Dlatego ten wzrost energii wydaje się tak niezwykły.

- Wczoraj zaczęli jej używać tak, jak jeszcze nigdy. Cokolwiek się dzieje w Islandii, ma to ścisły związek z Kulą Mynora. Co według nas może wróżyć tylko cholerne kłopoty.

Trey zmarszczył czoło.

- Jak to wpływa na nasze plany? Zamierzaliśmy udać się tam i spróbować odebrać im Kulę, prawda? Jakie to więc ma dla nas znaczenie?

- Planowaliśmy dostać się do Islandii i wrócić tak, by nikt nie zwrócił na nas uwagi. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się wykraść im Kulę niepostrzeżenie, tak by zauważyli to dopiero, gdy będziemy już daleko. Wcale się nie palę do konfrontacji z Kalibanem i Gwendoliną na ich terenie. Szczególnie że nie będzie z nami Luciena. Jeśli jednak posługują się Kulą tak często, jak sugerują to dane, to na pewno zauważą, kiedy będziemy próbowali mi ją ukraść.

- Brzmi to bezsensownie - wtrąciła Alexa. - Przecież Kula ma tylko jedno zastosowanie: służy do leczenia i odnawiania. Dlaczego nagle mieliby zacząć używać jej tak często?

- Może Kaliban zrozumiał przeszłe winy i postanowił zmienić swoje życie - rzucił Trey. - A może leczy trędowate demony. - Próbował nieco rozluźnić atmosferę, ale ponure spojrzenia Toma i Alexy sugerowały, że raczej mu się to

nie udało. - Przepraszam...

- Istnieje inna ewentualność - wtrącił Charles. Doliczył do nich

niepostrzeżenie jakiś czas temu. Potrząsał starym zwojem, który wyglądał, jakby

miał się rozpaść, gdyby ścisnął go mocniej. - Szukałem tego od chwili, gdy

dowiedziałem się, że zamierzamy odnaleźć Kulę. Leżał w bibliotece na

niewłaściwym miejscu. - Odwrócił się do Alexy i podał jej zwinięty pergamin,

drugą ręką zaś odgarnął z czoła niesforny kosmyk.

- Co to jest? - zapytała.

- Myślę, że może nam powiedzieć, co Gwendolina robi z Kulą. Każdy mag

wie, że podczas Wojny Demonów wykorzystywano ją do leczenia istot cienia.

Ale pewna bardzo stara opowieść wspomina o tym, że użyto jej też niewłaściwie.

W tym zwoju - powiedział, pokazując głową w stronę Alexy - opisano moc, jaką

Kula zyskiwała w połączeniu z innym zaginionym artefaktem: Buławą Skaleba

Pamiętliwego, władcy demonów.

- To stek bzdur! - prychnęła dziewczyna. - Takie historie opowiada się

dzieciom, kiedy są małe.

- Tak? A kto tobie o tym opowiedział, Alexo? - zapytał ją Charles.

- Moja matka, ale...

- Hej, uspokójcie się. - Tom uniósł ręce, spoglądając to na jedno, to na drugie.

- Czy któreś z was zechciałoby wyjaśnić Treyowi i mnie, o czym tak jazgoczenie?

Charles zerknął na dziewczynę, która wzruszyła ramionami i skinęła głową.

- Myślę, że Gwendolinie udało się w jakiś sposób znaleźć buławę i połączyć

jej moc z mocą Kuli Mynora - powiedział. - Manuskrypt jest kopią tego, o

którym wspominał mój ojciec. Opisuje pobieżnie moc, jaką może teraz mieć



Kula, oczywiście jeśli moje przypuszczenia okażą się słuszne. - Charles przesunął szybko wzrokiem po pozostałych. Trey zauważył, że jego twarz wyraża teraz pewną nerwowość, niemal strach. - Jeżeli się nie mylę, a mam paskudne przecucie, że tak właśnie jest, Gwendolina posiadała moc wskrzeszania zmarłych i posługuje się nią w celu zebrania armii upiorów.

Gdy usłyszeli ostatnie zdanie, w pokoju zapadła martwa cisza. Ludzie w pozostałej części biura pracowali nieprzerwanie, nieświadomi napięcia, jakie potęgowało się wśród osób zebranych w małym kręgu. Pierwszy odezwał się Tom.

- Próbujesz mi powiedzieć, że Kaliban ma teraz moc potrzebną do stworzenia i kontrolowania armii pieprzonych zombie? - wycedził przez zęby.

Charles spojrzał mu w oczy i odparł:

- Tak sędzę. Tak.

- Wspaniale! Cholernie dobra wiadomość! - syknął Irlandczyk i splunął.

Rozejrzał się szybko, a potem spojrzał na Martina, który dotąd się nie odzywał. -

Kto jeszcze wie o tym poza tobą i naszą czwórką? - zapytał.

Martin Tipsbury był drobnym mężczyzną o szczerowatej twarzy z czupryną kręconych i wiecznie zmierzwionych włosów, które wyglądały tak, jakby chciały uciec z jego głowy. W idealnie odprasowanych spodniach i sztruksowej marynarce przypominał Treyowi ekscentrycznego nauczyciela fizyki z byłej szkoły.

- Nn...nikt, Tom. Zadzwoiłem do ciebie, gdy tylko to znalazłem. - Patrzył znad okularów na towarzyszy, mrugając szybko.

- Świetnie. Dzięki. Wiem, jak szybko się tu rozchodzą wieści. - Objął Martina

ramieniem i zapytał go konspiracyjnym szeptem: - Kiedy ostatnim razem byłeś na wakacjach?

- W lutym z naszą grupą wycieczkową udaliśmy się na wędrowkę... a dlaczego pytasz?

- Wysyłam cię na urlop. Od zaraz. - Łagodnie odsunął mężczyznę od biurka, a potem położył mu dłonie na ramionach i poprowadził go do jednej z sal konferencyjnych. - Zaczekaj tutaj, aż przyjdzie po ciebie mój kolega, pan

Ellington z ochrony. Zawiezie cię na lotnisko, a potem poleci z tobą do firmowej

willi na Seszelach - po drodze zabierzesz paszport i jakieś ciuchy. Zostaniesz tam jako nasz gość aż do odwołania. I nie martw się o pieniądze; firma pokrywa

wszystkie wydatki.

- Ale moja córka... nie może tak po prostu przerwać szkoły... A poza tym...

- Na pewno jej się tam spodoba. To jedno z najpiękniejszych miejsc na Ziemi.

Wyraz twarzy Martina wcale nie przypominał oblicza kogoś, komu właśnie zafundowano darmową wycieczkę do tropikalnego raju. Tipsbury wyglądał raczej jak ktoś, komu oznajmiono, że zostały mu tylko dwa tygodnie życia.

- Panie O'Callahan - wybąkał Martin - to bardzo miły gest, ale naprawdę nie wiem, jak mógłbym tak po prostu wyjść stąd i wyjechać. Mam do skończenia robotę i jak już wspominałem, szkoła jest najważniejsza - córka w przyszłym roku zdaje egzaminy końcowe.

- Zapewnimy jej nauczyciela podczas waszego pobytu na Seszelach, tak by mogła kontynuować naukę. Myślę, że spodobają jej się indywidualne zajęcia na bielutkiej plaży. W tej willi Lucien przyjmuje swoich najważniejszych gości, więc chyba rozumiesz, że niczego tam nie brakuje.

Tom klepnął w plecy dezorientowanego Martina, popchnął go delikatnie do

sali konferencyjnej, po czym zniknął za nim drzwi. Zaraz potem połączył się z ochroną i wydał dyspozycje; gdy skończył rozmowę, wrócił do Charlesa, Treya i Alexy.

- Co to miało być? - zapytał Charles.

- Chciałem mieć pewność, że wszystko pozostanie utrzymane w ścisłej tajemnicy - odparł Tom i kiwnął głową w stronę monitora. - Wciąż mamy u siebie szpiega, nie chcę więc, aby o naszym odkryciu dowiedzieli się Kaliban i jego bandziory. - Rozejrzał się po sali, by sprawdzić, czy przypadkiem ktoś ich nie obserwuje. Nic go jednak nie zaniepokoiło.

- Alexo, dopilnuj, żeby zostały usunięte wszelkie ślady po tych danych.

Możesz to zrobić?

- Jasne.

- Dobrze. Proponuję więc, byśmy wszyscy spotkali się na górze za dwie godziny. Zastanowimy się, co zrobić z tym bałaganem. Poproszę panią Magilton, żeby nam coś upichciła. Zjemy razem i opracujemy plan. Teraz muszę poczekać na ochronę i dopilnować, aby bezpiecznie odprawiono Martina i jego córkę. -

Pożegnał się skinieniem głowy, posyłając pozostałym krzywy uśmiech, po czym udał się prosto do sali konferencyjnej, gdzie czekał zdezorientowany Martin Tipsbury.

Nekrotrof spojrział na niską, obitą materiałem ściankę, oddzielającą jego boks od boksów innych pracowników. Przyglądał się, jak cała trójka przytakuje temu wstrętnemu Irlandczykowi. Trzymał dłonie nad klawiaturą komputera, lecz nie zwracał najmniejszej uwagi na tekst, który miał redagować. Pilnie śledził scenę, która rozgrywała się przed nim. Jego uwagę przykuli najpierw ludzie obradujący po drugiej stronie biura, a potem samotna postać Martina Tipsbury'ego, który chodził nerwowym krokiem po sali konferencyjnej.

Demon musiał się dowiedzieć, dlaczego odesłano tam Martina i o czym rozmawiają pozostali, by móc złożyć relację swojemu panu. Wyczuwał, że spotkanie dotyczyło czegoś ważnego - czegoś bardzo ważnego. Wyczytał to z wyrazu ich twarzy i z tego, jak wciąż się rozglądali, aby się upewnić, że nie są obserwowani. Zachowywali się bardzo nerwowo, co tylko podsycalo w nim pragnienie odkrycia tajemnicy i przekazania jej Kalibanowi. Zostałby sowicie wynagrodzony, gdyby okazało się to tak istotne, jak przypuszczał.

Nekrotrof zrezygnował z przejścia na drugą stronę sali i próby zdobycia choćby najdrobniejszej wskazówki dotyczącej tematu narady. Uznał ostatecznie, że nie może ryzykować skierowania na siebie podejrzeń - Irlandczyk wykazywał zdwojoną czujność od chwili, gdy porwano mu sprzed nosa córkę Luciena, ponadto demonowi przykazano, by zachował swoją pozycję w firmie, jak długo okaże się to możliwe.

Skierował spojrzenie ku przygnębionej postaci, która przechadzała się po sali konferencyjnej. Poczł dreszcz podniecenia - w jego głowie narodził się plan. To go zdekoncentrowało i odsłonił się na ułamek sekundy, pozwalając dojść do

głosu poprzedniemu właścicielowi swego ciała. Ogarnęły go wspomnienia i uczucia kobiety o imieniu Ruth - byłej właścicielki tej ludzkiej powłoki.

Nekrotrof sądził, że całkowicie zdominował Ruth, dlatego ten nieoczekiwany incydent go zirytował. Ale była to tylko drobna niedogodność; demon szybko odzyskał kontrolę nad swoim nosicielem, odcinając wszystkie obszary mózgu, które mogły być odpowiedzialne za tę niewielką usterkę. Skarcił się w duchu za niedopatrzenie; przypomniał sobie, gdzie się znajduje i jakie groziłoby mu niebezpieczeństwo, gdyby prawda wyszła na jaw.

Rozważając swoje kolejne posunięcia, poczuł coś na kształt żalu, że niebawem będzie musiał opuścić ciało, które zamieszkiwał od tak dawna. Żył sobie wygodnie wewnątrz nosiciela i choć cieszył się na myśl o planowanym przeniesieniu (bardzo szybko męczyły go te żaloszne istoty), to wiedział, że nie należy lekceważyć niebezpieczeństwa, jakie wiąże się z przejściem z ciała jednego nosiciela do drugiego bez odpowiedniego przygotowania. Nekrotrof ani trochę nie przejmował się tym, że w wyniku przemieszczenia obecny nosiciel umrze albo zwariuje - w swoim długim życiu mieszkał w ciałach wielu organizmów, wykorzystując ich wiedzę i zdolności, by potem je porzucać i przenosić się do innego, bardziej przydatnego. Wiedział jednak, że aby jego plan się powiódł, będzie musiał opanować co najmniej dwóch ludzi w krótkim czasie, a to nastęczało pewne trudności.

Pracownik z sąsiedniego boksu podniósł wzrok, gdy Ruth Glenister wciągnęła głęboko powietrze i przycisnęła dłonie do brzucha, w którym poczuła przenikliwy ból.

- Wszystko w porządku? - zapytał Brian. Ruth westchnęła.

- Szczerze mówiąc, Brian, nie mogę się doczekać końca dnia - powiedziała,  
marszcząc czoło. – Paskudnie się czuję.

- Dlaczego tutaj? - zwrócił się do Irlandczyka Trey, spoglądając na zastawiony stół w jadalni. - Zwykle jemy w kuchni.

- Widzisz, młodzieńcze, pomyślałem, że miło będzie, gdy usiądziemy we czwórkę i porozmawiamy jak dorośli w miłej atmosferze. - Tom zapalił świece i cofnął się, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Chłopak pokręcił głową. W ciągu swojego sześciomiesięcznego pobytu w apartamencie Luciena tylko kilka razy jadł posiłek w tym pokoju - z okazji urodzinowej kolacji na cześć pani Magilton i podczas świąt Bożego Narodzenia.

Poprawił nóż położony trochę krzywo przy jednym z nakryć.

- Poza tym - mówił dalej mężczyzna - kot się wierci z ogonem w gorącym

popiele, jak mawiała moja droga mateczka, a ja chcę, żebyśmy się trochę do siebie zbliżyli, zanim rzucimy się w ogień razem z nim.

- Bardzo cię lubię, ale czasem po prostu nie mam najmniejszego pojęcia, o czym gadasz.

- Przebierzesz się, zanim usiądziemy do stołu? - zapytał Irlandczyk.

- Dlaczego? - Trey spojrzał na swój podkoszulek i dzinsy. - Coś nie tak z moimi ciuchami?

- Wszystko jest w porządku. Pomyślałem tylko, że może zechcesz włożyć coś bardziej... no wiesz.

Trey miał ochotę odpowiedzieć Irlandczykowi, żeby się odwalił, lecz widząc, jak

jego przyjaciel uwija się wokół stołu niczym panienka, która po raz pierwszy wydaje urodzinowe przyjęcie, zrozumiał, że z jakiegoś nieznanego powodu jest to dla niego bardzo ważne. Wydał policzki i ruszył do wyjścia.

- Dobra - powiedział, otwierając drzwi. - Pójdę się przebrać, ale włożę coś tylko trochę... no wiesz...

- Świetnie. - Tom uśmiechnął się szeroko i dodał: - Och, Treyu, i jeszcze jedno.

Postaraj się dzisiaj nie kłócić z Charlesem. To nie jest zły facet, a Bóg jeden wie, jak bardzo będziemy go potrzebowali tam, dokąd się udajemy. Zależy mi, żebyście się dogadali.

Trey skinął głową i udał się do siebie.

Alexa i Charles już siedzieli przy stole. Czarodziej włożył garnitur, ale bez

krawata, a koszulę miał rozpiętą pod szyją. Dziewczyna przysłała w długiej czarnej sukni, a jej dekolt ozdobił naszyjnik, bardzo drogi, jak się domyślał chłopak. Włosy zaczesła wysoko, upinając je w coś, co on nazwałby francuskim warkoczem. Gdy

przekraczał próg jadalni, wszyscy zwrócili się w jego stronę, przerywając rozmowę, i teraz Trey bardzo się starał opanować rumieniec, który pojawił się na jego twarzy.

Alexa przywitała go szerokim uśmiechem i uniosła lekko brwi, kiedy ujrzała, że włożył strój wizytowy: spodnie i marynarkę. Odruchowo obciągnął więc dół marynarki i podszedł do stołu.

- Treyu, w samą porę. Charles miał właśnie przedstawić mi swoją teorię na temat tego, dlaczego Kaliban wybrał Islandię na bazę. - Skinieniem głowy zachęciła go, by zajął miejsce dokładnie naprzeciwko niej, i nalała mu wody do kieliszka.

- Wspaniale - mruknął chłopak i usiadł - zanoszą się na kolejny godzinny wykład.

Nawet jeśli Charles go usłyszał, to nic nie powiedział, tylko odwrócił się do Alexy i kontynuował:

- Podczas tej dwugodzinnej przerwy...

- Czy nie powinniśmy poczekać na Toma? - przerwał mu Trey.

- Nie trzeba. - Trey usłyszał za sobą głos przyjaciela, a gdy się obejrzał, zobaczył

Irlandczyka, który wchodził właśnie do jadalni, pchając przed sobą ogromny wózek

kelnerski. - Mów dalej, Charles. Mogę cię słuchać, podając do stołu. Dałem pani

Magilton wolne na resztę wieczoru. - Posłał Treyowi ostrzegawcze spojrzenie i

mruknął coś, co zabrzmiało jak: „masz się postarać”.

- Tak jak pewnie wszyscy tutaj - ciągnął Charles - zastanawiałem się, czy ma



jakieś szczególne znaczenie faktu, że Kaliban wybrał Islandię na miejsce, w którym zdecydował się wypróbować moc Kuli. Po naszym rozstaniu zszedłem do

pokojów badań i spróbowałem poszukać jakichś powiązań między krajami

nordyckimi a zombie i bardzo się zdziwiłem tym, co znalazłem. Otóż od dawna

wierzono tam w istnienie upiorów - ludzi, którzy powstają z martwych.

Islandzka legenda mówi, że upiory zwane draugami opuszczają swe kurhany i

snują się po okolicy, mordując ludzi i zabijając zwierzęta. Te nieumarłe

sinoczarne istoty, posiadające niezwykłą siłę, zazdroszczą żywym życia. Istnieje

mnóstwo opowieści, w których włamują się do domów i mordują ich

mieszkańców, posługując się ogromną mocą. Sprawdź w internecie - powiedział,

spoglądając na Treya. - Znajdziesz setki takich historii. - Znowu odwrócił się do Alexy oraz Toma i dodał: - Moim zdaniem Kaliban próbuje wskrzesić te upiory.

W pokoju zapadła cisza. Irlandczyk odłożył duże łyżki do nakładania potraw,

które trzymał w ręku; odgłos ocierania się o siebie metalowych przyborów

skojarzył się Treyowi z rzeźnikiem ostrzącym nóż.

- Dlaczego? - mruknął cicho Tom.

Charles spojrział na niego i wzruszył lekko ramionami.

- A dlaczego nie, można by zapytać. Może Kaliban, wiedziony chorym

pragnieniem zasiania chaosu, chce ich ożywić po prostu dla zabawy. Albo też, i tu chciałbym się mylić, uznał Islandię za idealne miejsce na stałą bazę w tym świecie

- bardzo długie noce stanowią być może pewien atut dla wampira. Jeżeli draugry

są tak bezwzględne i okrutne, jak głosi legenda, to mogłyby zmieść z powierzchni

Ziemi cały rodzaj ludzki. To znaczy jeśli uda mu się nad nimi zapanować, co nie

jest wcale pewne.

- Dlaczego Kaliban nie posłuży się demonami i wampirami, które ma do

dyspozycji?

- Ponieważ nie byłby w stanie otworzyć odpowiednio dużego portalu ani

utrzymać go na tak długi czas, by przepuścić przez niego odpowiednią liczbę istot cienia. A draugry już tutaj są. Gotowa armia pogrzebana w kurhanach, która

tylko czeka na uwolnienie. Wystarczy ich jedynie wskrzесиć. Jeśli uzyska

kontrolę nad całym krajem, będzie mógł stopniowo powiększać swoje siły.

- Cholera! - rzucił Tom. - Coś jeszcze?

- Nie za wiele. - Charles sięgnął po kieliszek i upił duży łyk wina. - Podobno

draugry potrafią przybierać ogromne rozmiary według własnej woli, zachowując

fantastyczną prędkość i siłę, choć wydaje się, że nie umieją pozostawać w tym

stanie nazbyt długo. Na Islandii nazywa się ich helblar, co znaczy „niebieski jak śmierć”, i ponoć są łatwo rozpoznawalne, gdyż spowija je trupi smród.

- Można je zabić?

- One już nie żyją. Lecz można je powstrzymać. - Zerknął na Alexę, zanim

zaczął mówić dalej. - Zabawne, kiedy się człowiek zastanowi, dlaczego musimy

stawić czoła tym istotom, ale da się je unieszkodliwić w taki sam sposób jak

wampiry czy wilkołaki: przez ścięcie głowy albo spalenie. – Teraz zerknął na

Treya, zanim podjął wątek. – Nie widziano ich jednak od ponad stu lat, dlatego

wszystkie podania brzmią trochę enigmatycznie.

- Skoro leżą w ziemi tak długo – odezwała się z nadzieją Alexa – to z

pewnością nie zostało z nich nic poza kośćmi. Resztą zajęły się robaki i mikroby.

- Najwyraźniej nie. Według legend spoczywają w swoich kurhanach

nietknięci, czekając na stosowną chwilę, gdy znowu będą mogli powstać i

dokonać zemsty na świecie za swoją przedwczesną śmierć. - Charles wzruszył

ramionami.

- Ile mamy czasu?

- Myślę, że gdyby rzeczywiście wskrzeszono coś tak niezwykłego i potężnego jak draugr, to nasi ludzie na dole by to zarejestrowali, zakładam więc, że próby Gwendoliny się nie powiodły - przynajmniej na razie.

- A zatem czas jest bardzo istotny - rzekł Tom i zabrał się do nakładania

jedzenia. - Nie dość że potrzebujemy Kuli, i to szybko, żeby uratować Luciena, to jeszcze musimy ją zabrać Kalibanowi i powstrzymać go przed uwolnieniem

tych... draugrów. - Podał siedzącym okazałe porcje kremowej potrawy z

kurczaka, po czym zajął miejsce obok Treya. - Nie wiem jak wy, ale ja mam

ochotę się napić - oznajmił i sięgnął po butelkę z czerwonym winem. -

Wsuwajcie. Wciąż możemy liczyć na element zaskoczenia, lecz trzeba będzie

zebrać w sobie wszystkie siły. Ta dodatkowa komplikacja nie ułatwi nam życia,

jednak w niczym nie zmienia to naszych planów - musimy się dostać na Islandię,

wykraść Kulę sprzed nosa Kalibana i Gwendoliny i wrócić z nią do Luciena. -

Skinął głową, a na jego ustach pojawił się uśmiech. - Bułka z masłem.

- Czy mogę przeczytać to, co udało ci się dotąd znaleźć? - spytała Charlesa

Alexa.

- Oczywiście - odpowiedział. - Pamiętając o szpiegu w naszym obozie,

zgrałem wszystko na płytę i usunąłem z systemu wszelkie źródła dotyczące

draugrów czy islandzkich upiorów. Przekażę ci ją zaraz po kolacji.

Alexa uśmiechnęła się do niego, a Trey poczuł lekki ucisk w dołku, gdy

zobaczył, jak dziewczyna wyciąga rękę i ściska dłoń czarownika. Szybko

odwrócił wzrok i nabrawszy na widelec ogromną porcję piekielnie pikantnego

kurczaka, wpakował ją sobie do ust, nie zważając na bolesne pieczenie na języku.

- Kiedy jedziemy do Islandii? - zapytała Alexa.

- Pojutrze, jeśli nic po drodze nie wypadnie - rzekł Tom. - Musimy jeszcze

zorganizować tam kilka rzeczy i możemy ruszać. Z tego co usłyszałem, wnoszę, że czas jest ku temu najwyższy.

- Ale wciąż nie wiemy, gdzie w Leroth moja matka trzyma Kulę - zauważyła Alexa. - W rzeczywistości prawie nic nie wiemy o samej wieży ani o tym, czego możemy się spodziewać, gdy już dostaniemy się do środka.

- Treyu? - Irlandczyk spojrzał na chłopaka spod uniesionych brwi.

Alexa i Charles wymienili między sobą spojrzenia, zanim odwrócili się do Treya.

Po ustach chłopaka przemknął uśmiech zażenowania.

- W ostatnich miesiącach Tom organizował mi sesje ze sparingpartnerami - z różnymi istotami cienia. To był pomysł Luciena, żeby wy badać ich słabe i mocne punkty. Jeden z nich - demon mroku o imieniu Klimbock - wspomniał kiedyś, że zanim przyłączył się do Luciena, był strażnikiem u Kalibana. Wampir ukrzyżował brata Klimbocka, rozumiecie więc, że nie dostaje już świątecznych kartek od demona mroku.

- Co to ma wspólnego z...

Dziewczyna powstrzymała Charlesa gestem dłoni.

- Mów dalej, Treyu.

- Zapytałem Klimbocka, czy był kiedyś w wieży Leroth, a on odpowiedział, że tak, i to wielokrotnie. Opisał mi jej wnętrze, pokazał rozmieszczenie obiektów strażniczych i tym podobne, a także narysował mapę, prostą, ale lepsza taka niż żadna. Co więcej, pamięta, że raz nawet widział Kulę; Gwendolina trzyma ją w swojej komnacie na szczycie wieży.

Trey, widząc zmarszczone czoło Alexy, wzruszył ramionami w

przepraszającym gościu.

- Tom prosił, żebym zachował to dla siebie, dopóki... dopóki nie będzie wiadomo, kto jedzie i komu można ufać.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej ręcznie narysowaną mapę, którą dostał od demona mroku.

- Zakładając, że mówi prawdę - rzeki Charles. – Skąd wiemy, że nie jest zdrajcą? Wtyczką Kalibana?

Trey wytrzymał jego spojrzenie.

- Skąd wiemy, że ty nią nie jesteś?

Nekrotrof spojrział w lusterko po stronie pasażera, by się upewnić, czy w ulicę nie wjeżdżają jakieś samochody. Zerknął na wydruk, który zrobił na podstawie danych kadrowych firmy - i jeszcze raz sprawdził adres. Zadowolony otworzył drzwi samochodu i wyszedł w chłód wieczoru. W powietrzu unosił się zapach świeżo ściętej trawy, który wywołał tysiące wspomnień, lecz żadne z nich nie należało do niego, nie dotyczyły jego przeżyć; były to niewyraźne myśli tysięcy ciał, w których mieszkał podczas swojego całkiem już długiego żywota.

Poszedł chodnikiem w stronę domu i kiwnął głową z zadowoleniem, gdy zobaczył czarne bmw zaparkowane na podjeździe przed garażem. Zwolnił trochę, wciągając głęboko powietrze przez nos i wypuszczając je przez umalowane szminką usta. Chwile przed przejściem były zawsze najgorsze, dlatego mimo że nie wątpił w swój plan, odczuwał coś, co - jak się domyślał - było bliskie zdenerwowaniu.

Zaczął proces.

Gdyby w tym momencie ktoś mijiał Ruth Glenister, wyraz jej twarzy - czy też kompletny brak wyrazu twarzy - z pewnością by go zaniepokoił. Przypominała pacjenta pod ogólnym znieczuleniem, którego ciało pozornie nie wykazuje żadnych oznak życia, jakby ta kobieta w średnim wieku chodziła we śnie po ulicy niczego nieświadoma.

Nekrotrof skręcił na posesję, zostawiając otwartą małą czerwoną furtkę, za którą ścieżka prowadziła do frontowych drzwi. Nacisnął dzwonek i odsunął się trochę, czekając, aż ktoś do niego wyjdzie.

Nastolatka, która pojawiła się w drzwiach, miała może szesnaście lat. Cała

ubrana na czarno, miała mroczny makijaż i paznokcie pociągnięte czarnym lakierem. Zachmurzone oblicze dziewczyny jeszcze bardziej pociemniało, kiedy spojrzała na dziwną kobietę stojącą na progu jej domu.

- Tak? - powiedziała.

- Ty jesteś Philippa Tipsbury? Córka Martina Tipsbury'ego? - zapytał gość.

Philippa Tipsbury wpatrywała się w obcą kobietę, która chwiała się lekko.

Uznała, że z gościem coś jest nie tak, i przez chwilę zastanawiała się, czy ta osoba nie jest przypadkiem pijana. Patrząca na nią pozbawiona wyrazu twarz i

kołyszące się ciało sugerowały, że tak właśnie mogło być, ale chodziło też o coś więcej, czego Philippa nie potrafiła nazwać - jakby kobieta była w szoku.

Nieznajoma pokazała przepustkę ze zdjęciem i z nazwiskiem: Ruth Glenister.

- Pracuję z pani ojcem, panno Tipsbury, i obawiam się, że przynoszę złe wieści.

Nagle wszystko stało się zrozumiałe. Kobieta nie była pijana; ona naprawdę

była w szoku. Ojcu coś się stało i z jakiegoś powodu wysłali tę biedaczkę, żeby ją zawiadomiła. Philippa przyłożyła dłoń do ust, jakby chciała zdusić wszelkie

dźwięki, jakie mogłyby się jej wymknąć.

- Czy mogę wejść? - zapytała Ruth.

- Tak. Tak, oczywiście - odparła Philippa i odsunęła się na bok, by wpuścić gościa do holu. Wyjrzała jeszcze na pogrążającą się w mroku ulicę, a potem odwróciła się i zamknęła drzwi.

Przemieszczenie przebiegło lepiej, niż demon się spodziewał, dodatkowo szczęśliwym trafem człowiek o imieniu Ruth umarł podczas przejścia, co było o wiele lepsze, niż gdyby miał się stać mamroczącym wariatem, którego należałoby się pozbyć. Demon spojrzał na ciało, nie czując najmniejszych wyrzutów sumienia, mimo że zamieszkiwał je całkiem długo. Podobnie jak wszystkie nekrotrofy nie interesował się losem nosiciela, którego wykorzystywał - zawsze był on tylko środkiem potrzebnym do osiągnięcia celu.

Philippa Tipsbury zaciągnęła ciało do garażu i wróciła do domu. Zatrzymała się przed dużym lustrem w holu i poprawiła włosy, przyglądając się swemu odbiciu. Była całkiem atrakcyjna. Ubranie dużo o niej mówiło. Nosiła się na czarno. Miała srebrny kolczyk w brwi, a gdy otworzyła usta, zobaczyła inny, duży, w języku. Przez jej twarz przemknął wyraz lekkiego niepokoju, kiedy tak stała i przyglądała się sobie, ponieważ nie potrafiła powiedzieć, co jest nie tak, a przecież była przekonana, że nie wszystko jest w porządku. Dręczyło ją dziwne uczucie, że właśnie wróciła z garażu i że plama na podkoszulku wskazuje na coś podejrzanego. Tylko że nie pamiętała, po co miałyby tam chodzić.

Demon skupił się na wyjaśnieniu przyczyny tego niepokoju, atakując część mózgu nosiciela odpowiedzialną za emocje i tłumiąc je najsilniej jak potrafił. Były to najtrudniejsze chwile po przemieszczeniu, a wiedział, że musi teraz pozwolić nosicielowi zachować większość zdolności umysłowych, blokując jedynie ścieżki prowadzące do pewnych jego myśli i wspomnień, które mogłyby wywołać u człowieka panikę. Z czasem przejmie pełną kontrolę i zdusi całkowicie poprzedniego mieszkańca ciała, lecz na razie musiał czekać i podążać dość niepewną drogą.



Philippa potarła dłonią płamę i cmoknęła poirytowana własną niezdarnością.

Zerknęła na zegarek, zastanawiając się, czy Liam, jej chłopak, wrócił już z pracy do domu. Chodzili ze sobą od ponad roku i umówili się, że wybiorą się w

weekend na imprezę. Jeszcze raz spojrzała na zegarek i poszła na górę do swojego

pokoju. Uznała, że jeśli zatelefonuje do niego teraz, to będą mogli zaplanować

wieczór jeszcze przed powrotem jej ojca - Martin Tipsbury sądził, że córka idzie

na noc do swojej koleżanki Gemmy, której rodzice wyjechali.

Już szła przez pokój do telefonu umieszczonego na nocnym stoliku przy

łóżku, lecz nagle się zatrzymała i potrząsnęła głową, poirytowana, jakby chciała

się pozbyć myśli, która czaiła się na progu świadomości. Coś, co dotyczyło jej ojca.

Jak przez mgłę przypomniała sobie, że ktoś ją odwiedził - w związku z tatą. Grozi mu niebezpieczeństwo?

A potem niejasne wspomnienie zniknęło równie nagle, jak się pojawiło.

Philippa skarciła się w duchu za własną głupotę. Sięgnęła po telefon i wystukała

numer, po czym podeszła do okna i wyjrzała na ulicę, aby mieć pewność, że

ojciec nie wróci niespodziewanie i nie przerwie jej rozmowy.

Uzyskała połączenie po trzecim dzwonku.

- Halo. - Usłyszała głos Liama.

- To ja - odpowiedziała. - Możesz mówić?

- Hej, fajnie, że dzwonisz. Jak leci? Właśnie wróciłem z roboty i miałem coś zjeść. Co słychać?

- Nic. Chciałam tylko z tobą pogadać. Jak tam w pracy?

- Ach, wiesz, nic nowego, kolejny dzień. A u ciebie? Szkolne, nudy?

Liam skończył szkołę przed rokiem. Końcowe egzaminy zdał całkiem dobrze,

ale uznał, że zamiast pójść na studia, zatrudni się w rodzinnej firmie

informatycznej. Był trzy lata starszy od Philippy, dlatego nie przyznała się ojcu, że z nim chodzi - nie zaakceptowałby dla niej chłopaka w takim wieku.

- Mówię ci, Liam, sami nieudacznicy. Ani jednej ciekawej osoby. Stado owiec, żalosnych tępych owiec, które snują się po korytarzu między lekcjami i beczą.

Nienawidzę tej szkoły i wszystkich, których tam spotykam.

- Weekend aktualny? - zapytał. – Rozmawiałem z Jamesem i powiedział, że możemy zostać na noc po imprezie.

Uśmiechnęła się, słysząc, jak zająknął się przy ostatnim zdaniu, i wyobraziła

sobie, jak się rumieni. Już miała mu odpowiedzieć, że nie może się doczekać, lecz słowa ugrzęzły jej w gardle. Zmarszczyła brwi, potrząsnęła głową i spróbowała

jeszcze raz, lecz z jej ust wydobył się tylko ledwo słyszalny bełkot; poczuła, że traci oddech, a jej gardło znowu się zacisnęło, tłamsząc zdanie, które zamierzała wypowiedzieć. Dziewczynę ogarnęła panika. Czyżby dostała jakiegoś ataku?

Zacisnęła dłoń na słuchawce tak mocno, że aż skóra zbieleła jej na kostkach palców - wystraszona przyjrzała się swojej ręce.

- Halo? Philippa, jesteś tam?

- Nie mogę już się z tobą spotykać - oznajmiła. Bez zająknięcia.

Poczuła, jak jej serce zabiło gwałtownie, i spróbowała znowu się odezwać, zaprzeczyć temu absurdalnemu zdaniu, które wypowiedziała, ale nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa więcej. Chciała krzyknąć i potrząsnęła głową. Nie potrafiła nad sobą zapanować - przerażało ją to. Usiłowała odsunąć słuchawkę od głowy, lecz mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa, dalej więc trzymała ją przyciśniętą do twarzy.

- Co powiedziałaś? - W głosie Liama zabrzmiały rozbawienie, niepokój i złość.

- To jakiś żart? Philippa?

- Ja...

Tym razem próbowała powstrzymać niechciane słowa, zaciskając gardło i wykrzywiając twarz w groteskowym grymasie. Ciemna od tuszu łza spłynęła po jej policzku.

- Nie chcę cię więcej widzieć, Liam. To koniec. Proszę, nie dzwoń do mnie.

Nie idę na imprezę. Żegnaj.

Nacisnęła czerwony guzik na telefonie i się rozłączyła. Wpatrywała się z niedowierzaniem w słuchawkę, którą ścisnęła w dłoni, a potem rozluźniła palce; słuchawka opadła na podłogę. Philippa pokręciła głową i powoli wstała z łóżka, po czym wróciła do lustra, by jeszcze raz się sobie przyjrzeć. Starła rozmazany makijaż i głęboko wciągnęła powietrze przez nos.

Potem zeszła do kuchni. Nastawiła wodę na herbatę, oparła się o zlew i zaczęła analizować to, co się właśnie stało.

Kiedy rozległ się cichy gwizdek czajnika, już nawet nie pamiętała, że w ogóle gdzieś dzwoniła.

Trey odchylił się na prawej stopie i szybko przeniósł ciężar ciała na barki, dzięki czemu w ostatniej chwili uniknął zakrzywionych szponów demona cienia. Ryk potwora wypełnił salę, odbijając się wielokrotnie od sufitu i ścian. Chłopak zakrzywił palce i zamachnął się w kierunku przeciwnika, ale już go tam nie było. Wyczuwszy, że stoi tuż za nim, obrócił się błyskawicznie, co go uratowało przed kopnięciem w krzyż. Demon zdołał uderzyć go w biodro, popychając lekko do przodu, i Trey poczuł przenikliwy ból w boku. Gdy odzyskał równowagę i wykonał zwrot, zobaczył, że tamten odbił się od podłogi i szybkuje prosto na niego z szeroko otwartymi ustami, w których pobłyskiwały dwa rzędy nierównych i ostrych jak szpilki zębów.

Rzucił się do przodu, przeturlał zgrabnie pod napastnikiem, a potem wstał i się odwrócił, by poszukać go wzrokiem. Tymczasem demon jednym płynnym ruchem wylądował na podłodze i zwrócił się ku chłopakowi gotowy do kolejnego ataku. Był niewiarygodnie szybki.

Demon cienia uśmiechnął się zachęcająco do Treya, mrugając czerwonymi fasetkowymi oczami. Chłopak skoczył do przodu, chcąc się przekonać, w którą stronę zwróci się przeciwnik. Dostrzegł nagle charakterystyczne mignięcie - wydawało się, że demon zniknął, lecz on po prostu przemieścił się tak szybko, że Trey stracił go na moment z pola widzenia. Jednakże nawet w tak krótkim czasie zdołał pojąć jego zamiary. Skreślił tułów i zamachnął się tylną nogą, trafiając napastnika prosto w twarz. Chrząst kostki podpowiedział mu, że to, co jeszcze przed chwilą było nosem demona, wyraźnie i trwale zmieniło swój kształt.

Chłopak obserwował, jak istota przewraca się na plecy, po czym jednym skokiem

znalazł się na niej, przygniatając ciałem jej pierś, i zatrzymał zęby tuż przy gardle swej ofiary.

- Szczęściarz - powiedział demon, mierząc go groźnym spojrzeniem, lecz zaraz jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Odwrócił głowę na bok i wypluł grudkę kleistej czarnej krwi.

Trey wstał i przybrał postać człowieka, uśmiechając się do mężczyzny leżącego na podłodze. Po przemianie nie dostrzegał już śladów krwi, ran ani skaleczeń na twarzy demona, który zdążył się schować pod ludzką powłoką, mimo to zmarszczył czoło i pokręcił głową w przeproszającym geście.

- Przykro mi z powodu nosa - powiedział.

- Ach, to nic takiego - odparł demon i pomacał delikatnie nozdrza, które z perspektywy Treya wyglądały na nienaruszone. - Znowu miałeś szczęście pod koniec.

- Jasne. To zabawne, co? Podczas naszych ostatnich trzech sparingów za każdym razem dopisywało mi szczęście. Jestem chyba największym szczęściarzem, jaki kiedykolwiek zmierzył się z demonem cienia. - Znowu się uśmiechnął i podał mu rękę, pomagając wstać.

Tom wybrał Flauga na najnowszego sparingpartnera dla Treya. Celowo zdecydował się na demona cienia, ponieważ istoty te słyną z fenomenalnej prędkości. Irlandczyk stwierdził, że ich ruchy najlepiej imitują śmigłowiec, jakie potrafią wykonać wampiry, znikając w jednym miejscu i jednocześnie pojawiając się w innym. Tom zaproponował, by Trey i Flaug tylko markowali walkę, tak by chłopak mógł podszkolić swoje umiejętności i poprawić szybkość, ale obaj partnerzy prędko się zaprzyjaźnili i stwierdzili zgodnie, że mogą sobie na tyle zaufać, aby spróbować powalczyć naprawdę.

Tego dnia jednak obaj się trochę zagalopowali i momentami atakowali z

niespotykaną dotąd zaciekleścią. Trey nie miał nic przeciwko temu podczas sparingu, ponieważ prędkość i moc wilkołaka napełniały go uczuciem bliskim uniesienia, lecz teraz, już po walce, trochę się przestraszył i nawet poczuł wyrzuty sumienia, zmartwił się bowiem, że zranił Flauga bardziej, niż zamierzał. Jakby czytając mu w myślach, przyjaciel podszedł do niego i klepnął go w plecy.

- Nie martw się. W końcu jesteś wilkołakiem. Masz naturalne skłonności do niszczenia i siania chaosu. Powinieneś się cieszyć, że dzięki swojemu amuletowi potrafisz nad nimi zapanować. Gdyby nie to, teraz próbowałbym wepchnąć sobie na miejsce zawartość gardła, a tak mam tylko rozkwaszony nos. - Demon zdjął z wieszaka na ścianie ręcznik i rzucił go chłopakowi, po czym uważnie mu się przyjrzał. Podszedł do Treya i położywszy mu dłonie na ramionach, obrócił go trochę na bok.

- Oho. Przydałby ci się tu jakiś mały szew. – Pokazał głową na plecy przyjaciela, a gdy chłopak sięgnął ręką do tyłu, poczuł pod palcami ciepłą, lepłą krew. Flaug już miał odprowadzić Treya, by opatrzone mu ranę, gdy niespodziewanie podniósł wzrok i spojrzał na drzwi w drugim końcu sali.

- Ktoś idzie - powiedział.

- W porządku. Są zamknięte na klucz i...

Gałka jednak się obróciła i drzwi się otworzyły.

Trey powrócił do postaci wilkołaka i ruszył ku wejściu. Nie miał nic na sobie - ubranie zostało zniszczone podczas przemiany, a on nie chciał, żeby Alexa, jeśli to była ona, po raz kolejny zobaczyła go nagiego.

Do sali wszedł Charles. Przywitał Flauga skinieniem głowy, a potem spojrzał

w pomarańczowożółte oczy ponaddwumetrowego wilkołaka, który spoglądał na niego z góry.

- Kurczę, teraz już wiem, co czuł Czerwony Kapturek

- mruknął cicho.

Trey wrócił na miejsce, gdzie rzucił na podłogę ręcznik, po czym zasłonił się nim i ponownie przyjął ludzką postać.

- Czego chcesz? - zapytał. - I jak się tu dostałeś?

- Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc...

- Były. Sam je zamykałem.

- Może się pomyliłeś. Widziałeś przecież, że otworzyłem je bez problemu.

Chłopak zmrużył oczy. Podejrzewał, że Charles użył magii, ale uznał, że nie ma się co spierać o rzecz już nieistotną.

- Dobrze. Skoro więc tu jesteś, to czy będziesz tak miły i wyjawisz mi, czego chcesz? - burknął i sięgnął po ubranie.

- Trzeba ci to opatrzyć - zdecydował tamten i pokazał na głęboką ranę na plecach Treya. - Poczekaj chwilę, obejrzę to.

Chłopak patrzył chwilę na czarodzieja, a potem wzruszył ramionami i odwrócił się, pozwalając, by ten obejrzał jego plecy. Charles delikatnie otarł zakrwawioną ranę chusteczką, którą wyjął z kieszeni marynarki. Po chwili cmoknął, a Trey przypomniał sobie babcię, która robiła podobnie.

- Nie ruszaj się - rzekł Charles. Z wewnętrznej kieszeni wyjął portfel.

Otworzył go i po krótkich poszukiwaniach wyjął z niego jakiś przedmiot.

Chłopak spojrzał przez ramię i zobaczył, że Charles trzyma w ręku czarną igłę.

Bez nitki. Czarodziej przybliżył się do rannego, ściskając ją między kciukiem a

palcem wskazującym.

- Co ty, do...

- Stój spokojnie - ostrzegł go ponownie Charles i wbił głęboko czubek igły w jego ciało.

- Au! Odwal się. Nie masz nawet nitki!

- To jest igła chirurgiczna, Treyu. Należała do mojego ojca, który też był czarnoksiężnikiem. Igła szyje niewidzialną nicią, która pozostanie na miejscu przez jakieś cztery dni, a potem zniknie. A teraz już stój spokojnie. - Przepchnął narzędzie na drugi brzeg rany, przyglądając się uważnie rozcięciu.

Trey próbował obrócić głowę, chcąc zobaczyć, co tamten wyczynia, lecz rana znajdowała się zbyt blisko środka pleców, nie dość więc, że niczego nie zobaczył, to jeszcze poczuł nieprzyjemne strzyknięcie w szyi.

- Do czego ona służy? - zapytał Charlesa, by nie myśleć o bólu.

- Głównie do tego, co robię. Po raz pierwszy użyto takich igieł podczas Wojen Demonów w tym samym celu, w jakim ja używam swojej. Ta igła to już zabytek.

Dostałem ją, gdy byłem chłopcem - jest świetna do wykręcania różnych

numerów. W dzieciństwie zszywałem nią portmonetki mamy, a potem

pokładałem się ze śmiechu, kiedy wszystkie otwierały się nagle przy kasie. Głupie żarty, ale strasznie zabawne. - Zamilkł na chwilę, przyglądając się efektom swojej pracy. - No - powiedział i cofnął się o krok. - Lepiej nie potrafię. Wytrzyma do

zagojenia się rany.

- Dzięki... mam u ciebie dług. - Trey podziękował skinieniem głowy. - Ale wciąż nie wiem, co tu robisz.

- Przyszedłem, bo Alexa kazała mi cię przeprosić za wczoraj i spróbować się z tobą pogodzić. Pomyślałem, że może pójdziemy na górę i oczyścimy trochę atmosferę przy kawie. Jutro wyruszamy i chciałbym, abyśmy wyjechali



pogodzeni.

Chłopak badał twarz czarownika, spodziewając się jakiegoś podstępu, jednak zamiast tego napotkał jedynie szczere spojrzenie. Po chwili skinął głową.

- Dobra. Wezmę tylko prysznic i się przebiorę. Spotkamy się w mieszkaniu.

Charles kiwnął głową i poszedł do wyjścia. Usiłował przekręcić gałkę, ale nawet nie drgnęła.

- I co ty na to? A jednak były zamknięte. Coś tu chyba szwankuje. Przyślę kogoś, żeby to sprawdził. - Przesunął mały zatrzask umieszczony na środku gałki, otworzył sobie drzwi i wyszedł.

Trey patrzył za nim. Wciąż nie potrafił rozgryźć Charlesa - w jednej chwili zachowywał się jak największy dupek, w drugiej zaś prawie dało się z nim wytrzymać. Uznał, że da mu jedną szansę i wysłucha, co ten ma mu do powiedzenia. Zebrał ubranie i już miał wyjść z sali, kiedy usłyszał za sobą ciche chrząknięcie.

- Nie powiedziałaś mi, dokąd jedziecie - rzekł Flaug i uniósł brwi.

- Tak. - Trey westchnął. - Taki tam wypad dla chłopaków.

- Naprawdę? Zabawne, nigdy bym nie pomyślał, że ty i Charles możecie gruchać jak najlepsi kumple.

- Żadni kumple - odparł Trey i wyszedł, machając demonowi na pożegnanie.

Martin Tipsbury zatrzymał samochód na podjeździe przed domem. Spojrzał przez okno pasażera i ze zdziwieniem stwierdził, że wszystkie światła w budynku są zgaszone. Chciał wierzyć, że jego córka nie poszła po raz kolejny do przyjaciół. Nalegał, aby siedziała w domu i odrabiała lekcje do czasu jego powrotu z pracy - mimo że wiedział, iż ostatnio i tak go nie słucha. W ciągu minionego roku stała się bardzo trudną nastolatką, a ich relacje pogorszyły się tak bardzo, że prawie ze sobą nie rozmawiali. Żona specjalnie mu nie pomagała, dzwoniąc z

Jersey, gdzie mieszkała ze swoim nowym partnerem, i buntując córkę przeciwko ojcu; wciąż jej powtarzała, jaki to tata jest beznadziejny i jak ona, mamusia, bardzo ją kocha i tęskni za nią. Jeśli kochała ją aż tak bardzo, to dlaczego uciekła do

Jersey z jakimś kochasiem i ją porzuciła?

Próbował rozmawiać z Philippą o rozwodzie, lecz ona sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie chciała go słuchać. W poprzednim tygodniu zaproponował jej, aby porozmawiała z psychologiem na temat młodzieńczego buntu, na co roześmiała mu się w twarz i powiedziała, że jest żałosny. Zanim wróciła do swojego pokoju, wyrzuciła z siebie, że życzy mu śmierci, bo wtedy wreszcie będzie mogła wieść spokojne życie. Jednym słowem w domu państwa Tipsbury panowała grobowa atmosfera.

Martin otworzył drzwi i wysiadł z samochodu, spoglądając za siebie, podczas gdy od strony kierowcy wysiadł osobnik, którego przedstawiono mu po prostu jako pana Ellingtnona. Był to potężnie zbudowany mężczyzna, którego głowa zdawała się wyrastać prosto z karku. Poruszał się powoli, z rozmysłem i gdyby nie mięśnie rozpychające jego dobrze skrojony garnitur, Martin uznałby, że człowiek

ten nie jest zdolny do jakiegokolwiek szybkiego działania, a co dopiero do ochrony innych - którą to funkcję obecnie pełnił, jak się domyślał Tipsbury.

- Czy naprawdę musi pan iść ze mną do domu, panie Ellington? - zapytał.

Mężczyzna powoli obrócił głowę i spojrzał na niego z góry. Nosił ciemne okulary, których nie zdjął ani razu, od chwili gdy się poznali, choć zapadał już zmrok.

Martin czuł się nieswojo w jego obecności, zwłaszcza że nie potrafił odgadnąć, kiedy tamten patrzył na niego, a kiedy nie.

- Pan O'Callahan nakazał, żebym był z panem przez cały czas. - Nawet jego głos przypominał zgrzyt dwóch ocierających się o siebie płyt tektonicznych.

- Rozumiem, ale chciałbym porozmawiać na osobności z córką i wyjaśnić jej, o co chodzi. Chyba może pan tu po prostu na nas poczekać, prawda?

- Pan O'Callahan powiedział, że...

- Tak! Wiem - jęknął Martin. - Wiem, co powiedział pan O'Callahan, dziękuję. Pomyślałem tylko... widzi pan... jestem w trudnej sytuacji... - Urwał wpatrzony w pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarz. Po chwili westchnął i dodał: - W porządku. Niech pan wejdzie, panie Ellington. Miejmy to już za sobą.

Nekrotrof obserwował, jak zbliżają się do domu, i syknął poirytowany, gdy zobaczył, że człowiekowi towarzyszy maug. Od razu zrozumiał, że nie będzie w stanie przejąć kogoś, kogo chroni tak potężny demon, dlatego odsunął się od okna i zaczął przechadzać się po pokoju, rozważając kolejne możliwości. Uznał, że zaczeka, aż nadarzy się idealna okazja do ataku. Ruszył do drzwi, kiedy tylko usłyszał zgrzyt klucza w zamku, i włączył światło w holu.

- Dlaczego siedziałaś w ciemnym pokoju? - zapytał Martin.

- Dopiero co weszłam do domu - odpowiedziała córka i cmoknęła ojca w policzek. - Nawet nie pytaj, nie byłam u Gremmy. Uczyłam się w bibliotece.

Tipsbury zmarszczył brwi i spojrzał uważniej na Philippę. Nigdy go tak nie witała, gdy wracał z pracy. Nigdy nie wychodziła z pokoju, żeby z nim porozmawiać. A już na pewno nigdy nie całowała go w policzek.

- Zaprosiłeś przyjaciela, tato? - zapytała i wyszła do kuchni, żeby nastawić wodę. - Nie mówiłeś, że z kimś przyjdiesz.

Martin wszedł dalej, a za nim jego ogromny towarzysz.

- To jest pan Ellington - powiedział cicho. - Pracuje ze mną.

- To miłe. Napije się pan herbaty, panie Ellington?

Tipsbury oniemiał. Kompletnie nie rozumiał, o co chodzi. Philippa nie miała w zwyczaju proponować komuś herbaty. Zazwyczaj z trudem wymuszała na niej, żeby chociaż pościeliła łóżko, a i tak na ogół stawała okoniem. Dlatego teraz podejrzewał, że coś przeszkrobała i w ten sposób próbuje to zatuszować. Jeśli tak było, to bardzo dobrze sobie radziła.

- Kochanie, wszystko w porządku?

- Jasne, tato. A czemu pytasz?

- Tak tylko. - Może w rzeczywistości nie było aż tak źle? Nie wiedział, jak powiedzieć córce, że muszą udać się prosto na lotnisko - zgodnie z instrukcjami pana O'Callahana - i nie wyobrażał sobie, żeby obyło się to bez protestów

Philippy i wypominania, że marnuje jej życie. Zawsze gdy dochodziło między nimi do poważnych konfliktów, groziła, że ze sobą skończy, twierdząc, że tak

będzie lepiej i dla niego, i dla niej. Martin, przytłoczony ciągłymi kłótniami, nigdy w takich chwilach nie wiedział, co powiedzieć, ponieważ bez względu na to, jak

reagował, sprawy i tak przybierały jeszcze gorszy obrót.

Sięgnął po kubek i napił się herbaty, nie zważając na to, że jest jeszcze gorąca.

Spojrzał na córkę, zbierając się na odwagę.

- Musimy jechać na lotnisko. Firma wysłała nas oboje na Seszele. Pan Charron pokrywa wszystkie koszty. Wyjeżdżamy natychmiast. Dzisiaj. - Wszystkie te słowa wypowiedział jednym tchem i skulił się spowity parą unoszącą się nad gorącego płynu, spodziewając się gniewnej riposty.

Demon, który zamieszkał w ciele Philippy Tipsbury, stąpał po grząskim gruncie. Nie mógł przejąć całkowitej kontroli nad nosicielem z obawy, że maug coś zauważy; demon ochroniarz bacznie wszystko obserwował, a nekrotrof nie chciał wzbudzać podejrzeń. Musiał działać delikatnie, tłumiąc reakcję tych obszarów mózgu nosiciela, które chciałyby zareagować gwałtownie na nowinę, a jednocześnie tak, żeby maug niczego nie podejrzewał. Liczył na to, że Martin przyjmie z zadowoleniem nieoczekiwaną zmianę w zachowaniu córki i że nie zacznie zbyt otwarcie okazywać niedowierzania w obecności towarzyszącego mu demona.

- Na Seszele? Tak po prostu? A co ze szkołą, tato? Zawsze mi powtarzasz, że w tym roku muszę więcej pracować i że nie powinnam zaniedbywać lekcji.

- Wszystkim zajmie się pan O'Callahan i obecny tu pan Ellington.

Zapewniono mnie, że firma jest w ścisłym kontakcie z dyrekcją szkoły i że będziesz mogła kontynuować naukę. Dostaniesz korepetytora.

W umyśle Philippy Tipsbury zakotłowało się od gniewnych myśli i gwałtownych odpowiedzi, lecz ona sama nie była w stanie wyartykułować swojego buntu.

Odnosiła dziwne wrażenie, że znajduje się na zewnątrz swojego ciała i przygląda się całej scenie z boku. W żaden sposób nie potrafiła wyrazić złości, jaką wywołała w niej wiadomość o wyjeździe.

Otworzyła usta, żeby mu oznajmić, iż nie wybiera się na żadną głupią wycieczkę...

- W takim razie w porządku. Jeśli tylko jesteś pewny, że nie podpadnę u pana Haytera. Mnie się ten pomysł podoba!

„Co ja wygaduję? Co się ze mną dzieje?”. Poczła panikę, lecz niemal w tym samym momencie uczucie to zaczęło topnieć i ustąpiło miejsca spokojnym, miłym myślom o tym, jak wspaniale spędzi czas z ojcem. Wyjazd znowu ich zbliży.

Spojrzała na tatę i się uśmiechnęła.

- Kurczę, zawsze chciałam pojechać na Seszele. W takim razie pójdę spakować trochę rzeczy, dobrze?

Wyszła do holu, a po chwili Martin usłyszał odgłos jej kroków, gdy lekko wbiegała po schodach, zmierzając do swojej sypialni. Zerknął na swego niezmiennie milczącego towarzysza i posłał mu nerwowy uśmiech. Nie posiadał się ze zdumienia.

Philippa zamknęła za sobą drzwi pokoju i oparła się plecami o zimną ścianę.

Wbiła wzrok w sufit. Nekrotrof przejął nad nią całkowitą kontrolę, tłumiąc burzliwe myśli i emocje, które wcześniej musiał dopuścić do głosu, skrywając się przed czujnym spojrzeniem mauga głęboko we wnętrzu nosiciela. Zrobiło mu się o wiele lepiej, kiedy mógł już się trochę odprężyć, zaczął więc obmyślać kolejne posunięcia.

Nie miał wyboru. Musiał opuścić kraj razem z tym marnym człowieczkiem, ojcem Philippy Tipsbury. Żałował, że nie będzie mógł go przejąć, zanim dotrą na Seszele, lecz śmierć na lotnisku albo na pokładzie samolotu wywołałaby zbyt duże zamieszanie i pewnie pozbawiłaby go szansy odkrycia, co takiego wie ten człowiek, że aż wysyła się go za granicę, i to pod strażą.

Nie, musi okazać trochę więcej cierpliwości. Na pewno nadarzy się okazja, żeby

wydobyć z Tipsbury'ego jego tajemnicę, kiedy już będą na miejscu, z dala od  
mauga. Wtedy złoży swojemu panu raport, pozostając w ciele nosiciela, który  
pozwoli mu wnikać w strukturę imperium zdradzieckiego Luciena Charrona.

Philippa uśmiechnęła się do siebie i zanuciła melodię, której nigdy wcześniej  
nie słyszała. Pochyliła się i przystąpiła do ścielenia łóżka; starannie wygładziła kołdrę i poprawiła  
poduszkę. Nie cierpiała niepościelonych łóżek.

- Czarną czy z mlekiem? - zapytał Charles, kiedy Trey wszedł do kuchni i rzucił torbę na podłogę przy stole.

- Szczerze mówiąc, nie przepadam za kawą. Może po prostu napiję się soku owocowego albo czegoś takiego.

- Och, daj spokój. Zrób mi tę przyjemność. Bardzo się starałem, a mówią, że robię najlepsze cappuccino w tej części świata.

Trey spojrzał na ogromny ekspres do kawy, który posykiwał i wyrzucał z siebie parę. Uznawszy, że zapach jest zachęcający, kiwnął głową.

- W takim razie niech będzie cappuccino. Bez cukru, za to dużo czekolady na wierzchu.

Usiadł i patrzył, jak Charles krząta się po kuchni. Poruszał się pewnie, jakby dobrze wiedział, gdzie co trzyma pani Magilton, otwierając szafki, w których znajdował dokładnie to, czego potrzebował. Przez chwilę Trey zastanawiał się, jakim cudem jego towarzysz jest tak świetnie zorientowany.

- Na pewno wolisz czekoladę, a nie cynamon? - zapytał czarownik z łyżką pełną brązowego proszku, uniesioną nad górą pianki, która drżała ponad krawędzią pękatego naczynia. Gdy chłopak skinął głową, Charles dokończył przygotowywać kawę. Przyniósł filiżanki na stół i postawił jedną przed Treyem, sam zaś zajął miejsce naprzeciwko niego.

- To miłe z twojej strony - powiedział Trey, a jego twarz przybrała pytający wyraz.

- Już ci mówiłem, że przychodzę wypalić fajkę pokoju przed jutrzejszym wyjazdem. Uznałem, że powinniśmy się dogadać, zanim znowu weźmiemy się za



lby.

Długą chwilę popijali kawę w milczeniu, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Jak...

- Co...

Odezwali się jednocześnie i natychmiast uśmiechnęli się do siebie.

- Ty pierwszy - rzekł Trey.

- Chciałem zapytać, jak często miałeś takie sparingi. Sądząc po tym, jak wyglądał

demon cienia, i po ranie, jaką odniosłeś, to musiała być niezła walka. Nie wydaje mi się, żebyś chciał robić to zbyt często.

- A zatem je widzisz? - zapytał chłopak. - Demony? Potrafisz zobaczyć ich

prawdziwą postać? Myślałem, że jesteś człowiekiem.

- Potrafię to dzięki zaklęciu. Za jego pomocą widzę, kto tu jest kim, i wiem, z

kim mam do czynienia. Ale szczerze mówiąc, ostatnio rzadko go używam.

Czasem bywa to dość żenujące.

- Wiem, co masz na myśli - rzekł Trey i pokiwał głową.

- Dla ciebie jest pewnym ograniczeniem to, że widzisz istoty cienia tylko wtedy,

kiedy zamieniasz się w wilkołaka. Może gdy wrócimy, spróbuję nauczyć cię tego

zaklęcia... o ile wrócimy. - Jego spojrzenie wyrażało zawziętość. Napił się kawy, po czym się uśmiechnął i dodał już pogodniejszym tonem: - Trudno je opanować,

ale skoro Tomowi się udało, choć zajęło mu to ponad rok, to ktoś taki lotny jak ty z pewnością w mig je opanuje.

- Dzięki - odparł Trey.

- Muszę przyznać, że robisz ogromne wrażenie - rzekł Charles. - Mowę mi

odjęło, kiedy cię zobaczyłem tam, w sali. Myślę, że dobrze jest mieć przy sobie

kogoś, kto potrafi zmusić do takiego wysiłku demona cienia.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Spotykamy się kilka razy w tygodniu. Na początku zaczęliśmy od

„bezpiecznych” sparingów, tylko ostatnio trochę się zapędziliśmy. Ale się nie ranimy.

Charles spojrział na niego znad brzegu swojej filiżanki.

- Uważaj na demony cienia. Nigdy nie wiadomo, co knują.

- Flaug jest przyjacielem.

- Wszystko jedno, bądź czujny, obdarzając zaufaniem te istoty. Potrafią

niespodziewanie zmienić front, a wtedy stają się bardzo wredne.

Chłopak popatrzył mu w oczy. Na początku tej rozmowy naprawdę miał ochotę

posłuchać, co czarownik ma mu do powiedzenia, lecz teraz nagle poczuł irytację.

Już chciał stwierdzić, że jakoś nie czuje, by akurat jego mógł obdarzyć zaufaniem, ale Charles go uprzedził:

- Podoba ci się Alexa, prawda?

Trey odstawił filiżankę na spodek i zmierzył czarodzieja twardym spojrzeniem.

- Posłuchaj. Nie widzę...

- W porządku. Niczego jej nie mówiłem i nie zrobiłbym tego. Chciałem się tylko upewnić w swoich domysłach.

- Nawet gdyby tak było, to nie twój interes.

- Masz rację. To nie mój interes... już nie.

Trey milczał.

- Uważam jednak, że powinniśmy sobie wszystko wyjaśnić, dlatego mówię ci otwarcie, że kiedyś z nią chodziłem.

Trey poczuł dziwny ucisk w żołądku i przełknął gulę, która blokowała mu

ściśnięte gardło. Domyślił się, że coś łączy Alexę i Charlesa, gdy obserwował ich podczas kolacji; zauważył, jak ona dotykała jego ramienia, śmiała się z jego

dowcipów i bawiła się kolczykami za każdym razem, kiedy zabierał głos (stanowczo zbyt często). Trey starał się odpędzić od siebie wspomnienia tamtego wieczoru, lecz one wciąż powracały, tworząc dokuczliwą pętlę małostkowej zazdrości.

- Ale to już koniec - dodał czarownik, jakby czytając w jego myślach. -

Zerwaliśmy ze sobą na krótko przed twoim pojawieniem się i nie ma szans, byśmy znów się zeszli. Uznałem, że powinienem wyłożyć karty na stół, zanim dowiesz się o tym w inny sposób.

Chłopak po raz kolejny wzruszył ramionami.

- To nie mój interes... ale dzięki. - Skinął głową i skupił uwagę na kręgu białej piany, znikającym powoli na wewnętrznej krawędzi filiżanki.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Żaden z nich nie wiedział, jak wrócić na neutralny grunt.

- Co wiesz o Gwendolinie? - zapytał wreszcie Trey.

- Może lepiej ty mi powiedz, co o niej wiesz, a ja uzupełnię luki.

Trey wzruszył ramionami.

- Niezbyt dużo. Tylko tyle, że była partnerką Luciena i jest matką Alexy. Mam wrażenie, że nikt nie chce o niej rozmawiać. Dlaczego?

Charles wydał policzki i spojrzał za okno, przez które wpadało światło zmaćcone mgiełką unoszącą się nad rzeką.

- Bo to raczej wstydlivy temat, jak sądzę.

Trey czekał na dalsze wyjaśnienia.

- Mój ojciec pracował tu wtedy. Opowiadał mi, że kiedy się poznali - Lucien i Gwendolina - ona miała osiemnaście lat. Od razu się w niej zadurzył. Była

dziewczyną o nieprzeciętnej urodzie: miała długie rude włosy, które falami opadały jej na plecy, a przy tym nie brakowało jej też inteligencji i determinacji.

Chłopak powrócił myślami do Alexy, zastanawiając się, w jakim stopniu jest podobna do swoich rodziców. Mając w pamięci twarz dziewczyny, spróbował wyobrazić sobie jej matkę.

- Nie rozstawali się ani na chwilę. I wspólnie udaremniali plany Kalibana w czasie, gdy był on u szczytu mocy. Lecz w miarę upływu czasu ich związek zaczął się psuć. Początkowo nie było to nic poważnego, ale ich wizje dotyczące dalszej wspólnej drogi różniły się coraz bardziej.

- Co masz na myśli?

- Gwendolina coraz intensywniej zgłębiała tajniki czarnej magii. Prowadziła poszukiwania starożytnych zwojów i tekstów uważanych za zaginione - zebrała zespół ludzi, którzy dla niej pracowali - aby przyswoić sobie zawarte w nich nauki.

Lucien próbował ją powstrzymać, lecz broniła się: twierdziła, że nigdy nie pokonają zła, uosobianego przez Kalibana, jeśli nie zrozumieją, skąd się ono wywodzi. - Charles zerknął na Treya, a po jego ustach przemknął nerwowy uśmiech.

- Od dawna posiadała niewiarygodną moc. Zawsze była niezwykle zdolną uczennicą; matka bardzo wczesnie zadbała o jej edukację, do tego Gwendolina wykazywała naturalne zdolności do uprawiania magii. Przewyższyła wszystkich czarnoksiężników, jacy żyli przed nią, jednak zazdrośnie strzegła swoich tajemnic i umiejętności. Czarna magia może tak wpływać na ludzi. Ta zdradliwa moc pochłania tych, którzy ją uprawiają. Badając jej tajniki, poznajemy różne aspekty, a jednocześnie boleśnie doświadczamy niebezpieczeństw, jakie czyhają

na tych, którzy zanurzają się zbyt głęboko. Może przez lekkomyślne przekonanie, że będzie potrafiła oprzeć się niszczącej sile czarnej magii, a może wiedzona upodobaniem do niej, Gwendolina uznała, że właśnie opanowania tej wiedzy pragnie, bez względu na cenę, jaką przyjdzie jej zapłacić. Sytuacja stała się bardzo trudna. I wtedy zaszła w ciążę.

- Z Alexą? - zapytał Trey.

- Tak. Zmieniła się. A przynajmniej tak się wydawało. Porzuciła badania i oddała się urokom macierzyństwa. Upłynęło osiem lat od spotkania z Lucieniem, a w ciągu ostatnich trzech przeszła całkowitą metamorfozę. Ale dziecko...

dziecko odmieniło wszystko w jednej chwili i niemal z dnia na dzień Lucien i Gwendolina stali się tak szczęśliwi jak na początku swojego związku. Dziecko, niczym świetlista sfera, rozproszyło ciemności, które zaczęły pochłaniać Gwendolinę.

- I co się wydarzyło? - zapytał Trey, gdy zapadła chwila ciszy, która zdawała się trwać całe wieki.

- Na początku nic. Urodziła się Alexa, a Gwendolina i Lucien wpadli w ekstazę, jakiej doświadczają wszyscy rodzice. Świata nie widzieli poza niemowlęciem i przez jakiś czas wydawało się, że wszechświat znowu wskoczył na normalne tory.

Lecz po upływie roku Gwendolina powróciła do swoich zainteresowań - jeśli w ogóle kiedykolwiek naprawdę się ich wyrzekła - choć zaklinała się, że już jej nie zajmuje czarna magia, a chce tylko doskonalić umiejętności. Lucien pozwolił, by oddawała się tym praktykom, miała tylko dotrzymać obietnicy.

Niestety, tak jak mówiłem, czarna magia wchodzi pod skórę i wnika w krew, czekając, aż się odsłonisz, i wtedy przypomina o sobie, domagając się należytej uwagi. Gwendolina nie potrafiła oprzeć się jej wpływowi. Znowu potajemnie

zebrała zespół ludzi, a ci zaczęli wygrzebywać dla niej mroczne sekrety, które powinny były pozostać w ukryciu. Zaczęła tracić poczucie rzeczywistości. Uległa obsesyjnej żądzy zdobywania coraz większej mocy, oddalając się od tych, którzy ją kochali. Aż wreszcie Lucien uznał, że stała się niebezpieczna. Istnieją takie miejsca - w innych światach - dokąd można odesłać zagubione dusze po pomoc, coś w rodzaju odwyku dla czarnoksięskich ćpunów. Któregoś dnia wszedł do pokoju Gwendoliny i zastał ją w trakcie bardzo ryzykownego przywołania. Próbowano sprowadzić Horga, władcę demonów, którego wypędzono z Otchłani przed wiekami. Żeby przywołanie się powiodło, należało złożyć ofiarę. Ta była już przygotowana i Gwendolina z pewnością dopełniłaby rytuału, gdyby Lucien jej nie przeszkodził. Charles zamilkł i popatrzył dziwnie na Treya.

- Czy chodziło o ofiarę ze zwierzęcia, czy może z człowieka? - zapytał chłopak słabym głosem. Pokój wypełniła wręcz namacalna cisza.

Czarodziej skinął powoli głową, przekonany, że rozmówca już się domyślił.

- Alexa - powiedział. - Gwendolina zamierzała złożyć w ofierze własną córkę.

- Alexa. - Trey poczuł suchość w ustach; po tym, co właśnie usłyszał, zakręciło mu się w głowie. - Czy ona wie...

- Nie. Nie wie. Dlatego Lucien powiedział jej, że matka nie żyje. Bo co innego mógł zrobić?

Dowie się.

- Miejmy nadzieję, że nie. Dla własnego dobra.

Trey spojrzał na Charlesa i pokręcił głową.

- Dlaczego mi to opowiedziałeś? Nie zrozum mnie źle. Cieszę się, że to zrobiłeś, ale dlaczego?

- Ponieważ musisz być świadom tego, przeciwko czemu występujemy.

Gwendolina to czyste zło. Ani ona, ani Kaliban nie zawahają się, by unicestwić wszystko, co jest godziwe i dobre na tym świecie. Za wszelką cenę będą chcieli zniszczyć takich jak my. Jutro wyruszamy, by spróbować odebrać im prastary i potężny przedmiot, ukraść im go sprzed nosa. To już nie będzie sparing z demonem cienia - musisz być tam bardzo, bardzo uważny, Treyu.

- W takim razie mam nadzieję, że jesteś tak dobry, jak twierdzi Alexa,

Charlesie - odparł chłopak i głęboko odetchnął, po czym wstał, by sprzątnąć ze stołu. - Bo wygląda na to, że naprawdę będzie nam potrzebna wszelka pomoc.

Charles mu przytaknął.

- Jej nie wolno tam wejść. Nie możemy pozwolić, żeby stanęła twarzą w twarz z Gwendoliną, gdy już znajdziemy się w Leroth.

Trey odwrócił się do niego.

- Tak? A w jaki sposób ją powstrzymamy?

- To będzie trudne, ale rozmawiałem z Tomem i mamy już pewien plan.

Lot do Rejkiawiku rankiem następnego dnia opóźniał się. Prywatny odrzutowiec Luciena zaczął już kołować na pas startowy, kiedy nieoczekiwanie zwolnił, zatrzymał się i wrócił na miejsce startu. Gdy pilot wrócił do kabiny, oznajmił, że nastąpiło STCA.

- Krótkoterminowy alert o możliwości konfliktu - wyjaśnił. - Oznacza to, że

dwa samoloty znalazły się zbyt blisko siebie w powietrzu i trzeba było podjąć akcję zapobiegawczą. Opóźnienie nie powinno być zbyt duże. Jak tylko się wzniesiemy, postaram się nadrobić stracony czas.

- Dziękuję ci, Nigelu - odparł zaszępiiony Tom i zerknął na zegarek.

Opóźnienie wydłużyło się do trzech godzin. Czekali w osobnym pomieszczeniu, które im udostępniono na terenie lotniska. Posilili się, potem próbowali oglądać telewizję, szybko się jednak znudzili, ponieważ bardzo chcieli już odlecieć.

Wreszcie znaleźli się w powietrzu, a pilot wciąż ich przeproszał za opóźnienie, mimo że w niczym przecież nie zawinił.

Trey wyciągnął się w wygodnym skórzanym fotelu naprzeciwko Toma. Gdy zerknął na przyjaciela, doznał nieprzyjemnego uczucia déjà vu. Kiedy ostatnim razem leciał tym samolotem, mknęli do Amsterdamu, by uwolnić Alexę z rąk Kalibana. Przez chwilę zastanawiał się, czy kiedyś będzie miał okazję odbyć normalny lot, może na wakacje, aby po wyjściu z samolotu nie spotkać nikogo, kto pragnąłby go zabić.

Irlandczyk sprawiał wrażenie mocno podenerwowanego i wciąż wodził wzrokiem po kabynie, szukając nieistniejących zagrożeń. Co jakiś czas wyjmował z



kieszeni telefon komórkowy, patrzył na jego ekran i chował go z nachmurzoną twarzą. Trey w pełni uzmysłowił sobie wagę ich przedsięwzięcia, gdy leżał na łóżku wieczorem poprzedniego dnia i w kółko powracał myślami do rozmowy z Charlesem. Spojrzał na Alexę i uśmiechnął się, widząc, że na niego patrzy. Skinął jej głową i sięgnął po gazetę. Wydawało się, że żadne z ich czwórki nie ma ochoty na rozmowę; wszyscy trwali w milczeniu pogrążeni we własnych myślach.

Ograniczali się do ukradkowych spojrzeń i zachęcających gestów, niczym spadochroniarze przed swoim pierwszym skokiem za linię frontu.

Miał już odłożyć gazetę i pójść się czegoś napić do kuchni pokładowej, kiedy usłyszał w głowie czyjś głos.

- W porządku, Treyu? - zapytała dziewczyna.

Zamknął oczy i skupił się na słowach zaklęcia, które powtarzał tyle razy tamtego popołudnia w sali konferencyjnej, formując je w swoim umyśle, a potem zaczął pokonywać kolejne mentalne etapy, przez które bardzo starannie przeprowadził go jego nauczyciel. Delikatne drgnięcie w głowie podpowiedziało mu, że zaklęcie zadziałało, więc otworzył oczy.

- Tak, dzięki - odpowiedział. - Trochę się tylko stresuję. Masz ochotę się czegoś napić? Zamierzałem iść do kuchni po colę albo coś takiego.

- OK. Chętnie rozprostuję nogi.

Wstali jednocześnie i zapytali pozostałych, czy czegoś nie potrzebują. Gdy ich towarzysze pokręcili głowami, poszli do małej kuchni umieszczonej z tyłu odrzutowca.

- Co się dzieje z Tomem? - syknęła Alexa, kiedy tylko zostali sami.

- Co masz na myśli? Po prostu trochę się denerwuje.

- Tom nigdy się nie denerwuje. Mnóstwo razy widziałam go podczas pracy z

ojcem i nigdy tak się nie zachowywał. Chciałabym z nim porozmawiać, ale nie wiem, jak zacząć.

- Lepiej zostaw go w spokoju, Alexo. Musi poukładać sobie wszystko w głowie, a pogaduszki z tobą nie pomogą mu w niczym. Nic mu nie będzie.

- Myślisz, że niepokoi go mój udział w akcji przeciwko matce? Bo jeśli tak, to muszę mu wyjaśnić, że niepotrzebnie się martwi. Nie mam pewności, czy...

- Nie, Alexo. Myślę, że nie w tym rzecz - przerwał jej Trey. Widząc jej pytające spojrzenie, szybko odwrócił głowę, aby ukryć zmieszanie.

- Co się dzieje? Wiesz coś, czego ja nie wiem?

- Nie.

- Kiepski z ciebie kłamczuch. Co wy przede mną ukrywacie?

- Och, napijmy się, proszę. - Szybkim ruchem wyjął z lodówki puszkę i wrócił na swoje miejsce.

Dziewczyna poszła za nim. Nie spojrzał jednak na nią, tylko sięgnął do plecaka, szukając czegoś, czym mógłby się zająć przez resztę lotu. Odłożył netbooka, którego kupił niedawno, i wyjął odtwarzacz MP3, po czym wybrał album Kings of Leon i zamknąwszy oczy, zanurzył się w muzyce.

Martin Tipsbury, wygodnie usadowiony w fotelu pierwszej klasy, odwrócił stronę powieści w miękkiej oprawie, którą kupił na lotnisku. Zaopatrzył się naraz w pięć książek z zamiarem przeczytania ich wszystkich przy basenie podczas tego niespodziewanego urlopu. Ostatnio nie miał czasu na takie rozrywki, o czym pomyślał z irytacją, ponieważ gdy tylko zabrał się do lektury, od razu poczuł, jak dużą przyjemność mu to sprawia. Teraz będzie mógł oddawać się temu zajęciu przez całe dwa tygodnie - pan O'Callahan oznajmił mu, że w zasadzie mógłby wrócić do pracy już po tygodniu, ale nalegał, aby Martin został na wakacjach pełne czternaście dni i wykorzystał ten czas jak najlepiej.

Teraz, gdy mógł spokojnie zastanowić się nad ostatnimi wydarzeniami, zaczęło do niego docierać, jak ogromne spotkało go szczęście, i nie potrafił w to uwierzyć. Przecież wykonywał tylko badania, które mu zlecano, a tu niespodziewanie, jakby w nagrodę, otrzymał wycieczkę na Seszele, i to całkowicie opłaconą! Uśmiechnął się do siebie. Może wreszcie los się odwrócił? Nigdy nie należał do szczęściarzy, za to teraz czuł się tak, jakby wygrał główny los na loterii. Napił się jeszcze szampana, pozwalając, by pękające bańki łechtały go w nos, i pomyślał, że nic go nie obchodzi, co się za tym wszystkim kryje, i że za nic nie pozwoli, by cokolwiek zepsuło mu zabawę. Albo ktokolwiek.

Zerknął na córkę i się uśmiechnął. Zasłoniła oczy przed oślepiającym blaskiem słońca, który wlewał się przez okrągłe okna do wnętrza samolotu. Patrzył, jak oddycha płytko i równomiernie, trochę zdziwiony faktem, że zasnęła, gdy tylko zajęli swoje miejsca.

Westchnął zadowolony. Philippa okazywała mu życzliwość. Była dla niego tak miła jak nigdy wcześniej. Przypomniał sobie ich awanturę sprzed tygodnia, kiedy to postanowił okazać jej więcej stanowczości, zgodnie z radą swojego brata.

Wtedy pierwszy raz podniósł na nią głos. A ona się roześmiała i powiedziała, że jest żaloszny i że nie może się doczekać, kiedy będzie mogła wyprowadzić się z domu, aby znaleźć się od niego jak najdalej. Ale najwyraźniej udało mu się jednak trafnie dobrać argumenty, bo teraz okazywała mu szacunek. Martin postanowił, że pójdzie za radą pana O'Callahana i potraktuje cały wyjazd jako szansę, by poprawić swoje relacje z Philippa.

Rozsiadł się wygodnie i po raz kolejny się rozejrzał. Nigdy wcześniej nie leciał pierwszą klasą, dlatego wciąż nie mógł się nadziwić, jak przestronna jest ta część samolotu i jak bardzo stewardesy troszczą się o pasażerów. Wypił już trzy kieliszki szampana i czuł przyjemny szum w głowie. Nienawykły do alkoholu uznał, że musi

zvolnić, żeby się nie pochorować, bo przecież nie chciał spędzić reszty podróży w toalecie. Opuścił oparcie fotela i wyciągnął się wygodnie jak na łóżku.

Natychmiast zjawiała się stewardesa z poduszkami, które chętnie przyjął; postanowił, że książkę poczyta przy basenie, a teraz spróbuje się przespać tak jak jego córka.

Zamknął oczy z leniwym uśmiechem zadowolenia na ustach.

Leżący tuż obok nekrotruf upewnił się, że Martin śpi, po czym podniósł oparcie swojego fotela i usiadł. Spojrzał na pochrapujące ciało. Z całych sił starał się stłumić w sobie pogardę, jaką odczuwał wobec tej żalosznej ludzkiej kreatury, tak by jego emocje nie odmalowały się zbyt wyraźnie na twarzy nosiciela. Z jaką radością przeprowadziłby przeniesienie już teraz, by zakończyć tę idiotyczną farsę!

Ale będzie musiał, niestety, jeszcze poczekać. Aż nadejdzie stosowna chwila.

Philippa Tipsbury wstała, by udać się do łazienki. Kiedy się podnosiła, książka jej ojca spadła na podłogę.

Spojrzała na nią i zobaczyła, że zdążył przeczytać zaledwie kilka stron. Na jej twarzy pojawił się przebiegły uśmiech. Podniosła powieść i położyła ją na półce pomiędzy siedzeniami.

Obiecała sobie w duchu, że ojciec już nie dokończy ani tej książki, ani żadnej innej.

Ciało martwej kobiety leżało na jego kolanach. Z opadającej w dół głowy powoli skapywała krew, tworząc coraz większą kałużę pod nogą dużego ozdobnego krzesła, na którym siedział Kaliban.

Prastary wampir przesunął czubkiem języka po kłach, zlizując z nich resztki krwi. Szare, cieniutkie jak papier powieki zakryły żółte tęczówki jego oczu oraz czarne wydłużone źrenice. Pokrzepiony, znowu odnalazł w sobie energię, której od wieków pragnął jego gatunek; powoli pokręcił głową z boku na bok, aby rozluźnić szyję, i poczuł, jak wracają mu siły. Zepchnął ciało na podłogę, otarł podbródek i wstał. Czuł się niezniszczalny.

Usłyszał kroki za drzwiami ogromnej sali na górze wieży, którą zajmował, i przez chwilę zastanawiał się, kto ma czelność przeszkadzać mu w takiej chwili.

Przesunął po łysej głowie dłonią zakończoną szponami i wyprostował się, gotów na spotkanie z gościem, ktokolwiek to był.

Gdy skinął palcem lewej dłoni, z mroku za krzesłem podobnym do tronu wysunęła się czarna jak noc macka. Niczym wąż popęzła po podłodze, owinęła się wokół ramienia zmarłej i wciągnęła ciało w obsydianową ciemność.

Niewyraźne pomruki przeszły w zgiełk podnieconego bełkotu, lecz syknięcie poirytowanego Kalibana natychmiast je uciszyło i znowu słychać było tylko mamroczące szepty.

Wampir otworzył drzwi i popatrzył na stojącego na progu mauga. Demon zerkał na niego spod krzaczastych brwi, bojąc się podnieść głowę i spojrzeć mu w oczy.

- Co tam znowu? - syknął Kaliban. - Nie rozumiesz, jak do ciebie mówię, że

nie wolno mi przeszkadzać o tej porze?

- Powiedziała, że to ważne, panie – wymamrotał maug.

Kaliban czekał.

Gwendolina odsunęła na bok potężnego demona i weszła do środka. Ledwo

dostrzegalnym ruchem dłoni zamknęła drzwi tuż przed twarzą strażnika.

Wiedźma, która stała przed Kalibanem, w niczym nie przypominała żony

Luciena i matki Alexy, kobiety o nieprzeciętnej, subtelnej urodzie. Nie zostało w niej już nic z człowieka, gdyż całkowicie przesiąknęła mocą, której oddała się bez

reszty. Darmo by szukać białej alabastrowej skóry, elfich oczu czy wyraźnych, choć delikatnych rysów twarzy, która niegdyś tak zachwyciła Luciena. Teraz patrzący

widział tylko ponurą pośmiertną maskę istoty cienia, trawionej jadami i

nienawiścią do wszystkiego, czym kiedyś była. Zjawiała się u Kalibana po tym, jak

jego brat spróbował ją zabić, i przedstawiła mu swoje intrygi i plany dotyczące tego, w jaki sposób pogrążyć w chaosie świat ludzi. Z czasem bez reszty poświęciła się

czarnej magii i uzyskała moc, która uczyniła ją najważniejszą osobą w

imperium Kalibana.

Wampir czekał, starając się opanować narastające rozdrażnienie, wiedział

bowiem, że nie należy jej popędzać. Wrócił na swój tron.

- Tak? - zapytał, kiedy znów się usadowił.

Gwendolina zrobiła kilka kroków w jego stronę, podniosła głowę i uśmiechnęła

się, ukazując zęby, poczerniałe i tak zepsute, że zostały z nich już tylko

połyskujące pieńki wystające z dziąseł.

Odpowiedział jej uśmiechem i celowo odsłonił imponujące kły, licząc na to, że

może w ten sposób nakłoni ją do mówienia.

- Odnieśliśmy pewien sukces - zaczęła.

- Pewien sukces?

- Wydaje się, że upiory są bardziej... nieprzewidywalne, niż się spodziewaliśmy. Ponieważ na razie udało nam się przywrócić do życia zaledwie jednego, trudno powiedzieć, czy tylko ten draugr jest tak nieokiełznany, czy też wszystkie inne będą się podobnie zachowywać. Podejrzewam, że ta druga ewentualność jest bardziej prawdopodobna.

- Chaos to nasza specjalność, Gwendolino. Ta istota nie może być chyba aż tak zła, jak sugerujesz?

Uśmiech, który wkradł się na ponure oblicze wiedźmy, zniknął po chwili i wampir znowu patrzył na twarz pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

- Przyjdź i sam zobacz - odparła. - Zdołaliśmy nad nim zapanować.

Kaliban przechylił głowę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Od dłuższego czasu niezmordowanie usiłowali wskrzesić draugry spoczywające w kurhanach, lecz bez powodzenia. Gwendolina pracowała zamknięta w swoim pokoju na szczycie wieży, gdzie trzymała prastare księgi i manuskrypty, i dopiero rankiem tego dnia oznajmiła, że znalazła odpowiednie zaklęcie w dawno zapomnianym zwoju. Kiedy poinformowała o tym starego wampira, ten ujrzał na jej twarzy podniecenie, jakiego dawno już tam nie widział. Teraz jednak jej oczy zdradzały, że żałuje, iż w ogóle mu o tym wspominała.

- Dobrze, Gwendolino. Pokaż mi, co tam mamy.

Kaliban zszedł z tronu, a gdy ruszył ku drzwiom, zgiełk dochodzący z cienia w głębi sali nasilił się i przybrał postać kakofonii gardłowych głosów oraz zwierzęcych pomruków, które nakładały się na siebie i mieszały.

- Uciszcie się. Niedługo wrócę, a wtedy najecie się do woli.



Zamknął drzwi i podążył za wiedźmą.

- Ale tu zimno! - powiedział Trey i zapiął suwak pod samą szyję. -

Dlaczego? Przecież jest prawie wiosna! - Teraz się cieszył, że posłuchał Alexy i przed wyjazdem kupił sobie kurtkę. Porządną, puchową. Kosztowała fortunę, ale sprzedawca zapewniał go, że nie znajdzie lepszej na bardzo zimne dni. Trey miał nadzieję, że się nie mylił.

- W końcu jesteśmy na Islandii - odpowiedziała Alexa z uśmiechem.

Opuścili lotnisko i ruszyli do samochodu, który czekał na nich w umówionym miejscu.

- I jeszcze ten cholerny deszcz - jęknął chłopak. - Czy Kaliban nie mógł przenieść Leroth w jakieś tropikalne miejsce? Może na Barbados. Albo na Kubę... zawsze chciałem pojechać na Kubę.

- To tylko mżawka. Nie rozpuścisz się - rzekł Charles, wkładając dużą torbę do bagażnika.

- Tak, ale właśnie ten deszcz tak mnie denerwuje - wciska się w każdą szczelinę ubrania. Najgorszy rodzaj. Gdyby istniały zestawienia porównawcze dotyczące różnych typów deszczu...

- Przestań narzekać na pogodę i wsiadaj, dobra? - warknął Irlandczyk i otworzył drzwi ogromnego czarnego samochodu. - Nie wiem, czy pamiętasz, że mieliśmy się tutaj zjawić, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, nie chcę więc wystawać na widoku w nieskończoność, wysłuchując twojego marudzenia.

- Przepraszam.

Kiedy tylko wszyscy wsiedli, Tom zwrócił się do kierowcy, który czekał w

milczeniu, aż zajmą swoje miejsca.

- Hjelmarze, kopę lat - powiedział i uściśnął dłoń mężczyzny. -

Przepraszam za spóźnienie, ale wynikły pewne komplikacje. Jakiś idiota omal nie doprowadził do kolizji dwóch samolotów w powietrzu!

- Dostałem twoją wiadomość. Nie ma problemu. Nie twoja wina. -

Mężczyzna, prawie tak samo duży jak Irlandczyk, mówił z silnym nordyckim akcentem.

Tom spojrział przez ramię na towarzyszy na tylnym siedzeniu.

- To jest Hjelmar Stefansson. Hjelmarze, to Trey, Charles i Alexa, córka Luciena.

- Miło mi was poznać - odparł Islandczyk. - Alexo, gdy cię widziałem poprzednim razem, byłaś jeszcze małą dziewczynką. Przyjechałaś tu z ojcem.

Mam nadzieję, że wróci do zdrowia i znowu nas odwiedzi. - Uruchomił silnik i wyjechał łukiem z podjazdu, opuszczając teren lotniska. - Wasz domek znajduje się kilka mil za miastem. Zostawiłem tam zamówiony przez ciebie sprzęt.

- Spojrzął na Toma spod uniesionych brwi. - Czy wolno mi zapytać, co tu robicie?

- Nie wolno. Ale jak tylko będzie po wszystkim, opowiem ci z pikantnymi szczegółami przy butelce tej islandzkiej wódki, którą tak lubisz.

- Umowa stoi. Ale opowiesz mi wszystko... i ty stawiasz.

Trey uśmiechnął się, patrząc na pogrążonych w rozmowie mężczyzn.

Wielu podobnych do nich widywało się w organizacji Luciena - twardzieli, którzy prawie w każdej sytuacji wiedzą, co robić. Spojrzął w bok na krajobraz

za oknem auta. Oddalili się już od lotniska Keflavik i uderzyła go wszechogarniająca ponurość okolicy. Wydawało się, że ogląda surowy pejzaż namalowany przez artystę, który nie miał na swojej paletce żadnych innych kolorów poza szarym i żółtawozielonym. Wcześniej wyczytał w przewodniku, że NASA wykorzystywała tutejsze tereny do symulacji powierzchni Księżyca podczas przygotowań astronautów do misji Apollo 11. Teraz już rozumiał dlaczego.

Próbował wypatrzeć jakieś drzewo w tej skalistej okolicy i wreszcie zauważył jedno chowające się przed chłodem pod ścianą opuszczonego domu. Przypominało chude wystraszone dziecko, które ukrywa się w wiacie na rowery przed prześladowającymi je szkolnymi tyranami, by uniknąć kolejnego lania, jakie zamierzali mu spuścić.

Charles musiał chyba odgadnąć myśli chłopaka, bo nachylił się do niego i powiedział szeptem:

- Teraz rozumiesz, dlaczego to miejsce nazywają europejską stolicą samobójców.

Trey się uśmiechnął.

- Wyobrażasz sobie, jak tu jest zimą, kiedy w ogóle nie świeci słońce?

Okropność!

- W rzeczywistości chyba Norwegia dzierży tę niechlubną palmę pierwszeństwa, przynajmniej rości sobie do niej prawo - odezwał się Hjelmar ze swojego miejsca za kierownicą. - Trey i Charles popatrzyli po sobie zażenowani. -

A ciemność może być dobra, jeśli się ją polubi.

Tom się odwrócił i zmierzył obu młodzieńców groźnym spojrzeniem, niczym

ojciec, który przyłapał dzieci na tym, że czynią obsceniczne gesty wobec

kierowców samochodów jadących za nimi. Speszeni pochyłili głowy nad mapą,

którą Charles trzymał na kolanach, i przez resztę podróży już się nie odezwali.

Po dwudziestu minutach przybyli do miejsca przeznaczenia. Irlandczyk

otworzył drzwi niedużego domku i szybko zapędził wszystkich do środka,

rozglądając się po okolicy. Miło było znaleźć się w ciepłym wnętrzu, zdjęli więc

kurtki i się rozejrzeli.

Trey stał przy kaloryferze w salonie, gdy weszła Alexa i zatrzymała się obok

niego. Nikt nic nie mówił, nerwowe podniecenie, które ich ogarnęło, odbierało

im chęć do rozmowy. Chłopak wydał policzki i pokazał głową drzwi, przez które

Hjelmar wnosił ostatnie bagaże.

- Nie mówiłaś, że byłaś już na Islandii - powiedział.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Mało co z tego pamiętam. Ojciec pomagał Hjelmarowi i jego przyjaciołom w

walce z plagą wampirów. Hjelmar nas tu zaprosił, kiedy było już po wszystkim. Dla wampirów to wymarzone miejsce - krótkie dni i długie noce - dlatego zawsze tu

ciągną.

- Islandia szczyci się długą historią magii i czarnoksięstwa. - Charles do nich

dołączył. - Stanowi strategiczny punkt w imperium Luciena, ponieważ z jakichś

względów tutaj łatwiej jest otworzyć portal do Otchłani niż w innym krajach.

Dlatego tak szybko udało nam się namierzyć Kalibana, gdy tylko rozpoczął tu swoją działalność - uważnie obserwujemy podobne miejsca.

- Przecież musiał się domyślać, że go zlokalizujecie.

Charles wzruszył ramionami.

- Tak jak mówiłem, to strategiczny punkt, ale Kaliban mógł uznać, że pod

nieobecność Luciena nie będziemy aż tak pilnie śledzić sytuacji.

- Jak już skończycie kłapać dziobami, to może pomożecie uprzątnąć te torby, żeby nie walały się pod nogami - z korytarza dobiegł ich głos Toma.

Do środka wszedł Hjelmar i podał Irlandczykowi kluczyki do auta. Skinął głową z poważną miną.

- Przyjechał Jon. Zabierze mnie. Macie prawie pełny bak, więc nie żałujcie

sobie. Gdybyście musieli szybko się stąd wynieść, zostawcie samochód gdziekolwiek i zawiadomcie mnie, skąd mam go odebrać. - Spojrzał w głąb pokoju i kiwnął

głową pozostałym. - Pozdrów ojca, Alexo, jak już stanie na nogi. Treyu, miło było cię poznać. Może przy następnej okazji trochę pozwiedzamy, co?

Odwrócił się, a zanim wyszedł, zawołał jeszcze przez ramię:

- Lodówka i kredens są pełne, możecie brać, co wam się żywnie podoba!

Do pokoju wszedł Tom. Najwyraźniej zaczął już rozpakowywać rzeczy, które zostawił dla niego Hjelmar, gdyż trzymał paskudnie wyglądający karabin automatyczny.

- Kto się napije herbaty? - zapytał.

Wnętrze pokoju przypominało miejsce eksplozji. Podłoga usłana była drewnianymi drzazgami i kawałkami poskręcane metalu, a nieopodal dziwnego upiora leżały dwa ciała niczym makabryczne wyspy unoszące się na szkarłatnym morzu. Jeden z martwych demonów miał oderwaną głowę, choć nigdzie nie było jej widać. Drugi wyglądał tak, jakby zgniótł go jakiś ogromny ciężar: organy wewnętrzne, zamiast znajdować się na swoim miejscu, wydobyły się z niego, tworząc śliską obrzydliwą miazgę rozlaną wszędzie dookoła. Pozostali dwaj strażnicy stali pod ścianą, możliwie najdalej od draugra, i wpatrywali się w niego. Mimo że trzymali w rękach długie, okrutnie wyglądające włócznie, ich spojrzenia wyrażały czysty, niczym nieskażony strach.

- Co to ma znaczyć? - Głos Kalibana przerwał dziwną ciszę, jaka wypełniała pomieszczenie, w którym jeszcze niedawno rozbrzmiewała symfonia agonalnych wrzasków. Zmierzył maugów pogardliwym spojrzeniem. – Czemu się tak chowacie? Posprzątajcie ten bałagan.

Wymamrotali niezrozumiałe przeprosiny, lecz nie ruszyli się ze swoich w miarę bezpiecznych pozycji.

Wampir ogarnął wzrokiem pogrążony w chaosie pokój, zanim zatrzymał wzrok na istocie stojącej pośrodku. Ruszył powoli przed siebie, ostrożnie stąpając między resztkami ciał po mokrej od krwi podłodze. Draugr obserwował go dawno zgasłymi oczami, a jego ogromna pierś falowała. Nadgarstki opasywało coś na podobieństwo grubych srebrnoszarych okowów z migocącego światła, które poruszały się płynnie w rytm ruchów istoty. Kajdany spływały w dół wzdłuż

ciała potwora, gdzie umocowano je do czegoś niewidzialnego.

Był czystą mocą. Pod jego sinoczną skórą widniały potężne mięśnie, które unosiły się i napinały, gdy próbował się uwolnić.

Pomieszczenie wypełniał trudny do zniesienia smród zgnilizny i rozpadu, tak że Kaliban musiał się powstrzymać, by nie zakryć sobie ust chusteczką. Nie mógł uwierzyć, że ta istota była kiedyś człowiekiem.

Wampir podszedł bliżej. Wnioskując po zniszczeniach, znalazł się już w jej zasięgu.

- Ostrożnie, panie - ostrzegł go jeden z maugów.

- Zamknij się, kretynie! - warknął Kaliban, nie oglądając się.

- Ja tylko...

Dalsze słowa strażnika zagłuszył obezwładniający ryk, który wydobył się z paszczy bestii uwięzionej na środku pokoju. Kaliban tylko patrzył; zza czarnych warg wyłonił się rząd ostrych jak sztylety zębów, a cała twarz przybrała postać zmiętej maski wyrażającej jedynie wściekłość. Wampir się uśmiechnął, gdy zobaczył, jak szybko istota powiększa swoją postać, a dźwięki dobywające się z jej wnętrza przybierają na sile stosownie do jej rozmiarów. Upiór miał teraz co

najmniej trzy i pół metra wzrostu, a Kaliban podziwiał moc, która nie pozwalała mu wydostać się na wolność, kiedy próbował rozerwać krępujące go okowy.

Stwór rzucił się ku Kalibanowi z prędkością, której nie zapowiadały jego waga i rozmiary. Ogromny pysk, pełen obnażonych zębów, przybliżył się do twarzy wampira, aby ją zmiażdżyć.

Kaliban wyczekał do ostatniej chwili i dopiero wtedy śmignął, żeby pojawić się znowu w odległości dwóch metrów od miejsca, w którym stał - szczęki napastnika trafiły w pustkę. Gdy wampir odwrócił się do czarownicy, na jego



twarzy wciąż gościł uśmiech.

- Dziarski maluszek, co? Powiedz mi, Gwendolino, czy myślisz, że da się go...

w jakiś sposób ujarzmić?

Spojrzała na nieumarłą istotę i pokręciła głową.

- Sądzę, że sprawdziły się moje pierwotne obawy. Za długo leżeli w ziemi -

odparła. - Przeżarła ich wzbierająca przez wieki wściekłość. Pragną się zemścić na świecie, który o nich zapomniał, i wydają się szczęśliwi, mogąc niszczyć

wszystko, co stanie na ich drodze. Wygląda na to, że ztratili zdolność

komunikowania się.

- I tylko tego jednego udało nam się z powodzeniem przywrócić do życia?

- Tak. W kurhanie, nieopodal miejsca, w którym go znaleźliśmy, leży chyba

jeszcze jeden, ale na razie go nie wykopujemy. Moglibyśmy to zrobić i posłużyć się mocą Kuli, aby spróbować go wskrzesić, mam jednak poważne wątpliwości. Z tym

poszło o wiele trudniej, niż się spodziewaliśmy.

Kaliban obserwował, jak istota powoli kurczy się do poprzednich rozmiarów. Z

jego ust popłynął pozbawiony radości śmiech.

- Każ sprowadzić tego drugiego i zobacz, czy da się go wskrzesić - rozkazał.

- Ależ, panie, widziałeś przecież...

Wampir uniósł swą sztuczną dłoń, powstrzymując jej dalsze słowa. W

zakrzywionych szponach na końcach palców odbiło się słabe światło. Wskazał

bestię, która nie odrywała od niego wzroku, od chwili gdy pojawił się w pokoju.

- Niestety, wygląda na to, że nie da się ich wcielić

do mojej armii. Mimo to chciałbym przywrócić do ludzkiego świata istoty

podobne do tej, uosobienie czystej, niezmaconej wściekłości. - Zmrużył oczy i

spojrzał na Gwendolinę. - Kiedy już wskrzesisz tego drugiego, chcę, żebyś kazała

przetransportować ich obu do stolicy tego żalostnego kraju i tam uwolniła. Skoro pragną się mścić, to kimże ja jestem, by im tego zabronić?

Gwendolina odpowiedziała słabym uśmiechem; miała nadzieję, że w ten sposób zamaskuje lęk, jaki ją ogarnął, kiedy usłyszała polecenie. Już teraz czuła się wyczerpana, a oto wymagano od niej, by poświęciła jeszcze więcej energii, żeby spełnić tę diaboliczną i okrutną zachciankę.

- Dobrze, panie. Osobiście wszystkiego dopilnuję.

Kaliban odwrócił się do strażników, którzy wciąż stali przyklejeni do ściany w rogu pokoju.

- Tylko dobrze tu posprzątajcie - rzucił, pokazując obojętnie pobojuwisko za swoimi plecami.

Gdy szedł korytarzem, na jego usta wypełził odrażający uśmiech. Może jednak eksperyment nie był tak do końca stratą czasu.

To śpiew ptaków obudził Martina Tipsbury'ego rankiem następnego dnia, śpiew ptaków i zapach polnych kwiatów, które wiatr przyniósł przez otwarte okna. Mężczyzna wstał i aż się uśmiechnął, gdy wyjrzał na świat. Zupełnie jakby oglądał obrazek z kolorowego folderu biura turystycznego. Wysoko, w koronach drzew gardenii, uwijały się barwne ptaki, a białe kwiaty roztaczały silną woń - czuł ją nawet w pokoju. Między ogrodami willi ciągnął się pas białej plaży schodzącej do lazurowego morza, roziskrzonego jasnymi rozbłyskami popołudniowego światła.

Oboje z Philippą przybyli do willi na wyspie Praslin trochę po trzeciej rano.

Zostali tu przetransportowani z głównej wyspy niedużym helikopterem. Mimo

że spali podczas lotu, w chwili przybycia czuli się oszołomieni i marzyli tylko o tym, by rzucić bagaże i położyć się do łóżka. Przywitała ich gospodyni, pani

Beauchamp, która natychmiast zakrzętała się wokół gości, dopytując się, czy są głodni. Dopilnowała też, aby walizki znalazły się w ich pokojach. Odmówili grzecznie posiłku i od razu udali się do swoich sypialni. Philippa zajmowała pokój piętro niżej, bezpośrednio pod nim, dlatego Martin miał nadzieję, że i jej spodoba się widok, gdy wstanie i wyjrzy za okno.

Córka prawie się nie odzywała podczas podróży. Kiedy nie spała, siedziała wpatrzona w morze chmur widocznych w dole. Niewiele jadła i uśmiechała się uprzejmie, kiwając głową za każdym razem, gdy ojciec pytał ją, czy wszystko w porządku. Szczerze wierzył, że jej zachowanie nie zwiastuje bynajmniej powrotu zwykłej ponurej agresji. Wciąż miał nadzieję, że te niespodziewane wakacje zapoczątkują nowy etap w ich stosunkach. Kochał córkę, lecz wydawało mu się,

że ona ma już dla niego tylko ledwo skrywaną pogardę, i to bez względu na to, co robił. Wierzył jednak, że jest jeszcze czas, aby naprawić ich relacje, zanim całkiem się od niego odsunie.

Odszedł od okna, przeciągnął się, wyginając plecy, i wydał z siebie długie westchnienie zadowolenia. Nucąc cicho nieokreśloną melodię, spojrzął na telefon ustawiony na nocnym stoliku. Podeszedł do niego i przyglądał mu się przez chwilę.

Miał zamiar zadzwonić do Anglii, do pana O'Callahana, poinformować go, że dotarli bezpiecznie, i podziękować za wszystko. Tipsbury uśmiechnął się, bo wiedział, że nie byłoby go stać na taką wycieczkę. Wcześniej poproszono go, żeby nie telefonował do nikogo podczas tej podróży, on jednak nie widział nic złego w tym, że chce zadzwonić do szefa. Podniósł słuchawkę i już miał wystukać numer, kiedy usłyszał na linii głos córki. Zdziwiony odsunął od siebie słuchawkę, spojrzął na nią i ponownie przyłożył ją do ucha. Philippa rozmawiała z kimś z drugiego aparatu.

- Zgadza się - powiedziała. - Tylko my dwoje. Dziś wieczór... Curieuse.

Jej rozmówca powtórzył szczegóły wycieczki i potwierdził godzinę, którą musiała mu podać wcześniej, zanim Martin wziął do ręki swoją słuchawkę.

- Wszystko w porządku, dziękuję. Och, i jeszcze jedno. Całkiem prawdopodobne, że tylko jedno z nas będzie wracać, kiedy ktoś po nas przypłynie, proszę więc uprzedzić kapitana łodzi... bardzo dziękuję.

Skończyła rozmowę, a Tipsbury znowu spojrzął na słuchawkę, jakby w ogóle nie był pewien, jakim cudem znalazła się w jego dłoni. Ogarnęło go dziwne uczucie. Chodziło o sposób, w jaki Philippa mówiła - jej głos brzmiał zimno i twardo, w dodatku wyczuwał w nim coś jeszcze, coś, czego nie potrafił nazwać.

„Z kim ona, do cholery, rozmawiała? I co miała na myśli, mówiąc: «tylko jedno z

nas będzie wracać»?". Jeszcze raz przyłożył słuchawkę do ucha, lecz więcej niczego już nie usłyszał. Odłożył ją więc na widełki i usiadł na łóżku, usiłując zrozumieć, co się dzieje. Przypomniawszy sobie, jak córka dziwnie się zachowywała od jego powrotu do domu poprzedniego wieczora. Nie przywykł do uśmiechów, całusów i podawania herbaty. Co więcej, gdy jej oznajmił, że muszą zaraz udać się na lotnisko, spodziewał się steku przekleństw i dzikiego sprzeciwu. Coś było nie tak. Próbował wmówić samemu sobie, że nic się nie dzieje, ale coś było bardzo nie tak.

„Całkiem prawdopodobne, że tylko jedno z nas będzie wracać”.

Poczuł gwałtowny niepokój. Po chwili jednak pokręcił głową, ganiąc się za tak niedorzeczne przypuszczenia. Lecz gdy myśl już raz zagnieździła się w jego głowie, nie było nadziei na pozbycie się jej, a im bardziej próbował ją zignorować, tym większego nabierał przekonania, że może jednak się nie myli. Owszem, brzmiało to przerażająco, niemniej jednak prawdziwie. W pracy na co dzień przebywał wśród demonów, dzinów i innych istot, na które nie zwracał większej uwagi, ogromnie szczęśliwy, że nie dostrzega ich prawdziwej postaci. Ale wiedział. Zawsze to wiedział. A i Lucien był wobec niego uczciwy, gdy przedstawiał mu swoją firmę i jej cele. Martin chętnie przyjął wysokie wynagrodzenie, jakie mu zaproponowano, wmawiając sobie, że to, z kim pracuje, nie ma większego znaczenia.

A jeżeli coś się stało? Jeśli jedna z tych istot zrobiła coś Philippie i...

Potrząsnął głową, usiłując odpędzić tę myśl.

Pochylił się i wystukał numer komórki Toma O'Callahana, bo czuł, że musi z kimś porozmawiać -z kimkolwiek.

- Do kogo dzwoniłeś? - zapytała Philippa, gdy Martin wszedł do aneksu

kuchennego. Miała na sobie czerwony kostium kąpielowy, a jej biodra opasywał jasny sarong. Zatrzymał się na moment na widok córki, która pozbyła się swej tradycyjnej czerni. Jakby zobaczył kogoś obcego.

- Ja?

- Wydawało mi się, że z kimś rozmawiałaś, kiedy wróciłam z ogrodu.

Martin pokręcił głową.

- Nie, to nie ja. Dopiero co wstałem i przyszedłem prosto do kuchni. A gdzie pani Beuachamp?

- Wyszła zrobić jakieś zakupy. Powiedziała jej, co lubimy jeść. Kazałam kupić dla ciebie dużo ryb; wiem, jak bardzo je lubisz.

Martin rzeczywiście lubił ryby, ale nigdy nie jedli ich w domu, ponieważ

Philippa nie znosiła ich zapachu. Była wegetarianką i już sama woń ryb albo mięsa wywoływała u niej gwałtowny, histeryczny niemal sprzeciw wobec

wykorzystywania zwierząt. Wymruczał niewyraźnie podziękowanie i usiadł

przy stole, po czym wziął banana z dużej misy na środku blatu. Obrał owoc, zastanawiając się, dlaczego w ogóle to robi, skoro nie miał zamiaru go zjeść.

Zdziwiony tym, jaki jest spokojny (a może... pusty?), wydusił z siebie nawet uśmiech, gdy córka zapytała go, jak się czuje.

- Przejrzałam przewodnik, który dała nam pani Beauchamp - powiedziała. -

Myślę, że powinniśmy skorzystać z propozycji twojej firmy i zaszaleć. Chciałabym

popłynąć na wycieczkę na Curieuse. - Pokazała mu fotografię pięknej wyspy, wyłaniającej się z szafirowego morza, a potem wyciągnęła rękę i ścisnęła lekko

jego ramię. - Prawie opuszczona - mówiła dalej. - Moglibyśmy wynająć łódź i

wyruszyć wieczorem. Pani Beauchamp mówi, że jeśli dopisze nam szczęście, to

zobaczymy zielone żółwie, które wychodzą na plażę, aby złożyć jaja. Powiedziała,

że moglibyśmy urządzić sobie piknik na skraju lasu i stamtąd je obserwować. Co ty na to?

Martin przełknął głośno ślinę. Patrząc w oczy córki, wciąż miał nadzieję, że myli się w swoich przypuszczeniach i że cała ta nedorzeczna teoria, o której dopiero co opowiadał panu O'Callahanowi, okaże się nieprawdziwa. Musiał chyba postradać zmysły, żeby posądzać własną córkę o taką niegodziwość. Z drugiej strony nie potrafił zapomnieć podsłuchanej rozmowy, tamtego głosu oraz strachu, jaki w nim wywołał.

- Brzmi nieźle... - wybąkał.

- To świetnie. W takim razie przejdę się do miasta i rozejrzę za jakąś łodzią.

- Jeszcze raz uścisnęła jego ramię. - To będzie niezapomniany wieczór, tato. -

Wstała i ruszyła do wyjścia.

- Dobrze ci w czerwonym, Philippo - powiedział cicho Martin. - Pasuje ci.

Cieszę się, że zrezygnowałaś z czerni.

Spojrzała na kostium i się uśmiechnęła.

- Kupiłam go na lotnisku, kiedy wybierałaś książki. Uznałam, że to będzie miła odmiana. Czerń jest trochę bez sensu w takim miejscu. Chyba już dam sobie spokój z całym tym gotyckim stylem.

Martin Tipsbury patrzył, jak Philippa wychodzi z pokoju na skąpaną w słońcu werandę. Spojrzał na banana, którego wciąż trzymał w ręku, i odłożył go na talerz.

O ile się nie mylił, córka zamierzała go zamordować, on zaś nie miał zielonego pojęcia, jak mógłby temu zapobiec.

- A któż to wydzwaniał do ciebie tak wcześnie rano? - zapytał Toma Trey, wchodząc do kuchni.

- Ktoś, kto chciał mnie poinformować o pewnej sprawie - odparł Irlandczyk i zerknął na zegarek, marszcząc czoło. - Ty mi lepiej powiedz, co tu robisz, do licha. Normalnie siedziałbyś w swojej jaskini jeszcze z pięć albo sześć godzin. Nie mogłeś sobie znaleźć miejsca w łóżku?

Była piąta rano. Szczeliny żaluzji wypełniała całkowita ciemność - ani śladu blasku ulicznych latarni, ani neonów, do których przywykł Trey, mieszkając w dużym mieście. Tylko całkowita ciemność niezmacona nawet najdrobniejszym źródłem światła.

- Nie chciało mi się spać.

- To zrozumiałe. Emocje nam wszystkim dają się we znaki. Sam czuję się podenerwowany przed akcją taką jak ta.

Raptem odwrócili się zdziwieni, gdy usłyszeli, że ktoś jeszcze wchodzi do kuchni. Na progu stała Alexa z twarzą lśniąca od łez.

- Właśnie rozmawiałam z doktorem Tremaine. - Przechyliła głowę w bok i posłała Tomowi oskarżające spojrzenie.

- Tak, prosiłem, żeby nie dzwonili do ciebie - odezwał się cicho mężczyzna, ale wytrzymał jej spojrzenie. Nic chciałem, żebyś spanikowała, gdyby jego stan się pogorszył.

- Domyśliłam się, że możesz to zrobić, dlatego spotkałam się z doktorem Tremaine przed naszym wyjazdem i wydałam mu polecenie, żeby zignorował wszelkie Instrukcje, jakie mógłbyś mu wydać odnośnie do mojej osoby.



Skinął głowę.

Alexa spojrzała na telefon komórkowy leżący na stole przed Irlandczykiem.

- Skontaktowali się najpierw z tobą - powiedziała.

- Czy ktoś mi powie, o co tu chodzi? - zapytał Trey, spoglądając na oboje.

- Dzwonili z Londynu. Stan Luciena się pogorszył i uważają, że jego życie jest coraz bardziej zagrożone.

- Ile czasu mu dają?

- Nie mają pewności. Dwa dni... W najlepszym razie tydzień.

Zapadła cisza. Chłopak wbił wzrok w blat stołu i przypomniał sobie Luciena w jego pokoju w Londynie, otoczonego profesjonalnym sprzętem medycznym.

- Musimy dostać się do Leroth - oznajmił z naciskiem.

- Dostaniemy się tam - warknął Tom, po czym wstał i wyjął trzy filiżanki z szafki wiszącej nad zlewem. - Zdobędziemy Kulę i wrócimy do domu na czas, żeby pomóc

Lucienowi. Nie biorę pod uwagę innej ewentualności. Wyruszamy dziś wieczór, gdy tylko się ściemni. Czekam jeszcze na jedną przesyłkę - sprzęt, który zamówiłem

- Ja też poproszę herbatę - odezwał się Charles z korytarza. Podszedł do drzwi i stanął za Alexą. - Raczej już dziś nie pośpimy, więc może napijemy się dobrej herbaty. Zmontuję zaraz jakieś dobre śniadanie.

Definicja dobrego śniadania według Treya nie obejmowała marynowanego

śledzia ani twardego chleba, który on nazwałby czerstwym, dlatego też wyrzucił

go do kubła. Zadowolił się porcją musli i jajkiem na miękko. Prysznic po jedzeniu ukazał mu pewien szczególny aspekt tej krainy pokrytej skałą i lodem: woda mocno

pachniała siarką, przez co, mimo że wylał na siebie prawie jedną trzecią żelu pod prysznic, opuścił kabinę przeświadczony, że cuchnie.

Kiedy wyszedł z łazienki, natknął się na Toma, który podenerwowany co

chwila spoglądał na zegarek i przechadzając się między kuchnią a frontowymi drzwiami, zerkał przez okno na podjazd. Po upływie około godziny przed dom zajechał nieduży samochód dostawczy. Irlandczyk szybko otworzył drzwi i już od progu witał kierowcę.

- Jonie, tak miło cię widzieć! - zawołał do nadchodzącego mężczyzny.

Uścisnęli się, a Trey się domyślił, że był to ten sam facet, który przyjechał po Hjelmara poprzedniego dnia. - Mam nadzieję, że przywiozłeś to, co zamówiłem?

Wysoki przybysz przechylił głowę na bok i wydał usta.

- Ty wiesz, jak człowiekowi dołożyć roboty. - Mówił z wyraźnym nordyckim akcentem. - Piekielnie trudno było to zdobyć. Musiałem prosić kilka osób o wielką przysługę.

- Masz to czy nie?

- Mam. Niech mi ktoś pomoże przynieść wszystko z auta.

Trey patrzył, jak obaj zeszli do samochodu i otworzyli tylne drzwi. Po chwili przytaszczyli ogromną drewnianą skrzynię ponadmetrowej długości. Postawili ją na podłodze w korytarzu, a Jon wrócił po płócienny plecak.

- Jak już załatwisz tutaj swoje sprawy, chętnie popatrzę, jak to działa - rzekł do Toma i kiwnął głową w stronę drewnianego kufra.

- Jak już załatwię swoje sprawy, wszystko ci podaruję i sam się będziesz tym bawił. Co ty na to?

Mężczyzna, wyraźnie uradowany propozycją, zasalutował i wyszedł.

Trey uśmiechnął się, patrząc na Irlandczyka.

- Wyglądasz teraz jak dzieciak, który schodzi do pokoju w bożonarodzeniowy poranek i zastaje pod choinką górę prezentów. Nie zajrzysz do środka?

- Przynies młotek ze skrzynki z narzędziami, którą zostawiłem przy tylnych

drzwiach. Otworzymy to cacko i obejrzymy je sobie, dobra?

Chłopak odsunął się i spojrzał na broń spoczywającą na małym stojaku. Była koloru khaki, nie dłuższa niż jego ramię, wyposażona w elementy z matowoczarneho metalu. Miała absurdalnie grubą lufę, w której zdaniem Treya zmieściłoby się kurze jajo. Dalej był krótki gruby bęben, podobny do bębenków rewolwerów ze starych westernów, którymi kowboje obracali, by sprawdzić, czy broń jest naładowana, tyle tylko że ten był ogromny i umocowany u dołu niczym olbrzymie wymię. Broń miała też spust i krótką kolbę.

- Co to jest? - zapytał z niepokojem Trey, wpatrując się w zawartość skrzyni.

Tom podszedł bliżej i chwyciwszy za gruby uchwyt, jednym płynnym ruchem zarzucił sobie broń na ramię.

- To, mój przyjacielu, jest M32 MGL-140, a mówiąc jaśniej, wielostrzałowy granatnik, kaliber czterdzieści milimetrów. A to tutaj - dodał, po czym pochylił się i wyjął z płóciennej torby pękaty pocisk, który uniósł w dwóch palcach - to granaty termobaryczne. Co o tym myślisz?

Trey spojrzał na Irlandczyka, jakby ten nagle zwariował.

- Termobaryczne - powtórzył cicho.

- Rozpraszają w powietrzu gęstą mgiełkę, a ta, pozbawiona tlenu, zapala się, tworząc ogromną kulę ognia, przed którą nie ma ucieczki. Wszystko, co znajdzie się w promieniu wybuchu, ulega spaleni - całkowitemu spaleni. Paskudna zabawka - dodał i pokręcił głową.

- Nawet jeśli ogień cię nie zabije, zrobi to fala ciśnienia. - Pochylił się i odłożył granatnik, a gdy znowu się wyprostował, obdarzył chłopaka jednym ze swoich charakterystycznych krzywych uśmiechów. - Bóg mi świadkiem, że nie chciałbym go użyć. Nigdy wcześniej z niego nie strzelałem, ale też nigdy

wcześniej nie szedłem na wojnę ze znikającą wieżą oraz armią zombie wysłaną przez władcę demonów. Jeżeli jednak to zrobię, spłonę wszystko w promieniu wybuchu. Ogień pochłonie wszystko, co będzie mógł - także wilkołaki i wampiry.

Trey wpatrywał się w przyjaciela z otwartymi ustami. Pokręcił głową, a następnie spojrzał na poważne oblicze Irlandczyka i śmiertelnoścą broń.

- Hm, z pewnością będę pamiętał, żeby nie zaleźć ci za skórę - powiedział i wrócił do Alexy i Charlesa.

Martin i Philippa spędzili większość dnia, wylegując się na słońcu, którego promienie rozgrzewały biały piasek prywatnej plaży przy willi. Martin wyszedł z domu za namową córki. Powiedział jej, że nie czuje się najlepiej i woli położyć się w sypialni, lecz ona nie chciała o tym słyszeć.

- Nonsens - skarciła go. - Potrzeba ci słońca, tato. Wyjdź na zewnątrz i poddaj się magii morskiego powietrza. Zobaczysz, jak szybko odzyskasz formę.

Wyszedł na plażę, zachowując pozory spokoju, lecz nieustannie nasłuchiwał telefonu. W miarę upływu czasu jego nerwy stawały się coraz bardziej napięte, aż wreszcie ledwo się powstrzymywał, żeby nie zacząć wrzeszczeć. Zupełnie roztrzęsiony poszedł popływać i dopiero kołysanie fal i samotność trochę ukoiliły jego niepokój. Mimo że był drobnej budowy, potrafił swobodnie pokonać co najmniej sto długości basenu. Odkrył, że podczas pływania może swobodnie myśleć, a rytmiczny odgłos jego własnego oddechu wprowadza go w stan bliski, jak się domyślał, medytacji. Mniej więcej po godzinie Martin wyszedł na ląd i opadł na leżak ustawiony w cieniu. Polenił się trochę z książką w ręku i znowu poczuł ostre zęby zzerającej go paniki.

W którymś momencie zorientował się, że tuż obok siedzi Philippa i przygląda mu się zza dużych ciemnych okularów, które kupiła na lotnisku przed wylotem z kraju.

- Nieciekawa? - zapytała.

- Co? - rzucił zaskoczony.

- Książka. Chyba niezbyt porywająca, bo wpatrujesz się w tę samą stronę przez cały ranek. - Przechyliła głowę. - Tato, wszystko w porządku? Wyglądasz na

zdeenerwowanego. Czy coś cię niepokoi?

- Nie... nic mi nie jest. Cieszę się słońcem. Tak naprawdę to wcale nie czytam. Po prostu... rozmyślam. - Tylko ostatnie zdanie było prawdziwe. Od chwili gdy podsłuchał jej rozmowę, nie robił niczego innego i za każdym razem, gdy powracał we wspomnieniach do podsłuchanej rozmowy, dochodził do tego samego wniosku: córka zamierzała go zabić i pozostawić ciało na wyspie podczas wycieczki, którą zaplanowała na wieczór. Jeżeli to miejsce było tak bardzo odludne, jak sugerowała, nie znajdą go przez długie miesiące. Wyobraził sobie cichą, opuszczoną plażę, gdzie kraby zajadają się jego zimnym ciałem...

Potrząsnął głową. Musiał się pozbyć tych nedorzecznych myśli. To wyglądało na czyste szaleństwo. Zachowywał się absurdalnie. Przecież Philippa nie byłaby zdolna do czegoś takiego. Owszem, w ciągu ostatnich lat wielokrotnie powtarzała, jak bardzo go nienawidzi i życzy mu śmierci, ale od razu morderstwo? Przecież była tylko rozdrażnioną nastolatką. Musiał wszystko źle odczytać.

Wszystko. Dlaczego miałyby pragnąć jego śmierci? Dlaczego?!

Chyba że istota siedząca obok faktycznie nie była jego córką.

Przypomniał sobie poranną rozmowę telefoniczną z Tomem O'Callahanem.

Z głową przepełnioną myślami sięgnął po butelkę i napił się wody.

Zastanawiał się, jak mogłaby chcieć to zrobić. Nie spodziewał się, by dopuściła się bezpośredniego ataku, próbując go na przykład udusić. Pomyślał, że może ma

kogoś na wyspie, jakiegoś współnika, którego wynajęła do brudnej roboty, lecz

odrzucił tę myśl równie szybko, jak ją powziął - uznał, że Philippa nie miała czasu, by coś takiego zaaranżować, bo przecież dopiero dzień wcześniej dowiedziała

się, dokąd jadą. Nie, zamierzała pozbyć się go własnoręcznie, więc chyba mogła to uczynić tylko za

pomocą jedzenia, które poleciła przygotować pani Beauchamp na

ich „nocną wyprawę”. Dlatego poszła rano do miasta pod pretekstem wynajęcia łodzi. Żeby kupić truciznę na szczury lub coś w tym rodzaju. Istotnie, trucizna na szczury byłaby dobra.

Znów przypomniał sobie rozmowę telefoniczną: „Bardzo prawdopodobne, że tylko jedno z nas będzie wracało”.

Spodziewał się, że pan O'Callahan wyśmieje go, gdy podzieli się z nim swoimi obawami. Tymczasem Irlandczyk w skupieniu wysłuchał relacji Martina, a potem, po długim milczeniu, zapytał go, czy przypadkiem nie zauważył, żeby dziewczyna zachowywała się dziwnie.

Kiedy Tom O'Callahan zamilkł, Tipsbury poczuł zimny dreszcz na plecach.

- Owszem - odparł. - Jest dla mnie bardzo miła. Uzna pan, że to może nic nadzwyczajnego, ale gdyby pan ją słyszał, powiedziałby, że to zupełnie inna osoba. Jakby została opętana albo coś w tym rodzaju.

Zapadła długa cisza.

- Halo?

- Martin, czy twoja córka wie, czym się zajmujesz? - zapytał go pan O'Callahan.

- Dobry Boże, ależ skąd. Pan Charron postawił sprawę jasno, zatrudniając mnie.

Był to jeden z punktów umowy - nikt, absolutnie nikt nie mógł się dowiedzieć, czego dotyczą dane, których analizą się zajmuję.

Martin przypomniał sobie, jak szef patrzył na niego, gdy wspominał o tym warunku. Wydało mu się, że przyszły pracodawca zagłębia swoim przenikliwym wzrokiem w głąb jego duszy. Wzdrygnął się na samo wspomnienie tamtej chwili.

- Philippa jest przekonana, że pracuję dla firmy ubezpieczeniowej -

powiedział Tomowi. - Co więcej, gdyby się dowiedziała, że zajmuję się badaniem zjawisk paranormalnych, na pewno nie dałaby mi spokoju. Zyskałaby jeszcze jeden argument, żeby mnie poniżyć. - Wyczuwając gorycz we własnym głosie, po raz kolejny zaczął się zastanawiać, dlaczego przez te wszystkie lata pozwalał córce tak się upokarzać. - Panie O'Callahan, czy to ma coś wspólnego z pracą? Czy to możliwe, żeby moja córka działała pod wpływem zaklęcia kogoś lub czegoś, co każe jej się zachowywać w taki sposób?

- Nie wiem, Martin. Słusznie postąpiłeś, dzwoniąc do mnie. Wyślę jednego z naszych ludzi do waszego domu żeby się rozejrzał. A ty tymczasem wykręć się jakoś od tej wycieczki. Powiedz, że jesteś chory albo coś w tym rodzaju. Nie wiem, co będziesz musiał zrobić, ale siedź na miejscu i czekaj na wiadomość. -

Zapadła cisza i Martin myślał, że to już koniec rozmowy, gdy znowu usłyszał głos

Toma O'Callahana: - Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale coś wisi w powietrzu.

- Dobrze, panie O'Callahan.

- Jeszcze jedno, Martin. Nie wspominaj nikomu, z jakiego powodu cię tam wysłaliśmy. Jeśli to się wyda, wszyscy wpadniemy w kłopoty po uszy.

- Nigdy bym tego nie zrobił. Pan i pan Charron możecie na mnie polegać.

Po tych słowach Martin Tipsbury zakończył rozmowę; płynąca w jego żyłach

adrenalina rozgrzała mu mięśnie i rozpędziła krew po całym krwiobiegu z

prędkością, która konkurowała z upałem Seszeli. Zamknął oczy, próbując

powstrzymać łzy. Nigdy sobie nie daruje, jeśli się okaże, że z powodu pracy naraził

córkę na niebezpieczeństwo. Jeżeli tak było, to lepiej, żeby już nie żył. Musi jej jakoś pomóc. Musi ją powstrzymać przed zrobieniem czegoś strasznego, musi

odzyskać swoje dziecko. Uśmiechnął się do własnych myśli - przez lata podsycił



w sobie nadzieję, że Philippa się zmieni, że wyzwoli się z nienawiści i gniewu, które ją wypełniały bez powodu. I teraz to się stało. Sprawiała wrażenie szczęśliwej, beztroskiej i kochającej córki. Gotowej go zabić.

Tak więc siedział pod słomianą markizą w tropikalnym raju, morze łąsiło się leniwie do jego stóp, a on zastanawiał się, co pan O'Callahan spodziewa się odkryć w jego domu; próbował też wymyślić wiarygodną wymówkę, żeby wykręcić się od wycieczki zaplanowanej przez Philippę.

Zerknął na zegarek i odłożył książkę. Popatrzył na rzeczy, które przyniósł ze sobą na plażę. Sprawdził jeszcze raz, nawet podniósł ręcznik, schylił się, aby zajrzeć pod leżak, lecz nie znalazł tego, czego szukał.

- Widziałaś gdzieś moją komórkę? - zwrócił się wreszcie do córki, kiedy się zorientował, że nigdzie w zasięgu wzroku nie ma telefonu.

- Nie. Miałaś ją ze sobą, kiedy wychodziłaś wcześniej. - Usiadła i obrzuciła go oskarżającym spojrzeniem. - Och, tato, nie mów mi tylko, że poszedłeś pływać z telefonem w kieszeni spodenek.

Był pewien, że tego nie zrobił, jednak wyraz jej twarzy sugerował, że aparat i tak wylądował w morzu.

- Nie sądzę - odpowiedział powoli. - Zresztą nieważne. Zadzwonię z domu. -

Wstał, za wszelką cenę starając się nie okazywać niepokoju, jaki go ogarnął.

- Telefony nie działają - rzuciła dziewczyna zdawkowym tonem, powracając do krzyżówki, którą właśnie rozwiązywała.

- Jak to „nie działają”?

- Chciałam się skontaktować z Gemmą i opowiedzieć jej, jak tu jest pięknie - odrzekła, nie podnosząc wzroku - ale nie było nawet sygnału.

Martin spojrział na dom, zanim znowu skierował wzrok na córkę.

- Czy pani Beauchamp kazała je naprawić?

- Ona nic nie wie. Dałam jej dzień wolny. Pomyślałam, że będzie miło, jak zostaniemy sami. Lepiej odpoczniemy, bo to ciągle dopytywanie się, czy nam czegoś nie trzeba, jest trochę męczące.

- A jedzenie na piknik? Myślałem, że nam wszystko przygotuje.

- Sama się tym zajmę. Przynajmniej będę miała pewność, że zabierzemy wszystkie twoje przysmaki.

Martin popatrzył na morze, które pięło się leniwie po wzniesieniu piaszczystej plaży. Czuł, że jego oddech przyspiesza, aż wreszcie zaczął posapywać jak piesek pokojowy. Spostrzegł, że obraz na krawędzi jego pola widzenia lekko się rozmazał, usiadł więc przestraszony, że może zemdleć, jeśli zaraz tego nie zrobi. Sięgnął po szklankę z sokiem ananasowym, który wcześniej przyniosła mu Philippa. Ignorując drżenie rąk, przyłożył naczynie do ust. Już miał upić duży łyk, lecz się powstrzymał i spojrział na żółtą ciecz w wysokim pucharze. Odstawił go na stół. „Trucizna na szczury”. Tylko o tym potrafił w tej chwili myśleć. „Trucizna na szczury”. Wstał i wsunął nogi w sandały.

- Idę na spacer - powiedział. - Obejrzyć okolicę.

Willa stała na pustkowiu i kiedy przybyli tu wczesnym rankiem, Martin nie zauważył nigdzie w pobliżu innych budynków. Miał jednak nadzieję, że dojdzie do jakiegoś sklepu z publicznym telefonem, z którego będzie mógł zadzwonić do Anglii. Odwrócił się gotów do drogi, odpędzając natrętną muchę, która nagle bardzo zainteresowała się jego osobą i latała, bzycząc, wokół jego twarzy, obojętna na wszystko.

- Świetny pomysł - usłyszał za sobą głos córki, która także się podniosła i wsunęła stopy w japonki. – Przejdę się z tobą. Chętnie rozprostuję nogi.

Martin Tipsbury uśmiechnął się i skinął głową. Znow się odwrócił, by nie zauważyła rozczarowania na jego twarzy. Ogarnęło go dziwne wrażenie, że bez względu na to, dokąd chciałby pójść lub co chciałby zrobić, już nie będzie miał okazji, aby zostać sam.

- Tak, wiem, że pan Ellington był z nimi przez cały czas - rzucił Tom do słuchawki - mimo to chcę, aby ktoś poszedł do jego domu i się rozejrzył. Mam dziwne przeczucie, jeśli chodzi o tę sprawę, i wolę się pomylić, niż potem żałować. - Zamilkł i podniósł wzrok. W drzwiach stał Trey i coś przeżuwał. - Tak, może są to tylko jego wymysły, ale sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego, kiedy rozmawiałem z nim dzisiaj rano, dlatego proszę, byście się temu przyjrzeni.
- Irlandczyk słuchał jeszcze jakiś czas swojego rozmówcy, potakując mu.
- Świetnie. Dziękuję ci i bądź ze mną w kontakcie, nawet jeśli niczego nie znajdziecie.
- Kolejne kłopoty? - zapytał Trey pomiędzy jednym kęsem kanapki z tuńczykiem a drugim.
- Może tak, może nie. - Tom spojrzał na telefon. - Nasz przyjaciel, pan Tipsbury, zadzwonił do mnie dziś rano z willi na Seszelach. Jest przekonany, że córka zamierza go zabić.
- A niech mnie! O co tu chodzi? Nie podoba jej się basen czy może lot był opóźniony?
- Nie żartuj sobie. Coś się dzieje. Tylko Martin wie, dokąd i po co wyjechaliśmy. Jeżeli się czymś martwi, to pewnie ma ku temu powody. Nigdy nie ignoruj przeczuc ludzi, gdy coś ich niepokoi. Ale on powiedział mi coś jeszcze, a to... śmiertelnie mnie przestraszyło.
- Tak?
- Powiedział, że ona jest zupełnie inną osobą. Jakby coś ją opętało.

Trey wbił spojrzenie w Irlandczyka i poczuł nagle, że i tuńczyk już tak bardzo mu nie smakuje.

- I co z tym zrobisz?

Wysłałem kogoś, żeby się rozejrzył po jego domu w Anglii. Planuję też posłać naszego człowieka, by powęszył wokół willi Luciena. Kłopot w tym, że nie mogę się połączyć z Martinem. Mają chyba jakieś problemy z telefonami.

Spojrzeni po sobie.

Irlandczyk już wstawał, kiedy znowu zadzwoniła jego komórka.

- Słucham, tu Tom - powiedział szybko, przykładając aparat do ucha. Milczał przez chwilę, podnosząc się powoli. - Kiedy? - zapytał, marszcząc brwi. - To dlaczego, do cholery, nikt nie poinformował mnie o tym wcześniej?! - krzyknął.

Obserwując wyraz twarzy przyjaciela, Trey wszedł do pokoju, położył nadgryzioną kanapkę na poręczu krzesła i wytarł ręce o spodnie.

- Oczekuję raportów co piętnaście minut - rzucił Tom i się rozłączył.

Trey spojrzał na Irlandczyka. Jego oblicze wyrażało duże napięcie.

- Co znowu?

Tamten prychnął.

- Nasi ludzie w Londynie zarejestrowali kolejny skok śladu energetycznego Kuli, a zaraz potem odkryli zupełnie nowy ślad, dotąd im nieznaną.

- Co to znaczy?

- Podobnie jak zakłęcie wysyła swój sygnał, tak samo każda istota cienia ma swój własny charakterystyczny ślad. Ty także, kiedy przybierasz postać wilkołaka.

- Tom wpatrywał się w chłopaka. - Jaką godzinę temu Londyn namierzył sygnał, który wcześniej zarejestrowano tylko raz - konkretnie wczoraj.

Ponieważ nie odbierali wcześniej takiego śladu, uznali go za drobną usterkę. -

Pokręcił głową i spojrział na telefon.

- Czy powinienem zapytać, gdzie go namierzili?

- Jakies dziesięć mil stąd - odparł Tom, a potem zerknął na swoją komórkę i spojrział za okno. - Do zachodu słońca zostało około półtorej godziny. Potem szybko zapadnie mrok. Ja na pewno nie mam zamiaru podchodzić do takiego miejsca jak Leroth bez osłony ciemności.

Trey spojrział na przyjaciela i skinął głową.

- Chciałem porozmawiać o twoich planach. Martwię się o Alexę. Jeśli Charles się nie myli, to rzeczywiście nie powinna zobaczyć, kim stała się jej matka. Ona...

- Wszystkim się zająłem, Treyu. Zainstalujemy się we dwoje na zewnątrz i spróbujemy wywołać pewne zamieszanie, żeby wyciągnąć z wieży tylu strażników, ilu się da, co pozwoli wam wśliznąć się niepostrzeżenie do środka i odszukać Kulę.

O ile twój przyjaciel, demon mroku, mówił prawdę, to żeby ją ukraść, będziecie musieli dostać się na samą górę, a jeśli Gwendolina posługuje się nią tak często, jak się wydaje, to czeka was naprawdę trudne zadanie. Można też przypuszczać, że

gdy dostaniecie już Kulę w swoje ręce, rozpęta się piekło, bo takie miejsce na pewno posiada mnóstwo solidnych zabezpieczeń. Jak tylko znajdziecie Kulę, macie się

stamtąd wynosić, a my zapewnimy wam drogę ucieczki. Kto wie, może uda nam się przeżyć i będziemy kiedyś opowiadać o tym wnukom.

- Domyślam się, że nie przedstawiłeś jej swoich planów. Raczej nie będzie zadowolona, gdy dowie się, jak chcesz to rozegrać.

- Nie, jeszcze z nią o tym nie rozmawiałem. Wiem, że chce tam wejść, by stanąć twarzą w twarz z matką. Pragnie zobaczyć kobietę, która zdecydowała się porzucić swoje dziecko, aby służyć takiemu wcielonemu złu, jakim jest Kaliban.

Tylko że Gwendolina zatraciła resztki ludzkich cech już w chwili, gdy próbowała poświęcić własną córkę, aby przywołać demona z dna Otchłani. Nie będę udawał, że wiem, czym jest teraz, ale z pewnością jest w niej coś nieludzkiego, i nie zawaha się doprowadzić do końca tego, co niegdyś rozpoczęła. Nawet za cenę życia swojego dziecka.

Trey zastanawiał się przez chwilę nad jego słowami, a potem skinął głową.

- A jak zamierzasz odwrócić ich uwagę? - zapytał.

- Na tym się specjalnie nie skupiam - odparł Tom, uderzając grubym, stwardniałym kciukiem w klawisze swojego telefonu. - Zwykle doprowadzam do wybuchu i patrzę, co dalej. Wybacz, młodzieńcze, ale muszę się zająć kilkoma sprawami.

Trey wrócił do kuchni, gdzie zastał Alexę i Charlesa pogrążonych w cichej konwersacji nad gorącą herbatą. Streścił im rozmowę telefoniczną Toma, ale nie wspomniał o planach dotyczących roli dziewczyny w wyprawie.

- To draugr - rzekł Charles znad swojego kubka. - Wyszukują je w kurhanach i wskrzeszają.

- A może coś innego? - zapytała.

- Niewykluczone - odparł czarodziej i wzruszył ramionami, sugerując, że w to nie wierzy. - Ale cokolwiek to jest, dla nas oznacza tylko złe wieści. Trudności będą znacznie większe, jeśli to w ogóle możliwe. Jeżeli wcześniej sądziliśmy, że nasze szanse są marne, to teraz są jeszcze marniejsze.

Martin schodził łagodnym zboczem wzgórza, cicho stukając sandałami na rozgrzanym chodniku. Ze szczytu wzniesienia wypatrzył kawiarnię i od razu

skręcił w tę stronę, nie zważając na protesty Philippy, która narzekała na upał i na to, jaki kawał drogi już przeszli. Podążyła za nim, ale została trochę z tyłu, ponieważ miała na nogach japonki, co nie pozwalało jej dotrzymać mu kroku.

Kawiarnia znajdowała się na skrzyżowaniu dwóch dróg, a sądząc po wyglądzie, jej właściciel raczej nie liczył na duże zyski. Nieduże stoliki wychodziły aż na wąski chodnik, a przy każdym ustawiono krzesła - nie było wśród nich dwóch takich samych.

Martin odkleił koszulę od klatki piersiowej, mokrej od potu. Podchodząc bliżej, zauważył, że w środku jest ciemno, i przestraszył się, że lokal jest zamknięty.

Odetchnął z ulgą, kiedy popchnięte drzwi się otworzyły.

Krępy barman podniósł głowę znad lady na dźwięk małego dzwonka.

Popatrzył na zdyszanego turystę, poczym powrócił do przerwanej czynności -

ścierka, którą próbował wytrzeć szklanę, chyba dawno nie była prana. Martin

skinieniem głowy przywitał starca, który siedział przy barze, pieszcząc w dłoniach szklanicę z piwem. Mężczyzna nie odpowiedział na powitanie i [skierował](#)

spojrzenie swoich wilgotnych oczu na ekran telewizora umieszczonego za barem,

gdzie akurat pokazywano program dokumentalny o rybołówstwie głębinowym,

choć ekran tak bardzo śnieżył, że trudno było cokolwiek ni nim zobaczyć.

Ogarnął całą scenę jednym spojrzeniem, szukając w półmroku tego, po co tu

przyszedł. Wreszcie wypatrzył w głębi sali nieduży aparat zawieszony na ścianie

pod rozjarzonym neonem reklamy miejscowego piwa.



Miał już pójść w tamtą stronę, na chwilę zapominając o wszystkim innym, gdy poczuł bolesne uderzenie drzwiami w krzyż, a dzwoneczek radośnie oznajmił przybycie jego córki.

- Tato. - Philippa patrzyła na niego niezadowolona. - Co ty, do diabła, wyprawiasz? Czemu tak wyrwałeś do przodu?

- Przepraszam. Po prostu zachciało mi się chłodnego piwa. - Zerknął tęsknie na telefon, ale odważnie ruszył do baru.

- Przecież nie pijesz piwa. Co cię dzisiaj napadło? Zachowujesz się jak jakiś nieźrównoważony maniak.

- Po prostu mam ochotę na piwo. Widzisz w tym coś złego? Zgrzałem się i zmordowałem, dlatego chciałbym się ochłodzić kuflem piwa. Usiądź sobie, a ja ci coś przyniosę. Czego się napijesz?

Spojrzenie Philippy wyrażało podejrzliwość. Nigdy tak się do niej nie zwracał, dlatego jego niespodziewane zachowanie i ton głosu ją zaskoczyły. Uśmiechnęła się, potem zdjęła za duże okulary słoneczne, tak by mógł widzieć jej oczy.

- Napój z limonką. Bez lodu.

Usiadła przy stoliku blisko baru.

- Gorąco dzisiaj - powiedział Martin, podchodząc do właściciela kawiarni. -

Poproszę kufel piwa z beczki i napój z limonką.

Barman skinął głową i sięgnął po naczynia. Tipsbury popatrzył na córkę przez ramię. Siedziała tak, że mogła go usłyszeć, dlatego nachylił się mocno do barmana, który nalewał zimne piwo.

- Czy telefon działa? - zapytał.

Mężczyzna spojrział na klienta, lecz gdy się odezwał, mówił z osobliwym akcentem i w dziwnym języku, którego Martin nie potrafił zidentyfikować.

Przypominał trochę język francuski, ale miał inną melodię i intonację. Tipsbury domyślił się, że tak pewnie brzmi kreolski, którym posługuje się większość mieszkańców Seszeli. Starzec roześmiał się rozbawiony słowami barmana i pokiwał głową, posykując między zębami, jakby usłyszał najlepszy dowcip świata.

- Telefon. Jest sprawny? - powtórzył Martin.

- Tak, działa - odpowiedział barman po angielsku i postawił na barze oba drinki.

- Mieszkamy w willi, tam wyżej, i wygląda na to, że linia u nas wysiadła.

Zastanawiałem się, czy to często się u was zdarza.

Barman posłał mu spojrzenie, które słabo skrywało pogardę. Martin

wyobrażał sobie, jakim widzi go ten mężczyzna - jeszcze jeden turysta, który

podaje w wątpliwość zdolności mieszkańców wyspy do zapewnienia usług, które by zadowolili bogatych przybyszy z Zachodu. Nic nie mógł na to poradzić. Chciał tylko skorzystać z telefonu.

- Usługi telekomunikacyjne mamy tu na wysokim poziomie. Rzadko są z

nimi problemy - rzucił barman i odwrócił się, by razem z bezzębnym ziomkiem wrócić do oglądania telewizji.

Martin postawił napój przed Philippą i kiwnął głową w stronę telefonu.

- Zadzwoń do pracy - powiedział. - Powiem im, że telefony nie działają, i zapytam, z kim mam się skontaktować w sprawie naprawy.

Ze zdziwieniem zobaczył, że Philippa skinęła głową i sięgnęła po swój napój.

- Dobry pomysł - powiedziała.

Omiał nie grzmotnął na twarz, tak się pośliznął, idąc szybko w kierunku aparatu. Wygrzebał z kieszeni wszystkie drobne i zaczął gwałtownie wpychać monety w otwór urządzenia. Modlił się, by wystarczyło. Wystukał numer komórki Toma. Po szóstym sygnale usłyszał głos Irlandczyka - niestety nagranie.

- Panie O'Callahan... to ja, Martin - zaczął mówić, kiedy skończył się komunikat. Coś tu się dzieje i bardzo mnie to niepokoi. Moja córka... - Urwał, wyczuwszy czyjąś obecność za plecami, a gdy lekko obrócił głowę, zobaczył Philippę, która zbliżyła się wolnym krokiem, popijając swój napój, i oparła o kolumnę jakiś metr od niego. Pomachała mu palcami i się uśmiechnęła. Przełknął ślinę i odwrócił się do telefonu. - ...moja córka, Philippa, zgodziła się ze mną, że powinienem do was zadzwonić i powiadomić, że wysiadły telefony - powiedział i skupił myśli na tym, co naprawdę chciał przekazać. - Na domiar złego zgubiłem komórkę... gdyby mógł pan przysłać tu kogoś, żeby się rozejrzył i naprawił sieć... Byłbym bardzo wdzięczny.

Odwiesił słuchawkę, bo nie wyobrażał sobie, co jeszcze mógłby powiedzieć z Philippa siedzącą mu na karku. Odwrócił się do córki.

- Poczta głosowa - wyjaśnił i wzruszył ramionami. Zimne, badawcze spojrzenie, którym go obrzuciła, zupełnie wytrąciło go z równowagi, tak że ledwo się powstrzymał, by nie wrzasnąć na cały głos.

Spojrzał za siebie na telefon i pokręcił głową. Był zupełnie sam. Ogarnął go zimny dreszcz przerażenia, kiedy uzmysłowił sobie, że cokolwiek córka planowała względem jego osoby, będzie musiał stawić temu czoła bez niczyjej pomocy.

Poczuł, jak serce tłucze się w jego piersi. Gdy spojrzał w oczy Philippy, wydało mu się, że zobaczył w nich błysk okrutnego rozbawienia.

Spojrzała na zegarek, a potem na niego.

- Wypijmy i wracajmy - powiedziała słodkim głosem. - Za dwie godziny podstawią nam łódź, a musimy się jeszcze przygotować. Chodźmy już, tato. –

Podsunęła mu swoje ramię, jakby wybierali się na spacer brzegiem morza.

Nagle poczuł, że wypełnia go uczucie, którego nie zaznał od lat - gniew.

Zawrzał w nim, tłamsząc strach, który nękał go przez cały dzień. Czując, że tak jest dobrze, poddał się tej fali. Gniew, połączony z determinacją, by pomóc córce

przejsć przez to, czego doświadczała, mógł wystarczyć, aby uratować ich oboje.

Miał taką nadzieję, bo nie spodziewał się żadnego wsparcia z zewnątrz.

Przypomniał sobie, co powiedział mu Tom O'Callahan odnośnie do wykręcenia się z wycieczki zaaranżowanej przez Philippę. Ale w tym samym momencie coś w nim pękło i zwrócił na dziewczynę spojrzenie, jakiego jeszcze u niego nie widziała.

Ujął ją pod ramię i poprowadził do drzwi.

- Chodźmy, kochanie. Przecież zaplanowaliśmy sobie nocny piknik, prawda?

Gwendolina nie widziała draugra, który napierał na niewidzialną barierę, jaką utworzyła wokół niego - zamiast zimnoszarych tęczywek miała teraz mlecznobiałe gałki oczu, upstrzone małutkimi krwistoczerwonymi zygzakami błyskawic. To było trudne zaklęcie. Musiała utrzymać sferę energii wokół istoty, by ta się z niej nie wydostała, a jednocześnie unieść całość i wyprowadzić poza fortecę. Bardzo skomplikowane zadanie, ale do wykonania dla kogoś z jej mocą. Największy kłopot był w tym, że stwór bezustannie próbował się uwolnić, zmieniając wielkość, co utrudniało wiedźmie owinięcie więźnia zaklęciem i przemieszczenie go - wciąż musiała rozpoczynać od nowa, zmieniając rozmiary ograniczającej go kuli. Traciła z tego powodu mnóstwo energii tylko na to, by powstrzymać draugra przed wydostaniem się i zaatakowaniem tych, którzy znajdowali się na jej drodze (wśród nich była i ona).

Nie powiodła się natomiast próba wskrzeszenia drugiego upiora, czego domagał się Kaliban. Wydobyli go z kurhanu i przenieśli do cytadeli. Potem wiedźma użyła czarów potrzebnych do wzbudzenia w nim życia i przez chwilę już się wydawało, że odniosła sukces, lecz draugr wydal tylko ryk wściekłości i znieruchomiał. Patrząc wstecz, Gwendolina uznała za zdumiewające, że w ogóle udało jej się przywrócić do życia jedną z tych istot. Teraz jednak musiała posprzątać po swoich eksperymentach - pozbyć się draugra, który okazał się zbyt mało podatny na kontrolę i zbyt niebezpieczny dla innych.

Był naprawdę bardzo silny i czarownica, pomimo ogromnej mocy, jaką zdobyła przez lata, zaczynała już tracić siły wskutek wykorzystywania olbrzymich ilości energii, by utrzymać go w magicznej kuli. Gdzieś w głębi jakaś

jej część podziwiała potęgę draugra.

Dotarli już prawie do otworu, który utworzyła we frontowej ścianie wieży.

Czekała tam na nich ogromna opancerzona ciężarówka. Czarownica zamierzała

umieścić w niej bestię, a potem nieduży oddział maugów miał ją odwieźć do

centrum Rejkiawiku i wypuścić, aby dokonała spustoszenia wśród

niespodziewających się niczego mieszkańców. Gwendolina uznała, że będzie im

towarzyszyć do przedmieść miasta, na wypadek gdyby istota próbowała uciec,

nim dotrą do miejsca przeznaczenia.

Uśmiechnęła się w duchu, gdy wyobraziła sobie, jak olbrzym szaleje na ulicach,

niszcząc wszystko i wszystkich na swojej drodze. A co potem? Uzmysłowała sobie,

że nie obchodzi jej, co się stanie z upiorem. Cały projekt okazał się

niepowodzeniem i, co gorsza, zasiał w umyśle Kalibana ziarna wątpliwości w

skuteczność jej mocy. Niech więc ludzie zabiją istotę, którą z takim trudem

przywróciła do życia. Ona już z tym skończyła. Dowiodła, jak potężna jest moc Kuli użytej wraz z  
Buławą Skaleba, i wampir będzie musiał rozważyć inny sposób jej

wykorzystania. Była zbyt potężna, aby mógł ją tak po prostu zignorować.

Wcześniej wspomniał o ludzkich zombie. Pokręciła głową z powątpiewaniem.

Nienawidziła pracować z zombie - tak jak wszyscy. Byli krnąbrni i trudni, a im

dłużej ciało spoczywało w ziemi, tym mniejsze istniało prawdopodobieństwo, że

będzie można kontrolować wskrzeszoną istotę. Dysponując taką wiedzą, powinna

była się domyślić, że draugr także nie da się okiełznać. Po prostu wmówiła sobie, że z nimi będzie  
inaczej. Legendy głosiły, że draugry, zakopane w kurhanach,

zmieniają się, czerpiąc magię z ziemi, i przeistaczają w stworzenia zupełnie obce światu, do którego  
wcześniej należały. W potwory, pragnące się zemścić na

świecie i na ludziach. Rzeczywiście dążyły do zniszczenia wszystkiego dookoła

siebie, ale były dzikie i chaotyczne, a w dodatku, jak się okazało, ani trochę uległe, na co tak liczył

Kaliban.

Zatrzymała się i zmarszczyła czoło, patrząc, jak potwór powiększa się dwukrotnie i po raz kolejny atakuje pole magii, którym go otoczyła.

Gwendolina chętnie pozbyłaby się już upiora i opuściła tę skutą lodem i mokrą od deszczu ziemię. Jej myśli skłaniały się ku nowemu projektowi; planowała stworzenie szczególnego rodzaju demona zmieniającego postać, którego zamierzała posiać między ludzi, żeby podczas nocy podmieniał niemowlęta w łóżeczkach. Te istoty będą się żywić wszystkim, trawione nienasyconym głodem, a gdy poznają smak mięsa... rodzice nie będą mieli żadnych szans. I jeszcze Lucien. Na myśl o jego nadchodzącej śmierci uśmiechnęła się, po raz pierwszy od wielu dni.

Skupiła myśli, zbierając całą moc, aby obyło się bez niespodzianek - znajdowali się już blisko wyjścia. Człowiek patrzący z zewnątrz uznałby, że znajduje się pod czymś w rodzaju rafinerii - tak wiedźma ukształtowała wieżę. Wybrali

odosobnione miejsce z dala od ludzkich osiedli, lecz każdy, kto choć trochę znałby te okolice i zapuścił się w nie przypadkiem, byłby niesłychanie zdziwiony,

widząc, że niemal z dnia na dzień wyrosła tu ogromna fabryka. Na tym polegał

jeden z problemów związanych z translokacją Leroth w świecie ludzi. Wieża była

ogromna, ale musiała wtopić się w otoczenie. Często Gwendolina po prostu

niszczyła istniejący budynek albo nawet kilka i upodabniała do nich Leroth. Tutaj jednak, w kraju o tak niskiej populacji, pozwoliła sobie na stworzenie całego

gmachu od podstaw.

Dla niewielkiej grupy istot cienia mieszkających i pracujących w Leroth wieża

wyglądała dokładnie tak, jak zawsze - ogromna forteca, która wznosiła się ku

niebu niczym straszna włócznia. Gwendolina omal nie zemdląła z zachwytu, gdy

przed wielu laty po raz pierwszy ujrzała w Otchłani tę cytadelę. Nie była bardzo

rozległa u podstawy, za to zdumiewała swoją okazałością i wysokością. Było całkiem zrozumiałe, że Kaliban zapragnął mieć ją dla siebie, a potem pozwolił wiedźmie także w niej zamieszkać.

Już niemal dotarli do portalu. Ktoś, kto chciałby zaatakować wieżę, mógłby się bardzo zdziwić, nie znalazłby bowiem najmniejszego punktu zaczepienia - dolną część budowli tworzyły jednostajne obsydianowoczarne ściany. Aby kogoś wpuścić lub wypuścić z cytadeli, należało utworzyć portal, i właśnie przez jedno z takich przejść czarownica miała wyprowadzić uwięzionego potwora. Poczula w oddali zapach północnego Atlantyku i wystawiła twarz na zimny wiatr, pozwalając sobie na chwilę przyjemności.

Jej moc topniała z każdą chwilą. Musiała utrzymać jednocześnie kilkanaście złożonych zaklęć, co bardzo ją wyczerpywało. W pewnym momencie zachwiała się i omal nie straciła kontroli nad draugrem. Istota wyczuła to i ponowiła próby uwolnienia się. Napałała na niewidzialne ściany, a Gwendolina odniosła wrażenie, jakby sama została zaatakowana, i aż drgnęła od hałasu łap uderzających o magiczne pole. Wciągnęła przez nos zimne powietrze i powoli wypuściła je ustami, po raz setny przeklinając w duchu Kalibana, bo nie rozumiała, dlaczego po prostu nie kazał zabić potwora, gdy się okazało, że nie sposób go okiełznać.

- Gdybyśmy tak zrobili, pozbawilibyśmy cię nagrody za ciężką pracę - powiedział jej wcześniej, kręcąc głową. - Nie, Gwendolino. Chcę, żebyś ujrzała efekty swych działań, zanim opuścimy to miejsce. Zrób tak, jak mówiłem, i wypuść draugra pośród potomków tych, którzy go pogrzebali. Nie mogę cię pozbawić chwili chwały.

Wiedziała, że jej niepowodzenie rozwścieczyło Kalibana, bo przecież zdołała wskrzesić tylko jedną z tych istot, mimo wcześniejszych deklaracji. Miała



świadomość, że gdyby nie była mu tak niezbędna, już by nie żyła. Wampir równie źle znosił porażki jak brak lojalności i zawsze wymierzał karę szybko i bezlitośnie.

Ale na razie wciąż jej potrzebował. Dopilnuje, żeby posprzątała po sobie, nim straci zainteresowanie całą tą sprawą, ona zaś będzie musiała wymyślić nowy projekt, żeby zrobić na nim wrażenie.

- Jak każesz, panie - odpowiedziała wtedy i skłoniwszy głowę, wycofała się tyłem, nie spuszczając z niego wzroku. Dobrze wiedziała, że w towarzystwie wampirów nigdy za dużo ostrożności.

- A, Gwendolino, i zajmij się tym od razu, proszę. Nie chcę tu zostawać ani chwili dłużej, niż będzie to konieczne. Z pewnością pojawiły się inne... ważniejsze sprawy, w czasie gdy naszą uwagę odwrócił ten drobny projekt.

Patrzył na nią, a ona dostrzegała w jego oczach jedynie przerażająco ciemną otchłań. Nigdy nie potrafiła do końca opanować głębokich emocji, jakie wzbudzało w niej spojrzenie Kalibana - przerażenia zmieszanego z podnieceniem - ale dokładała wszelkich starań, by nie pokazać tego po sobie. Zawsze tak było między nimi. Na początku przyjął ją do siebie, żeby zrobić na złość bratu, lecz z czasem, gdy osiągnęła większą moc, stała się dla niego kimś ważnym. Leroth stanowiła tego idealny przykład. Zanim Gwendolina przyłączyła się do Kalibana, wieża niszczała zapomniana. Przestano ją wykorzystywać jako portal między Otchłanią a światem ludzi, była tylko legendarnym miejscem wspominanym w świecie demonów. To ona uwolniła moce tego bastionu, które tak długo trwały w uśpieniu, i ponownie uczyniła z fortecy miejsce władzy, jak kiedyś, podczas wielkich wojen u zarania dziejów. Wieża Leroth pojawiała się w licznych opowieściach jako jeden z najbardziej czczonych pomników Otchłani wspomniano w nich o roli, jaką odegrała podczas

Wojen Demonów, które prowadzili między sobą Skaleb i Azsnog. Bracia przez tysiąclecia sprawowali rządy wspólnie, aż kiedyś Azsnog uznał, że nie chce dłużej dzielić się władzą. Postanowił zjednoczyć Otchłan pod jednym sztandarem własnym - i tak zaczęły się Wojny Demonów, które miały trwać tysiąclecia. Ponoć wieża Leroth była najważniejszym czynnikiem, który zdecydował o zwycięstwie Skaleba. Skaleb nie chciał walczyć. Nie pragnął niepodzielnej władzy nad Otchłanią, dlatego gdy umilkła wrzawa ostatniej bitwy, w której zginął jego ukochany brat, władca opuścił królestwo demonów, a tajemnice fortecy poszły w zapomnienie. I dopiero tysiące lat później Gwen-dolina ponownie je odkryła dzięki swoim niezłomnym poszukiwaniom. A gdy poczuła się na tyle silna, aby po raz kolejny uwolnić moce cytadeli, uczyniła to i odtąd stała się dla Kalibana niezastąpiona.

Zimny nocny wiatr przerwał jej rozmyślenia, a ona potrząsnęła głową, zła na siebie za to, że na chwilę straciła koncentrację. Wypchnęła draugra przez portal. Maugi, które miały przetransportować upiora do miasta, cofnęły się na jego widok. Wiedziały, jakie poczynił spustoszenie, kiedy na chwilę zdołał się uwolnić, ze zrozumiałych względów miały się więc na baczności.

Wiedźma skierowała potwora ku otwartym drzwiom ciężarówki i zatrzymała się na chwilę, by zebrać w sobie siły. Były jej potrzebne do uniesienia upiora i umieszczenia go z tyłu pancernego pojazdu.

Kiedy tylko istota znalazła się wewnątrz, maugi zatrzęsły za nią drzwi.

Dopiero teraz Gwendolina się rozluźniła; pozwoliła sobie na odpoczynek pierwszy raz od momentu rozpoczęcia operacji usunięcia upiora z fortecy.

Spojrzała na ciężarówkę, która kołysała się mocno na zawieszaniu. Ogarnięty furiją draugr próbował rozbić specjalnie wzmocnioną skrzynię samochodu.

- Ruszajmy jak najszybciej - powiedziała. - To pudło długo nie wytrzyma.

Demony kiwnęły głowami. Dwa wsiadły do kabiny, oglądając się ze strachem do tyłu, skąd dochodziły groźne odgłosy. Wiedźma dołączyła do dwóch pozostałych w samochodzie, który miał jechać przed ciężarówką. Dopilnuje, żeby uwolniono bestię zgodnie z instrukcją Kalibana, i wróci do Leroth, by zająć się przygotowaniami do opuszczenia tego miejsca.

- Charles, poprowadzisz? - zapytał Tom, kiedy wyszli z domu. - Chciałbym jeszcze zadzwonić do paru ludzi.

Czarodziej kiwnął głową i wziął kluczyki. Alexa zajęła miejsce obok kierowcy, a Trey wcisnął się na tylne siedzenie obok Toma, zerkając na sprzęt wojenny, jaki Irlandczyk zgromadził wokół siebie.

- Udało ci się skontaktować z Martinem? – zapytał chłopak, gdy ruszyli.

Tom potrząsnął głową i spojrzawszy na granatnik, który położył sobie na kolanach, pogładził kolbę śmiertelnej broni.

- Nie - powiedział cicho. - I, co gorsza, nie mogłem się połączyć z nikim

stamtąd, żeby się rozejrzeć. Gospodyni, pani Beauchamp, zapadła się pod ziemię, a telefony nie działają. Zostawiłem kilka wiadomości dla jej syna, Tiny'ego, żeby

poszedł do willi i sprawdził, co się dzieje, ale nie wiem, czy to zrobił, czy nie.

Mam nadzieję, że Martinowi nic się nie stało. Bo jeśli jest inaczej i nas

zaatakowano, to najbliższe godziny zapowiadają się o wiele ciekawiej, niż przypuszczałem.

Po tej wiadomości w samochodzie zapadła cisza i dalej jechali już w milczeniu

przez islandzkie pustkowia. Znowu zaczął padać deszcz i odezwały się ciche

pomruki wycie raczek zbierających wodę z przedniej szyby. Trey szczelniej otulił

się kurtką przed chłodem, którego nie zdążyło jeszcze rozproszyć ogrzewanie, i

spojrzał w ciemność za oknem. Jego myśli powędrowały do zaciemnionego pokoju w

Londynie, gdzie leżał Lucien. Coraz bardziej żałował, że opiekun, zamiast być z

nimi, leży tam sam. Oczywiście nie byłoby ich tutaj, gdyby Lucienowi nic się nie

stało. Muszą zdobyć Kulę i go uratować.

Pomyślał o życiu, jakie teraz wiódł, starając się nie zagłębiać w to, co jeszcze może się wydarzyć. Wiedział, że nie poradzi sobie z tym wszystkim bez pomocy wampira. Ale chodziło o coś więcej. O coś więcej niż tylko samolubne pragnienie uratowania swojego opiekuna. Przez chwilę wyobraził sobie, że Lucien nie żyje - natychmiast skarcił się za takie myśli - i od razu powróciło dobrze mu znane uczucie rozpacz. Dużo wcześniej stracił wszystko i wszystkich, którzy coś znaczyli. Odchodziły kolejne wartości, które inni uważali za coś pewnego, aż pozostał niemal z niczym. Jeśli nie powiedzie im nic tej nocy, utraci kolejną ważną dla niego osobę. I choć minęło dopiero kilka miesięcy, odkąd Lucien pojawił się w jego życiu, Trey zdawał sobie sprawę, jak bardzo chce być przy nim, jak bardzo go potrzebuje. Nie potrafiłby stawić czoła temu światu koszmarów bez przewodnictwa Luciena.

Zerknął na Alexę. Nie pozwoli, żeby Kaliban wyrządził jej taką krzywdę jak jemu. Demon już zabrał jej matkę. Trey nie dopuści, by zabrał dziewczynie także ojca.

Wpatrując się w nocny krajobraz, szybko przesuwaną się za oknem, chłopak powziął zamiar, że odbiorą Kulę Kalibanowi. I że bezpiecznie opuszczą Leroth.

Niestety, tylko połowa jego postanowień miała się spełnić.

Zatrzymali samochód z napędem na cztery koła u stóp niewysokiego wzgórza i wysiedli. Gdy Trey spojrział na Charlesa, ze zdziwieniem zobaczył, jak bardzo towarzysz jest zdenerwowany - nie dostrzegając na jego twarzy ani śladu codziennej maski aroganckiej pewności siebie; z oczu czarodzieja wyzierał strach. Dopiero teraz Charles wyglądał na swój wiek i Trey uzmysłowił sobie, że chłopak jest starszy od niego tylko o parę lat. Przysunął

się i klepnął go po plecach.

- Jak tam, Merlinie? - zapytał głosem, który maskował jego własny lęk.

Charles zmusił się do uśmiechu.

- Może poczuje się lepiej, jak już się zorientuję, co dokładnie mamy do zrobienia. A ty jak się masz, chłopaku-psy?

- Staram się trzymać - zapewnił Trey i kiwnął głową wpatrzony w dół.

Czarodziej roześmiał się głośno. Zabrzmiało to dziwnie w tych okolicznościach, aż Alexa obejrzała się i uśmiechnęła nerwowo.

- Idziemy? - zapytała Toma.

Irlandczyk zdjął z siedzenia broń. Skinął głową i przechylił ją, tak by mżawka obmyła mu twarz.

- Chyba tak - powiedział. - Jak mawiała moja staruszka: „Nie zaorasz pola, przewracając skiby w głowie”. - Popatrzył na Treya i znów pokiwał głową. - Bierz się do roboty. Nie wiadomo, co nas tam czeka.

Trey rozebrał się do bielizny i zmienił postać. Poczł gwałtowną falę bólu, gdy tylko zaczęła się przemiana. Po chwili zobaczył trójkę przyjaciół, którzy wpatrywali się w niego z nieukrywany strachem. Pomyślał ze smutkiem, że bez względu na to, ile razy już go widzieli w postaci wilkołaka, zawsze kiedy otworzy oczy po przemianie, pierwszym, co ujrzy, będą ich pełne przerażenia twarze.

Nagle świat naparł na niego falą głośnych dźwięków i jak zwykle przez kilka sekund chłopak stał oszołomiony, nim dostroił zmysły do otoczenia. Zamknął oczy. Ujrzał jasną żółć i zielen zapachu morza niesionego przez wiatr, a oba kolory upstrzone były cętkami brązów, zieleni i dziwnie ciemnej purpury woni

ziemi, a także otaczających ich skał. Wilcze zmysły powodowały synestezję, pozwalając mu odbierać zapachy jako barwy. Wiatr przy niósł kolejny podmuch, który sprawił, że jego nerwy zareagowały jeszcze gwałtowniej, a do ust napłynęła mu ślina - od razu rozpoznał ten brązowawoczerwony aromat: króliki.

Podejrzewał, że setki tych apetycznych stworzeń siedzą w tej chwili schowane w podziemnych norach, pod jego stopami. Czując, jak kręci mu się w głowie od tego zapachu, wziął głęboki oddech i powstrzymał zwierzęcy odruch, by zacząć grzebać w ziemi.

Te nowe doznania i emocje spadły na Treya niczym ogromna fala, a jego wilcza natura, pomimo amuletu, który pomagał mu zachować kontrolę, walczyła w nim, domagając się swych praw. Uwielbiał przebywać pod gołym niebem w postaci wilkołaka. Czuł, że w takich chwilach jest bliski uzyskania swojej pełnej mocy.

Miał ochotę odchylić głowę i zawyc, a uczucie potęgowało inne, jeszcze silniejsze pragnienie - by uciec w noc, popędzić przez pustkowia w deszczu i wietrze... i zapolować.

„Przestań - upomniał się. - Opanuj się i pamiętaj, po co tu przyjechałeś”.

Podniósł ogromną dłoń zakończoną pazurami i dotknął amuletu Theissa, wiedząc, że bez niego nie zdołałby zapanować nad instynktem.

Rozejrzał się po okolicy, a jego wilcze oczy w jednej chwili oceniły szczegóły skalistego podłoża i wybrały drogi, którymi niezauważeni mogliby się wspiąć po zboczu wzgórza. Teraz już wszystko się unormowało. Płynąca w Treyu moc znowu dodawała mu wigoru, a w połączeniu z adrenaliną sprawiała, że czuł się jak ktoś niewyciężony.

Skinał głowę na przyjaciół. Pomimo deszczu i wiatru czuł ich przerażenie i niepewność, a jego własna woń mieszała się z ich zapachami. Spojrzał przed

siebie na szczyt wzniesienia, starając się nie zwracać uwagi na gęsty, ciężki

brązowy obłok, który spowijał jego towarzyszy.

- Idziemy - zakomenderował Tom i wszyscy ruszyli ku wieży Leroth.



Trey z łatwością pokonał trzymetrową rozpadlinę między dwoma stromymi kamieniami, porośniętą w dole trawą. Uznał, że poczeka po drugiej stronie na przyjaciół, którzy będą musieli zejść na dół, i pomoże im się wdrapać.

Silne nogi umożliwiały mu swobodne poruszanie się po pofałdowanym terenie, który w jednym miejscu wydawał się pewny i twardy, a za chwilę stawał się niebezpiecznie miękki i uginał się pod stopami. Wziął na siebie rolę zwiadowcy, uważając, by nie oddalać się zbyt od pozostałych, mozolnie posuwających się w ślad za nim.

Przycupnął na dużym kamieniu i spojrzał do tyłu. Widział, że zmęczenie daje się wszystkim we znaki, a deszcz dodatkowo utrudnia wędrówkę, szczególnie Tomowi; Irlandczyk był spośród nich najstarszy, do tego jeszcze dźwigał sprzęt. (Odmówił, gdy Trey zaproponował, że poniesie część ekwipunku).

Wiatr chłostał go deszczem, lecz wilkołak nie czuł zimna. Zbadał teren przed sobą za pomocą wzroku i słuchu, wypatrując cytadeli, do której zmierzali. W pewnym momencie znieruchomiał i nadstawił uszu. Znowu to się powtórzyło: warkot silnika jakiegoś pojazdu dochodzący zza skalistego grzbietu, który majaczył jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim.

Odwrócił się, usłyszawszy za sobą kroki, i zobaczył Charlesa, który stanął nad rozpadliną.

- Masz coś, Treyu? - zapytał czarodziej. Po chwili dołączyła do niego Alexa;

Trey odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że jest i Tom.

- Jeszcze nie, ale chyba słyszę w pobliżu odgłosy silnika, co by znaczyło, że już niedaleko. - Trey uformował odpowiedź w umyśle i przesłał ją trójce przyjaciół,

zadowolony, że nękany uparcie przez Alexę, nauczył się w końcu potrzebnego do tego zaklęcia.

- W takim razie koniec gadania - rzekł Irlandczyk i zacisnął dłoń na wyciągniętej łapie Treya, pozwalając by wilkołak wciągnął go po stromej ścianie rozpadliny. - Tutaj wszelkie odgłosy niosą się daleko, nawet podczas deszczu. A myślę, że na razie nie powinniśmy posługiwać się magią. Trudno powiedzieć, jakie mają tu zabezpieczenia albo na jakie czynniki reagują.

Pozostali kiwnęli głowami i ślizgając się, ruszyli w kierunku wzniesienia z ziemi i kamieni. Trey przystanął blisko szczytu, kiedy dobiegł go wyraźny dźwięk metalu

ocierającego o metal, lecz gdy obejrzał się na przyjaciół, zrozumiał, że tylko on to usłyszał. Uniósł ogromną dłoń, dając znak pozostałym, by się zatrzymali. Pokazał

na swoje ucho, a potem skierował palec przed siebie. Tom odpowiedział skinieniem głowy i podpełzł do niego powoli. Pozostali także przykucnęli i podkradli się do grzbietu wzniesienia, żeby zobaczyć, co się kryje po drugiej stronie.

Forteca była ogromna. Wielka czarna wieża wznosiła się ku niebu niczym monstrualny sztylet wbity trzonkiem w ziemię. Wydawało się, że wycięto ją z jednolitego skalnego bloku, a Trey nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób mogło powstać coś takiego. Budowla zdawała się emanować czarną energią.

Wilkołak słyszał niemal, jak szumi niczym linia przewodów wysokiego napięcia podczas ulewy, tyle tylko, że płynąca z niej moc napełniała go czystym, niczym niezmaconym strachem, który przenikał go do szpiku kości. Nigdzie nie było widać wejścia do wieży. Wyrastała z gigantycznych, z grubsza ociosanych skał, po których Trey wciąż przesuwiał wzrokiem, na próżno szukając jakiegoś otworu.

Miał już o tym wspomnieć pozostałym, gdy nagle wydało mu się, że dostrzega pulsowanie dużego fragmentu ściany, jakby cząsteczki tworzące jego strukturę

zaczęły poruszać się w sposób beładny, całkowicie niezależny od innych.

Równocześnie w tym miejscu uformował się otwór, a w nim pojawiła się jakaś ogromna postać uwięziona w czymś, co przypominało kulę energii. Jej zarys był widoczny jedynie dzięki temu, że od powierzchni odbijał się deszcz. Scenę oświetliły światła ciężarówki, która czekała u podnóża wieży.

- Co to takiego? - zapytała Alexa i przysunęła się do Treya, wpatrzona w ogromnego sinocznego stworza.

- Draugr - odrzekł cicho Charles. - Do tego chyba niezbyt uradowany faktem, że przywrócono mu życie.

Istota ryknęła z głową wzniesioną ku niebu, waląc pięściami w ściany niewidzialnego więzienia. Nawet z tej odległości Trey poczuł wyraźny odór gnicia i rozkładu, jaki bił od upiora. Barwa tego smrodu odpowiadała kolorowi skóry bestii.

- Gdzie go zabierają? - spytała dziewczyna.

- Poza wieżę - odparł czarownik i przesunął nieco ciężar ciała, powodując, że po zboczu za ich plecami zsunął się potoczek drobnych kamieni. - Domyślam się, że nie docenili zmienności tych stworzeń i uznali, że pozbędą się draugra, dopóki jest to możliwe, aby zapobiec dalszym stratom.

- Nie mogą go tak po prostu wypuścić!

- A zobaczysz, że mogą, i to zrobią.

Nieoczekiwanie z otworu wynurzyła się nowa sylwetka, która znalazła się w polu reflektorów. Szła, powłócząc nogami, z rękoma wyciągniętymi przed siebie i dłońmi odwróconymi na zewnątrz jak jakiś stary kaznodzieja. Trey domyślił się, że ta postać w jakiś sposób uniemożliwia potworowi wyswobodzenie się i

zniszczenie wszystkiego dookoła.

- Gwendolina - powiedział Charles słabym głosem.

Trey usłyszał tuż obok gwałtowny oddech i spojrzał na Alexę. Z

nieukrywany przerażeniem patrzyła na kobietę, która ją urodziła.

- To niemożliwe - wyszeptała. - Ta... istota nie może być moją matką!

Charles skinął głową.

- Masz rację. Ona nie jest twoją matką. Osoba, która kiedyś mieszkała w tym

ciele i kochała ciebie oraz twojego ojca, dawno odeszła. Ta, która nosi imię

Gwendoliny, to zaledwie przebranie dla istoty ciemności, jaką się stała. Bardzo mi przykro, Alexo.

- Skąd wiesz, że to ona? - syknęła. - Nie możesz tego wiedzieć na pewno.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem skierował spojrzenie w dół.

- Ktokolwiek to jest, operuje jednocześnie trzema bardzo trudnymi

zaklęciami. Więzy draugra, przesuwa go i utrzymuje otwarty portal więzy.

Może mój ojciec potrafił sobie poradzić z tak trudnym zadaniem, kiedy

był młody i znajdował się u szczytu sił, lecz teraz przychodzi mi do głowy tylko

jedna osoba zdolna do takich czynów.

Draugr, który już prawie cały znalazł się w pancernej ciężarówce, znowu

zaczął ryczeć, a Trey odruchowo zawarczał głucho, szczerząc zęby, i poczuł, jak

sierść jeży mu się na grzbiecie.

Demony stojące przy pojeździe szybko zatrzasnęły tylne drzwi.

Czarownica, wyraźnie osłabiona, zgarbiła się i opuściła głowę.

Po kilku chwilach odwróciła się do jednego z maugów, którzy czaili się za nią,

wydała mu krótki rozkaz i poszła do drugiego auta.

Otworzyła drzwi i już miała wsiąść do środka, gdy nagle znieruchomiała.

Spojrzała na grzbiet wzniesienia, za którym ukrywali się Trey i jego towarzysze, szukając wzrokiem czegoś, co tam wyczuła. Wszyscy wstrzymali oddech.

We wnętrzu pancernego samochodu rozległ się potężny łoskot i w ścianie ciężarówki pojawiło się duże wybrzuszenie, jakby w tym miejscu wyrósł nagle jakiś metaliczny wrzód. Gwendolina popatrzyła w tamtą stronę, powiedziała coś do kierowcy i wsiadła do samochodu. Ciężarówka ruszyła, eskortowana przez dwa pojazdy: ten, w którym jechała wiedźma, i drugi z tyłu.

- Cholera! - warknął Tom. - Już myślałem, że nas wyczuła.

- Nie możemy pozwolić, żeby zabrali stąd draugra. Jeżeli go uwolnią, zginą tysiące ludzi - powiedziała Alexa.

- Przede wszystkim musimy dostać się do wieży Leroth. Gwendolina zabierze ze sobą wielu strażników. To nasza szansa. Zajmiemy się draugrem, gdy już zdobędziemy to, po co tu przybyliśmy. Wiem, że sprawa nic wygląda dobrze, ale musimy się dostać do środka, zanim się stąd wyniosą.

Dziewczyna ponownie skierowała wzrok na ciężarówkę.

- Może nam się to nie udać - zauważyła. - Patrzcie.

Z wnętrza dobiegały coraz głośniejsze ryki i łomoty, a pojazd zaczął się gwałtownie kołysać. Demon za kierownicą drugiego auta rozglądał się, wyraźnie zaskoczony uderzeniami, które pewnie go ogłuszały. Gdy skręcił w ślad za prowadzącym samochodem, draugr napał na przeciwległą ścianę ciężarówki. Jej koła od strony patrzących uniosły się na krótką chwilę, wyrzucając w górę strumień błota i kamieni. Kiedy opadły z powrotem na ziemię, wryły się w błotnistą maź, szukając oparcia, i wóz przechylił się mocno, rozkołysany gwałtownym atakiem upiora. Rozległ się głośny trzask i samochód po raz

kolejny przechylił się na bok. Jęk metalu sugerował, że konstrukcja może długo nie wytrzymać. Trey obserwował scenę, spodziewając się, że ciężarówka zaraz wróci do normalnej pozycji, lecz kątem oka zauważył, że Charles wyciąga przed siebie ramię z dłonią zwróconą na zewnątrz, niczym policjant, który próbuje zatrzymać niebezpiecznie jadący pojazd. Chłopak patrzył zafascynowany, jak auto coraz bardziej przechyla się na jedną stronę.

Niski dźwięk uginającego się metalu wzmógł się do głośnego staccato podobnego do uderzeń młota kowalskiego, gdy stal osiągnęła wreszcie punkt złamania.

Samochód uległ w końcu sile grawitacji. Do uszu Treya wdarł się przeraźliwy huk; obserwował, jak koła leżącej na boku ciężarówki obracają się w powietrzu.

Charles wciąż stał jak zahipnotyzowany z twarzą zastygłą w skupieniu. Z jego ust wydobyło się ciche stęknienie, a prawa dłoń poderwała się lekko.

Niemal w tej samej chwili otworzyły się tylne drzwi pancernego pojazdu. Z jego wnętrza wynurzył się draugr, który uniósł głowę i głośnym wyciem wyraził gniew i frustrację.

Trey patrzył, jak istota wskakuje na przewróconą ciężarówkę i wali pięścią w boczne okno. Kuloodporne szkło popękało, lecz szyba pozostała na miejscu nawet po kolejnych trzech potężnych uderzeniach. Ze swojej kryjówki wilkołak widział, jak oba demony w szoferce kulą się na siedzeniach ze strachu, przekonane, że potwór lada moment dobierze się do nich. Tymczasem upiór

zaprzestał ataku. Pochylił się i z głową przechyloną na bok przyglądał się istotom uwięzionym w stalowej skorupie, jakby obserwował zwierzęta w zoo. Nagle

podskoczył wysoko, jednocześnie powiększając się do rozmiarów wielkiego

niedźwiedzia. Z ogromną siłą opadł na kabinę, która wgięła się do środka, tak jakby to była zwykła

puszka po napoju. Drzwi szoferki wybrzuszyły się, wydając pełen

protestu skowyt. Draugr podskoczył raz jeszcze, miażdżąc i tak już uszkodzony metal. Krzyki demonów ucichły nieco wcześniej.

Samochód wiozący Gwendolinę zahamował gwałtownie, ślizgając się, a tylne światła utworzyły małe wysepki na morzu czarnego deszczu, który wciąż lał się z nieba. Odgłos hamulców zwrócił uwagę upiora, który znieruchomiał i spojrzał w tamtą stronę. Po chwili zeskoczył z ciężarówki i ruszył biegiem w kierunku auta, wyczuwając, że z tym obiektem i jego zawartością poradzi sobie łatwiej niż z poprzednim.

Maugi pierwsze wyskoczyły z samochodu i ruszyły na spotkanie draugra, Gwendolina wysiadła potem. Rozwścieczona krzyczała, żeby go zniszczyli, szarpiąc się za mokre i potargane włosy. Tymczasem z portalu w ścianie wieży wybiegły trzy inne demony, jakich Trey nigdy wcześniej nie widział. Uzbrojone w paskudnie wyglądające włócznie zbliżały się do bestii od tyłu, rozstawione w półkole.

Tom spojrzał na wilkołaka, który przyglądał się całej scenie z przerażeniem, ale i fascynacją.

- Chłopaki, czas na was - powiedział. - Chyba nie będzie lepszej okazji, żeby odwrócić ich uwagę. - Skinął na Charlesa i Treya, po czym zwrócił się do Alexy: - Zostaniemy tu i zadbamy, żeby mogli stamtąd wyjść, jak już zabiorą Kalibanowi Kulę.

- Żartujesz sobie?! - zawołała tak głośno, że usłyszeli ją wyraźnie pomimo szumu deszczu i odgłosów walki dochodzących z dołu. - Nie tak się umawialiśmy! Jeśli myślisz, że będę tu siedzieć, podczas gdy oni...

- Taki jest nasz plan, Alexo - przerwał jej Tom ostrym, zdecydowanym tonem. - Trey i Charles mają największe szanse z całej naszej drużyny na to, by dostać się do Leroth i wyjść z wieży z Kulą. Przepraszam, że nie mówiliśmy ci o tym wcześniej, ale domyślaliśmy się twojej reakcji. - Znowu spojrzał na Charlesa.

- Wzięłeś mapę? - zapytał.

Czarnoksiężnik kiwnął głową i poklepał się po tylnej kieszeni.

Alexa wpatrywała się w towarzyszy, rozważając słowa, które przed chwilą usłyszała.

- Jak mogłeś? - syknęła, mierząc Treya wściekłym spojrzeniem. - Jak śmiecie planować cokolwiek za moimi plecami?

W dole rozległ się kolejny ryk, a zaraz potem usłyszeli przeciągłe jęki umierającego demona.

- Myślicie, że mogłabym się załamać w konfrontacji z matką? - Głos dziewczyny przedzierał się przez zgiełk walki. - Widzieliście tę istotę. Myślicie, że żywię wobec niej coś innego poza całkowitą pogardą? Skończeni...

- Alexo, to nie tak. - Trey porozumiał się z nią myślą, zapominając, że mieli tego nie robić.

- Daj spokój, Treyu. Wiedziałeś, jak ma być, zanim tu przybyliśmy, prawda? Ale z ciebie przyjaciel! A ty, Charles? Nic mi nie powiesz?

Czarnoksiężnik oblał się rumieńcem i wbił wzrok w ubłoconą kępę trawy tuż przed swoimi stopami.

- Alexo, nie ma czasu na kłótnie - odezwał się stanowczym tonem Irlandczyk.

- Chłopaki będą potrzebować naszej pomocy tutaj, a sam sobie nie poradzę.

Owszem, tym mogę zniszczyć kilka rzeczy - powiedział, pokazując głową granatnik - ale jeśli trzeba będzie posłużyć się magią, to nie dam rady. - Tom



utkwiał w niej chłodne spojrzenie. - Twój ojciec zrozumiałby, jaka jest potrzeba chwili. Miałem nadzieję, że i ty to pojmiesz, gdy już się tu znajdziemy.

Wpatrywała się w niego przez moment. Wiedział, że trafił w jej czuły punkt.

Wreszcie wzięła głęboki oddech i powoli skinęła głową.

- W porządku. Zostanę z tobą. Szkoda, że nie mieliście jaj, żeby wcześniej ze mną o tym porozmawiać. Sądziłam, że cieszę się waszym zaufaniem.

- Dobra - rzucił Irlandczyk. Spojrzał na Treya oraz Charlesa. - Ruszajcie.

Idźcie tam i wracajcie najszybciej i najciszej, jak potraficie. Tylko bez głupiej fanfaronady. Pamiętajcie, po co tu jesteśmy, i tego się trzymajcie. I chrońcie się nawzajem.

Odpowiedzieli skinieniem głowy. Alexa odwróciła wzrok. Ruszyli: Trey

pierwszy, Charles tuż za nim. Dotarli już prawie na sam dół, gdy ciemność nocy

przeszył wysoki, zawodzący krzyk. Trey obejrzał się i zobaczył Gwendolinę oraz

demony stojące naprzeciwko draugra, widoczni w świetle reflektorów

przewróconej na bok ciężarówki. Ogłuszający skowyt płynął z ust wiedźmy.

Patrzył, jak czarownica się zmienia: jej skóra przybrała ciemnoszary kolor węgla

drzewnego, a powietrze wokół zaczęło drżeć i migotać tak jak nad rozgrzaną

nawierzchnią w gorący letni dzień. Trey chciał zapytać Charlesa, co się dzieje,

kiedy nagle wszędzie dookoła pojawiły się tysiące kamyków i żwiru, pędzących

z ogromną prędkością. Przyjaciele padli na ziemię, aby uniknąć uderzeń, lecz i tak część skalnych drobin wbiła się w ich skórę, a oni poczuli, jak podłoże wyciąga spod nich jakaś ogromna siła. Kamyki i okruchy skalne nadlatywały ze wszystkich

stron, zmierzając prosto do Gwendoliny, i przywierały do wyjącej czarownicy jak

opiłki żelaza przyciągane przez bardzo silny magnes. Kolejne warstwy lepiły się

do jej ciała, aż całkowicie ją zakryły. Kamienie wciąż nadlatywały, tyle że coraz większe, wreszcie wiedźma zaczęła przyciągać kawałki skał wielkości niedużej

pięści, które uderzały o siebie z głośnym hukiem. Wydawało się, że urosła dwukrotnie.

- Przywołała Żywioł - wyjaśnił Charles, przekrzykując ogłuszające wycie. -

Trudne zakłęcie. - Pokręcił głową. - Nie miałem pojęcia, że zostało jej jeszcze tyle siły po wskrzeszeniu draugra. To nie wróży nic dobrego. - Jego szeroko otwarte oczy wyrażały podziw.

Z chwilowego zamyślenia wyrwał go niski pomruk. Spojrzał na towarzysza, który obserwował portal w ścianie fortecy, oddalony od nich o kilka metrów.

- Masz rację, Treyu. Musimy się dostać do środka.

Wilkołak zerwał się i pociągnął czarodzieja do otworu.

Zerknęli za siebie i zniknęli we wnętrzu wieży, trochę zawiedzeni, że nie zobaczą walki upiora z Gwendoliną.

Tom i Alexa patrzyli, jak ich towarzysze, przez nikogo niezauważeni, wślizgują się w otwór i znikają w ciemności. Omietli wzrokiem całą scenę u dołu, by się upewnić, że nikt nie spostrzegł, jak tamci wchodzą do środka. Jednakże uwagę wszystkich przyciągali Gwendolina i jej pomocnicy. Demony, które przybyły na odsiecz z wieży, zbliżały się do draugra, trzymając przed sobą wyciągnięte włócznie. Upiór znieruchomiał na moment i obserwował przemianę czarownicy. Trudno byłoby to zignorować.

- Co jest, do licha? - zapytał Tom, spoglądając na kamienną istotę, która stała teraz przed draugrem.

- Przywołała Żywioł - odparł Alexa, wpatrzona w olbrzymiego potwora, który kiedyś był jej matką. - Chce go pokonać siłą.

Tom, zaintrygowany tonem jej głosu, zerknął na dziewczynę i dostrzegł wyraz podziwu na jej twarzy.

- Nie zapominajmy, komu tu kibicujemy - mruknął.

Alexa posłała mu zimne, nieustępliwe spojrzenie.

- Ja kibicuję tylko jednej osobie. Jeśli myślisz, że za pomniałam, iż

niepowodzenie naszej misji oznacza śmierć mojego ojca, to nie jesteś tym, za kogo cię uważałam. Owszem, podziwiam tę... istotę za to, że potrafi rzucić jedno z

najtrudniejszych zaklęć, jakie kiedykolwiek istniały, ale tylko dlatego że sama nigdy nie dam rady tego dokonać.

Odwróciła lekko głowę do Irlandczyka, jednocześnie obserwując wydarzenia w dole.

- Tom, ja nic do niej nie czuję. Wiem, czym jest i co zrobiła. - Zamilkła, a on

zobaczył, że z trudem powstrzymuje łzy. - Wiem też, że chciała mnie złożyć w ofierze.

- Od jak dawna to wiesz? - zapytał Tom po krótkiej chwili ciszy.

- Ludzie lubią plotkować. Szczególnie gdy na tapecie jest taka pikantna historia. - Wydęła policzki. - To prawdziwa sensacja. Nie ma siły, nie powstrzymają się przed gadaniem. Usłyszałam trochę tu i tam i poskładałam sobie wszystko w całość. Ale długo myślałam, że matka nie żyje. Że ojciec ją zabił.

- Zrobiłby to, ale zniknęła. - Głos Irlandczyka zabrzmiał głucho nawet w jego własnych uszach.

- Szkoda. Żałuję, że nie stał jej z powierzchni ziemi.

- Wybacz mi, Alexo. Przykro mi, że musiałaś sama szukać prawdy o swojej przeszłości.

Podziękowała mu skinieniem głowy.

- W sumie to dobrze, że nie pozwoliłeś mi tam pójść.

Przepraszam za wszystko, co powiedziałam, w szczególności do chłopaków. Mam nadzieję, że Trey i Charles dadzą sobie radę.

- Na pewno.

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, ciemność nocy rozdarł głośny skowyt.

Draugr po raz kolejny się powiększył i teraz mierzył dobre pięć metrów.

Ryknął z wściekłością i rzucił się ku ogromnemu upiorowi żywiołu w kamiennej zbroi, próbując go przewrócić. Ten zamachnął się i ciężka kamienna pięść spadła na grzbiet draugra, rzucając go na ziemię. Siła uderzenia wstrząsnęła mocno stworem, z którego paszczy wydobył się głęboki nieprzyjemny odgłos. Lecz kamienna istota była powolna - owszem, niezwykle potężna, ale powolna -

dlatego zanim podniosła masywną nogę, by dobić przeciwnika, draugr przeturla się na bok i podniósł jednym płynnym ruchem. A potem skoczył niewiarygodnie wysoko i uderzył stopami w głowę i barki upiora żywiołu. Z kamiennej postaci z łoskotem posypały się odłamki skalne. Zaatakowana, jęknęła i zachwiała się niebezpiecznie, lecz w ostatniej chwili zdołała wyciągnąć ramię i odepchnąć się od ziemi. Tom i Alexa wiedzieli, że z powodu wagi nie udałoby jej się podnieść, gdyby się przewróciła, a wtedy byłaby zdana na łaskę szalejącego potwora.

Draugr znów się zbliżył, zapomniał jednak o nargwańskich demonach z długimi włóczniami, które zachodziły go od tyłu. Nieoczekiwanie jeden z nich skoczył do przodu i wbił kopię w bok istoty, po czym obrócił grot w jej ciele. Bestia odwróciła się do napastnika, chwyciła za drzewce jego włóczni i złamała je, a potem błyskawicznie chwyciła za kark wycofującego się demona i cisnęła go - martwego - na ziemię.

Dokładnie w tym momencie kamienna pięść uderzyła ją w twarz.

Rozległ się nieprzyjemny chrzęst łamanych zębów i kości, a draugr zachwiał się, potrząsając roztrzaskaną głową niczym bokser wagi ciężkiej, który już w pierwszej rundzie otrzymał prawy sierpowy. Wypluł ogromną kulę czarnej posoki zmieszanej z zębami i popatrzył na plwocinę. Wydawało się, że widok własnej krwi coś w nim poruszył, bo nagle olbrzym uniósł sinoczną głowę i spojrzał czarnymi jak węgiel oczami na skalne monstrum. Wciągnął powietrze, wypełniając nim ogromne płuca, wydał ogłuszający ryk i po raz kolejny zaatakował upiora żywiołu.

Zdążył uderzyć w osłonę trzy lub cztery razy, zanim przeciwnik zorientował się, co się dzieje. Wielkie fragmenty skorupy leciały w powietrze, kiedy draugr zadawał kamiennej istocie potężne ciosy, ona zaś zaczęła się cofać przed tak

zmasowanym atakiem. Jedno z uderzeń roztrzaskało podbródek upiora, wyrzucając w ciemność deszcz gładów różnej wielkości. Jak na potwora swoich rozmiarów draugr poruszał się niewiarygodnie szybko i zwinnie.

Wyskoczywszy wysoko w powietrze, złożył dłonie nad głową i opuścił je, niczym młot, na kark upiora żywiołu, który zachwiał się pod tak potężnym uderzeniem.

Stwór z pewnością by go dobił, gdyby nie druga włócznia, która przeszła jego plecy. Zaraz po niej jeszcze jedna przebiła udo draugra; z muskularnej nogi trysnęła fontanna krwi.

Ogromna bestia zaryczała rozwścieczona, że odbiera jej się zwycięstwo.

Zatoczyła się na bok, zagarniając powietrze ramieniem, by zadać jeszcze jeden cios, i dopiero wtedy osunęła się na ziemię. Kamienny potwór także chwiał się w miejscu, z trudem zachowując równowagę niczym pijak na pokładzie statku podczas sztormu.

Demony powoli zacieśniały pierścień wokół draugra. Przypominały psy myśliwskie osaczające zwierzynę. Jeden z maugów sięgnął po topór, gotów zadać ostatnie cięcie i zakończyć długi i żalony żywot przeciwnika.

- Musimy coś zrobić - syknęła Alexa. - Jeśli go teraz zabiją, Charles i Trey zostaną uwięzieni w Leroth.

Draugr klęczał na jednym kolanie z przebitą nogą odsuniętą sztywno na bok, a z rany płynął strumień czarnej krwi. Potwór wodził rozgniewanym spojrzeniem po demonach, które otoczyły go ciasnym kręgiem, lecz widać było już, że słabnie, a energia opuszcza jego ciało ciemnymi strużkami i wsiąka w podłoże. Mógł się tylko przyglądać, jak napastnicy gotują się do ostatecznego ataku.

Jeden z maugów dostrzegł dogodne miejsce na karku potwora i cisnął toporem osadzonym na długim trzonku, tak aby przeciąć jednocześnie kość, mięsień i

ścięgno. Lecz draugr był na to przygotowany. Wyczekał, aż ostrze broni znajdzie się bardzo blisko niego, a potem w jednej chwili powrócił do normalnych rozmiarów. Topór swobodnie przeleciał nad jego głową i zakreśliwszy łuk, ugodził w pierś demona, który stał na lewo od upiora. Nargwańczyk zdążył jeszcze spojrzeć zdumiony na ostrze wbite w pierś, po czym osunął się martwy na ziemię.

Z paszczy draugra popłynął niski charczący śmiech. Z nieukrywaną pogardą powiódł wzrokiem po oprawcach, lecz siły całkiem go już opuściły. Zbyt słaby, by choćby patrzeć na przeciwników, zwiesił głowę, czekając na śmierć.

Usłyszał chrząknięcie mauga, który jeszcze raz zamachnął się toporem, nie poczuł jednak dotyku zimnej stali ostrza na karku.

Nie zdążył, bo świat wokół niego wybuchnął falą ognia, która trawiła wszystko, co napotkała na swojej drodze.

Trey i Charles szybko weszli przez portal do czegoś, co przypominało niski, rozgałęziający się korytarz wyłobiony w lśniącej czarnej skale. Wilkołak sprawdził go wszystkimi zmysłami, by się upewnić, że nie grozi im spotkanie z posiłkami demonów, które być może wezwano do bitwy rozgrywającej się na zewnątrz.

W środku panowała nienaturalna cisza, co od razu uderzyło Treya - nie docierały do nich żadne odgłosy walki. Ucichły w momencie, gdy przeszli na tę stronę ściany - jakby zamknięto za nimi jakąś niewidzialną okiennicę, zagradzając drogę bitewnemu zgiełkowi. Charles, wyczuwając dezorientację przyjaciela, poklepał go po muskularnym, pokrytym futrem przedramieniu.

- Jesteś teraz na innym poziomie - wyjaśnił. - Opuściliśmy nasz świat i weszliśmy do Otchłani. Tamte dźwięki nie pochodzą z tego świata, dlatego tutaj nie docierają.

Trey popatrzył w otwór i zauważył, że widzi nie dalej niż dwadzieścia metrów za ścianą fortecy, a potem obraz po prostu się rozmazał i świat zewnętrzny, który normalnie był Islandią, wypełniła wirująca szara mgiełka. Wydało mu się, że skupiając wzrok, dostrzega coś pędzącego z wielką prędkością w głębi tej szarości. Przez moment zastanawiał się, co się dzieje na zewnątrz i czy Tom i Alexa są bezpieczni.

- Poradzą sobie - rzekł Charles, spoglądając na niego.

- Tom nie pozwoli, żeby coś jej się stało.

Złociste oczy likantropa niemal płonęły w otaczającej ich w ciemności. Trey z rozmysłem spojrział na lewo, a potem na prawo, zanim ponownie skierował



wzrok na Charlesa.

- Teraz możemy się tak komunikować. - Głos czarnoksiężnika docierał do

Treya tak, jakby jego towarzysz szeptał mu prosto do ucha, mimo że Charles nie poruszał ustami. - To miejsce istnieje tylko za sprawą magii - wyjaśnił, mówiąc

już normalnie - a jedyna osoba, która mogłaby nas usłyszeć, jest na zewnątrz i ma pełne ręce roboty. Znajdujemy się w Otchłani, a właściwie w tej jej części, która została przeniesiona do świata ludzi. Istnieje większe niebezpieczeństwo, że odkryją mnie, a nie ciebie, bo jestem człowiekiem. Ja nie należę do tego świata, a ty tak. -

Czarnoksiężnik spojrzał na wilkołaka i uśmiechnął się niepewnie. - Nie będę się posługiwał magią, o ile nie zajdzie taka potrzeba. Muszę oszczędzać energię.

Proponuję, żebyś postępował podobnie i komunikował się ze mną, tylko kiedy będziesz musiał.

Charles patrzył, jak towarzysz opuszcza wzrok, by skoncentrować się na zaklęciu. Jego wargi poruszyły się, odsłaniając ogromne zęby, i powietrze wypełnił strumień głuchych pomruków.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - W którą stronę idziemy?

Charles kiwnął głową z aprobatą.

- Nieźle sobie radzisz. Musiałeś mieć cholernie dobrego nauczyciela.

Trey odpowiedział głuchym warczeniem. Kiedy wyszczerzył zęby, Charles się domyślił, że jest to wilczy odpowiednik uśmiechu, mimo to przebiegł go dreszcz.

- Przyszła mi do głowy straszna myśl - oznajmił Trey. - A co, jeśli Gwendolina ma Kulę Mynora przy sobie? Tam na zewnątrz? - Wskazał otwór w ścianie.

- Nie wynosiłaby z wieży czegoś tak cennego. Nie, musimy wierzyć, że twoje informacje są prawdziwe, że trzyma Kulę w swojej komnacie.

Charles rozejrzał się, wpatrując się w ciemność, w której zniknął korytarz. Wyjął

z tylnej kieszeni mapę, lecz nie mógł nic na niej zobaczyć z powodu słabego światła.

- Ten korytarz pewnie okrąża wewnętrzny dziedziniec i samą wieżę. Musi być z niego jakieś wejście. Gdybym tylko mógł odczytać mapę...

Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że ogromny wilkołak ruszył w prawo, nawet nie obejrzawszy się za siebie.

- W porządku. Jasne. Idziemy w prawo - rzekł Charles i podążył za towarzyszem.

W korytarzu nie było żadnych świateł, a gdy zostawili za sobą jasną smugę, która wlewała się do wieży przez otwór, zanurzyli się w jeszcze większą, niemal całkowitą ciemność. Oczy Treya były idealnie przystosowane do takiego otoczenia, miały dużo więcej pręcików w stosunku do czopków siatkówki, co pozwalało mu widzieć niemal tak samo dobrze w dzień, jak i w nocy. Ale był świadomy tego, z jakim trudem podąża za nim Charles, potykający się na nierównościach podłoża, dlatego musiał iść wolniej, niżby tego chciał, i trzymał się blisko towarzysza, tak by samą swą obecnością służyć mu za przewodnika.

Wreszcie stało się jasne, że zbliżają się do przejścia umieszczonego w wewnętrznej ścianie po ich lewej stronie. Mrok wypełniło dziwne purpurowe światło. Trey szybko i cicho zbliżył się do tego miejsca, poruszając się blisko muru, gotów stawić czoła niebezpieczeństwu, które mogło tam na nich czyhać. Teraz, gdy widoczność się poprawiła, czarodziej go dogonił.

Z przejścia wiał lekki wiatr. Gdy Trey się zbliżył, jego wyostrzone zmysły zostały zaatakowane przez tak straszny smród, że gwałtownie się cofnął.

- Treju, wszystko w porządku?

Nigdy wcześniej nie czuł równie okropnego fetoru, ani jako człowiek, ani jako

wilk. Na kwaśny smród zgnilizny i rozkładu nakładał się metaliczny przenikliwy

zapach siarki. Uzupełniały się nawzajem, tworząc nieopisany odór. Trey aż się

zakrztusił - za sprawą synestezji zapachy przybrały w jego umyśle postać kolorów: żółci, zieleni, czerwieni i brązów, które napierały na siebie przed jego oczami,

wirując, aż zakręciło mu się w głowie.

- Ten wstrętny zapach! Co to jest, do cholery?

Czarnoksiężnik pociągnął nosem i się skrzywił. Przełknął głośno ślinę,

próbując powstrzymać wymioty.

- O kurczę! Niezły smród, masz rację. Dla ciebie musi być o wiele gorszy. W

porządku?

Trey pokręcił głową, ale podszedł do wejścia. Zadrżał, gdy jego żołądek

gwałtownie skurczył się w proteście. Otworzył usta, by zaczerpnąć więcej

powietrza, lecz skończyło się na tym, że nie dość, iż nawdychał się smrodu, to

jeszcze go posmakował. Postanowił w miarę możliwości nie zwracać na to uwagi i

jeszcze raz przybliżył się do otworu, żeby spojrzeć na wieżę, która wznosiła się ku niebu.

- Robi wrażenie, co? - odezwał się zza jego pleców Charles.

Wilkołak poczuł zimny dreszcz strachu pełznący po jego ciele. Na

ciemnopurpurowym firmamencie wciąż płonęło czarne słońce.

- To jest dziedziniec wewnętrzny - powiedział czarownik, patrząc na mapę. -

Oddziela zewnętrzny mur od wieży stojącej wewnątrz niego. Dziwne, wcale się

tego nie spodziewałem. Wydawało się, że ze skały wyrasta jedna ogromna

budowla, prawda?

Trey powiódł wzrokiem po cytadeli, która wznosiła się przed nimi. Wysoko

nad ich głowami z występów w ścianach zwisały na łańcuchach klatki, do których

chyba nie było żadnego dostępu, gdyż mury gigantycznej fortecy nie miały

żadnych otworów, poza długimi i wąskimi szczelinami na dwóch trzecich wysokości, podobnymi do otworów strzelniczych, jakie Trey widział na ilustracjach ludzkich zamków.

Charles podążył wzrokiem za spojrzeniem towarzysza.

- Klatki... - mruknął. - Umieszczają w nich okaleczone ciała wrogów Kalibana i

Gwendoliny. Zebrali już niezłą kolekcję. Najwyraźniej nie jest dobrze sprzeciwiać się gospodarzowi.

Smród wciąż utrudniał Treyowi koncentrację. Niespodziewanie coś poruszyło

się w powietrzu nad ich głowami, a zaraz potem jeszcze raz i znowu. Od

zaczepów podtrzymujących metalowe klatki oderwały się małe czarne stworzenia

i zmierzały w ich kierunku. Wilkołak patrzył, jak zbliża się ich co najmniej

dwadzieścia; stawały się coraz większe i wyraźniejsze. Zaczęły krążyć w górze,

głośno posykując.

Trey po raz pierwszy zobaczył skrzydlate demony. Choć nieduże - mniej

więcej wielkości domowego kota - idealnie pasowały do obrazu, jaki powstałby w

jego umyśle, gdyby wcześniej - kiedy jego życie było jeszcze normalne- ktoś mu

kazał wyobrazić sobie coś podobnego. Ich czarne ciała, kształtem zbliżone do

ludzkich, wyposażone były w skrzydła wyrastające pomiędzy łopatek. Stopy

muskularnych nóg kończyły się nieproporcjonalnie dużymi, zakrzywionymi

ptasimi szponami, które stanowiły przedłużenie palców; także na końcach palców

ich rąk Trey dostrzegł pazury. Ze złowrogich twarzy o ostrych rysach patrzyły

czerwone oczy z małutkimi czarnymi źrenicami, które nigdy nie mrugały.

Demony mocno biły skrzydłami, aby utrzymać się w powietrzu. Uwagę Treya

zwróciły ich ogony. Na ich końcach, długich i okrągłych jak u szczura,

znajdowały się nieduży trójkątne zadzior, chłopak kojarzył je z ilustracji diabłów i demonów w

książkach dla dzieci.

Obaj z Charlesem obserwowali akrobatyczne wyczyny małych demonów

kołujących nad ich głowami. Nagle jedna z tych istot zwinęła skrzydła i popędziła ku ziemi lotem nurkowym. Śmigająca czarna plama przemknęła tuż przed

twarzą Charlesa, raniąc go ostrymi pazurami, i wróciła do stada.

Drażnienie nie od razu zaczęło krwawić, jakby nerwy i naczynia krwionośne zostały chwilowo sparaliżowane na skutek szoku. Jednak już za chwilę równie

szybko jak mały demon zanurkował, z twarzy czarodzieja trysnęła purpurowa krew, spływając strużkami po jego policzkach oraz szyi i wsiąkając w koszulę.

Charles odruchowo uniósł dłonie i przycisnął je do rozoranego ciała.

Tymczasem kolejny demon ruszył ku niemu, a potem jeszcze jeden, który także oderwał się od stada i pomknął za towarzyszem. Trey zamachnął się i pochwycił

pazurami pierwszego, ciskając go na ziemię, a potem podniósł nogę i rozgniół

czarną istotę. Widząc, jaki los spotkał jego pobratymca, drugi z atakujących

demonów skierował się prosto ku twarzy likantropa, szczerząc rzędy ostrych

zębów, które Treyowi przywiodły na myśl piranię. Wilkołak zaczekał, aż demon

znajdzie się bardzo blisko. Wyraźnie dostrzegł zaciekły wyraz małej paskudnej twarzy stworza lecącego z wystawionymi szponami, by pomścić śmierć towarzysza.

Trey w ostatniej chwili przechylił się w bok, wykręcił głowę i zacisnął potężne

szczęki na czaszce demona, odrywając ją od reszty ciała. Patrzył, jak pozbawiony

głowy korpus opada na ziemię, wciąż trzepocząc skrzydłami, nieświadom tego, że impulsy, które odbiera, są już bez znaczenia.

Charles wykonywał szybkie zwody, by uniknąć zmasowanego ataku. Jeden z

demonów uczepił się jego pleców, wbijając mu boleśnie szpony w ciało. Trey

podbiegł szybko, zgniótł napastnika w rękę i cisnął go na ziemię.

- Treyu! - zawołał Charles. - Dasz radę odpędzić je choćby na krótko?

Likantrop bez słowa skoczył w sam środek stada, atakując szponami i zębami każdego, który był na tyle głupi, żeby się do niego zbliżyć. Ściągnął na siebie uwagę wszystkich demonów, a te przegrupowały się, by przeprowadzić zorganizowane natarcie.

Tymczasem czarodziej wyprostował się i wyciągnął przed siebie ręce z dłońmi odwróconymi ku górze, a potem zamknął oczy, nie zważając na strużki krwi spływające po jego twarzy.

Trey wykonał kolejny unik, ratując się przed napaścią; udało mu się nawet chwycić zębami koniec skrzydła jednej z istot, którą posłał na ziemię jednym szarpnięciem głowy. Gdy zerknął przez ramię na młodego czarnoksiężnika, zobaczył, że Charles zeszywniał, a potem jego ciało drgnęło gwałtownie, dłonie natomiast zacisnęły się w pięści. Uchylił się przed kolejnym demonem, lecz wciąż obserwował towarzysza. Ciało maga jeszcze raz drgnęło; otworzył oczy i wyrzucił ręce w górę, jakby ciskał w niebo niewidzialny pył.

Nastąpiła chwila czystej i absolutnej ciszy, milisekunda całkowitej nicości.

Kilkanaście demonów, które jeszcze krążyły nad ich głowami, zapaliło się i runęło w dół, ich płonące ciała uderzały głucho o ziemię. Trey znowu popatrzył na Charlesa, ale ten zajął się już swoimi ranami, usiłując zatamować płynącą z nich krew. Był blady i wilkołak przestraszył się, że towarzysz może zasłabnąć.

Charles odpowiedział na jego spojrzenie uspokajającym skinieniem.

- Co to było? - zapytał wilkołak.

- Nieważne. Czy któryś uciekł? - Charles mówił niewyraźnie i wypluł na ziemię dużą grudę zakrzepłej krwi.

- Nie. Chyba wszystkich wymiotłeś tym czymś, cokolwiek to było.

- Dobrze. Musimy zejść z otwartego terenu, a potem mnie pocerujesz.

Pobiegli do podstawy wieży i z ulgą zobaczyli ogromne drzwi oddalone o kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym wcześniej stali. Trey nie zdziwił się, że nie zauważyli ich od razu po wejściu na dziedziniec. Czarne, wykonane z jakiegoś dziwnie lodowatego metalu, na tle ciemnej ściany były prawie niewidoczne. Nie miały żadnej klamki ani zamka i nawet nie drgnęły, kiedy na nie naparł z całych sił.

- Pozszywaj mnie, a potem umożliwię nam wejście - powiedział Charles.

Sięgnął do kieszeni po portfeli, wyjął z niego igłę, tę samą, którą zszyl ranę Treya po jego walce z demonem cienia w Londynie.

Wilkołak chciał wziąć igłę do ręki, lecz wilcze łapy uniemożliwiały mu posługiwanie się czymś tak małym. Wciągnął powietrze i upewniwszy się, że nic im nie grozi, przyjął ludzką postać.

- Ukryję nas najlepiej, jak potrafię, ale musisz się pospieszyć. Jako człowiek jesteś tu narażony na wielkie niebezpieczeństwo.

Zupełnie nagi w cieniu ogromnej wieży Trey doskonale zdawał sobie sprawę, jaki jest bezbronny. Ujął igłę i odsunął dłonie Charlesa z jego twarzy.

- Kurczę! - Pokręcił głową. - Co ja wyprawiam? Nawet nie wiem, od czego zacząć.

- Zrób tak, jak potrafisz, żeby tylko zatamować krwawienie. Nie spodziewam się równiutkiego szwu.

- Dobra. Ale jeśli bardzo to schrzanię, połowę twarzy będziesz miał podobną do kawałka przeżutej gumy.

Zbliżył do siebie krawędzie rany w najgłębszym miejscu, starając się nie

zabrudzić jej palcami, a potem wbił igłę pod skaleczeniem i przepchnął ją na drugą stronę, powtarzając czynność kilkakrotnie i przeklinając za każdą razem, gdy

ślizgały mu się lepkie od krwi palce. Niedługo potem zdołał zatrzymać krwotok.

Odsunął się, żeby spojrzeć na swoje dzieło, i pokręcił głową na widok ściągniętej i pomarszczonej krwawej masy, która miała być policzkiem Charlesa.

- I jak to wygląda? - zapytał czarodziej. Był to pierwszy dźwięk, jaki wydobył z siebie od momentu rozpoczęcia całej operacji, i Trey nie mógł się nadziwić, z jakim spokojem zniósł to wszystko. Charles otworzył opuchnięte oko i spojrzał pytająco na chłopaka.

Trey zmarszczył czoło i wydał dolną wargę, szukając właściwych słów.

- Ujmę to tak - odezwał się wreszcie. - Nie będziesz musiał kupować maski na Halloween.

- Świetnie - odparł Charles i delikatnie dotknął szwu. - Musisz czym prędzej zmienić...

W tej samej chwili zobaczył, że znowu stoi przy nim wilkołak z zębami wyszczerzonymi w uśmiechu. Czarnoszara sierść czyniła go niemal niewidocznym na tle kamiennej ściany.

Trey spojrzał na drzwi.

- Chodź - powiedział do niego Charles i ruszył do wejścia. - Wejdźmy jak najszybciej.

Trey patrzył, jak czarnoksiężnik przykłada otwartą dłoń do lodowatej powierzchni, najwyraźniej ignorując ból, jaki musiał odczuwać. Po chwili Charles, wyraźnie zadowolony, zamknął oczy i zaczął poruszać ustami, bezgłośnie rzucając zaklęcie.

Trey nie usłyszał niczego, co by wskazywało na to, że odnieśli sukces, lecz nieoczekiwanie drzwi otworzyły się do wewnątrz.



- Ruszajmy.

Weszli do wieży Leroth.

Silnik ucichł, a sternik, młodzieniec w jasnokolorowej koszuli hawajskiej i czapce bejsbolowej na głowie, zeskoczył zwinnie z dziobu ze zwojem liny w dłoni.

Rozchlapując niskie grzywacze, wciągnął łódź dalej na plażę.

Martin przyglądał mu się z kuchennego tarasu. Gdy wyczuł za sobą obecność córki, odruchowo naprężył mięśnie. Od morza wiał chłodny wietrzyk niosący ze sobą metalicznie słoną woń. Głęboko wciągnął powietrze w nozdrza, napawając się zapachami, jakby robił to po raz ostatni w życiu.

- Gotowy? - zapytała córka.

- Tak myślę - odparł i odwrócił się niej.

Philippa zaczesła włosy wysoko, w koczek i przytrzymała je długimi czarnymi pałeczkami do jedzenia, które wystawały z jej fryzury pod różnymi kątami. Usta znowu miała pomalowane na czarno i założyła czarną sukienkę, a pod nią legginsy. Nie potrafił nic wyczytać z wyrazu jej twarzy.

- Ładnie wyglądasz - odezwał się wreszcie.

- Dziękuję. - Patrzyła na niego, lecz Martin nie dostrzegł ani odrobiny ciepła w tym spojrzeniu. Nie dostrzegł w nim swojej ukochanej córki. I nie miał pojęcia, kto się tam czai.

- W takim razie w drogę, tato. Nie każmy mu czekać dłużej, niż jest to konieczne. - Ruszyła w kierunku plaży.

- Nie zapomniałaś o czymś? - rzucił za nią.

Odwróciła się, lekko marszcząc brwi.

- Nasz piknik - powiedział, po czym podniósł kosz, który wcześniej postawiła przy lodówce. - Przecież nie będziemy obserwować tych żółwi w nocy na głodniaka, prawda?

- Ależ jestem zapominalska. Przyniesiesz go? Zaczekam przy łodzi. - Ruszyła

przed siebie, okrywając ramiona cienkim szalem.

Martin patrzył na nią przez chwilę, po czym zabrał kosz piknikowy i

zamknął za sobą drzwi wychodzące na taras. Nie mógł oczywiście wiedzieć, że w

tym samym momencie w Londynie ludzie pana Ellingtona otworzyli dużą

zamrażarkę w jego garażu, gdzie odkryli zwłoki Ruth Glenister. Nie wiedział też,

że gdyby jeszcze przez kilka minut opóźniał zejście do łodzi, jego życie zostałoby uratowane, bo zdążyłby nadejść Tiny Beauchamp - syn zaginionej pani

Beauchamp - z którym ludzie Toma zdołali się wreszcie skontaktować i którego

poprosili, żeby niezwłocznie udał się do willi. Ale Martin Tipsbury nie należał do szczęściarzy. I za jakieś dziesięć minut miał odkryć, jak wielkim był

pechowcem.

We wnętrzu wieży panował chłód. Nawet Trey ze swoją grubą sierścią odczuł gwałtowny spadek temperatury, gdy weszli do środka, spojrzął więc na Charlesa, przekonany, że towarzysz bardzo cierpi. Ku jego zdziwieniu czarnoksiężnik zdawał się kompletnie niewrażliwy na zimno, i Trey po raz kolejny poczuł dla niego wielki szacunek za to, że tak dobrze znosił niedogodności, z jakimi on sam by sobie nie poradził w ludzkiej postaci.

Zatrzymali się tuż za drzwiami, które zamknęły się za nimi bezszelestnie.

Wilkołak spenetrował spojrzeniem mrok, by upewnić się, że nic im nie zagraża.

Tam, na dole niewiele dochodziło światła, lecz zdołał się zorientować, że stoją w ogromnym okrągłym pomieszczeniu o średnicy około pięćdziesięciu metrów.

Ciągnęło się ono w górę i znikało w ciemności. Zapach, który zaatakował jego nozdrza, okazał się równie nieprzyjemny jak ten na zewnątrz: smród zepsucia, zgnilizny i zaniedbania. Na środku stał niski budynek, opuszczony, jak można było sądzić po ciemnych oknach, a za nim wystawało coś, co na pierwszy rzut oka przypominało maszt flagowy.

Trey poczuł nagły niepokój, powiódł więc wzrokiem jak mógł najwyżej. Wydało mu się, że dostrzegł zarys czegoś... czegoś na kształt ludzkiej postaci zawieszanej na drewnianej belce wystającej z masztu. Próbował się lepiej przyjrzeć, lecz odległość była zbyt duża. Nieoczekiwanie poczuł lekki dreszcz, który przepłynął przez całe jego ciało.

- Treyu. - Charles trącił go w ramię. - Musimy iść.

Wilkołak jeszcze raz spojrzął na majaczący w górze obiekt, po czym odwrócił się, by ruszyć za przyjacielem. W tej samej chwili rozległ się cichy jęk. Trey napiął całe ciało, spodziewając się ataku. Ruszyli ostrożnie w kierunku odgłosu, aż

doszli do ogromnych schodów, przed którymi przystanęli.

Wzrok Treya przyzwyczał się już do niemal całkowitej ciemności, rozejrzał się więc uważnie po raz kolejny. Ogromne kręte schody wily się wokół podstawy wieży, oddalone od ściany o jakieś dwa metry. Nie było widać niczego, co by je podtrzymywało od góry czy od dołu, dlatego zastanawiał się, jak to możliwe, że każdy z tych ogromnych kamiennych stopni przylega do następnego, tworząc schody. Co jakiś czas od stopni odchodził podobny do rampy wąski nieduży most, połączony ze ścianą linami, który prowadził do niedużej ciemnej pieczary - wszystkie były wydrążone w zewnętrznej ścianie w równych odległościach od siebie.

Ich uszu dobiegł kolejny jęk i stało się jasne, że jakiegokolwiek istoty wydawały te żalosne odgłosy, znajdowały się w tych niedużych niszach.

- Przed siebie i do góry - wyszeptał Charles. Kiwnął głową w stronę schodów, a Trey dał znak, żeby czarnoksiężnik prowadził. - W porządku - odpowiedział tamten i wysunął się przed wilkołaka. - Upewnij się tylko, że nic nie wyjdzie z tych pieczar i nie podąży za nami. To miejsce ani trochę mi się nie podoba.

Gdy znaleźli się prawie w połowie schodów - około piętnastu metrów nad ziemią - znowu usłyszeli żalosny jęk, tym razem z ich prawej strony. Zatrzymali się. Odgłos rozlegał się gdzieś bardzo blisko nich, dlatego Trey wychylił się ze schodów i wytężył wzrok, by spróbować coś wypatrzeć w głębi czarnej niszy. Dźwięk wskazywał na to, że coś lub ktoś bardzo cierpi.

- Co ty wyprawiasz, Treyu? - syknął Charles. - Idźmy dalej. Musimy się dostać na samą górę, a i tam trzeba będzie poszukać miejsca, w którym Gwendolina może trzymać Kulę.

- Zaczekaj - odpowiedział likantrop. - Chcę coś sprawdzić.

Postawił stopę na pomoście łączącym schody ze ścianą, by zbadać masywność konstrukcji. Zatrzeszczała i zakołysała się na linach, ale Trey uznał, że wytrzyma jego ciężar.

- Treyu, do licha, nie mamy na to czasu. Chodźmy.

Wilkołak zignorował jego słowa i wszedł na drewniany pomost. Pokonał go szybko i pochylił się, by zajrzeć do celi. Bo teraz wiedział już, że to była cela.

Nieduży otwór blokowała gruba krata. Trey podejrzewał, że nieszczęśnik został tam wprowadzony, a potem krata za nim opadła.

Spojrzał w głąb czarnej jamy, skąd płynął obrzydliwy odór. Zrobiło mu się niedobrze i poczuł, jak zawartość jego żołądka po raz kolejny dopomina się uwolnienia. I wtedy w ciemnościach coś się poruszyło. A potem się obróciło i podpełzło do niego na brzuchu.

Trey nie miał pewności, czym wcześniej był więzień. Nie potrafił stwierdzić, czy była to istota ludzka, czy demon, czy może zwierzę, za to bez wątpienia więzień był bliski śmierci.

- Czy przysłał cię anioł? - zapytał głosem, nawet dla wrażliwych uszu Treya ledwo słyszalnym. - Czy on cię przysłał?

Trey uklęknął i pociągnął za pręty kraty w nadziei, że ją wyrwie i uwolni tę biedną, żalną istotę.

- To na nic - powiedział więzień. - Tylko ona może nas uwolnić. Tylko ona może nas uratować. - Nieszczęśnik spojrzał ponad ramieniem Treya daleko w ciemność wieży.

„Jak długo ta biedna istota tu siedzi? - zastanawiał się Trey. - I w jaki sposób

mógłbym ją stąd wyciągnąć?”.

Jakby czytając w jego myślach, więzień przysunął się jeszcze o kilka centymetrów i spojrzał na wikołaka kaprawymi oczami.

- Teraz tylko anioł może nas uratować – powtórzył i znowu zwrócił spojrzenie ku sufitowi.

Trey domyślał się, na co patrzy więzień. Odwrócił głowę i podążył za jego wzrokiem. Powinien bardziej wierzyć swojej intuicji. Szóstym zmysłem wyczuwał, że niebagatelną rolę odgrywa tu ta niewyraźna ludzka postać zawieszona w klatce wysoko na maszcie. To dręczące uczucie, jakiego doświadczył, kiedy spojrzał na nią, powinno było mu podpowiedzieć, że nie może tego tak po prostu zignorować. A teraz wydało mu się, że wie, co robić.

Popatrzył przez kraty na nabrzmiałą błaganiem twarz uwięzionego i kiwnął głową, licząc na to, że tamten go zrozumie.

- Sprowadzę pomoc.

Wycofał się na schody i spojrzał na Charlesa, który zdążył już wejść trochę wyżej.

Młody czarnoksiężnik odwrócił się i pokręcił głową poirytowany.

- O co chodzi? - zapytał.

- Zaczekaj tutaj - powiedział Trey. - Muszę coś zrobić.

- Treyu, daj spokój!

- Poczekaj tutaj.

I już go nie było. Charles patrzył, jak wikołak skacze lekko i bezgłośnie, zbiegając po schodach, i znika w ciemności.

Trey podkraść się do budynku, który zobaczyli zaraz po wejściu do wieży.

Poruszał się cicho na swoich silnych nogach. Dostroił się do otoczenia, a jego wilcze zmysły rejestrowały każdy zapach, każdy widok i odgłos. Znowu poczuł w sobie

energię, tak jak wtedy, gdy na Islandii po raz pierwszy przybrał postać wilkołaka.

Wówczas miał ochotę zapolować na króliki, teraz zaś przygotowywał się na coś, co, jak wyczuwał, było o wiele bardziej niebezpieczne. Wtopił się w cień budynku.

Stał się niewidzialny.

Podszedł do jednego z okien, nasłuchując. Tak jak się spodziewał, w środku

ktoś był. Istoty się poruszały i sądząc z odgłosów, przygotowywały się do

opuszczenia posterunku, być może, aby wspomóc istoty cienia, towarzyszące

Gwendolinie na zewnątrz. Trey wiedział, że nie ma dużo czasu. Rozejrzał się i

zauważył ogromną metalową konstrukcję, która wyglądała zupełnie jak klatka

dla rekinów, podobną widział kiedyś w telewizji. Podbiegł do niej i spróbował ją

podnieść. Była strasznie ciężka, dlatego mimo swej nadnaturalnej siły z wielkim

trudem udało mu się ją dźwignąć i wrócić na chwiejnych nogach do strażnicy.

Postawił ją przed samymi drzwiami.

Potem przeszedł na tył budynku i zbliżył się do podstawy tego, co wcześniej

wziął za maszt flagowy, a co, jak odkrył, było szubienicą. Z ulgą zobaczył, że

łańcuch jest umocowany do pachołka osadzonego w słupie. Luźna część leżała

zwinęta u podstawy masztu. Wcześniej brał pod uwagę, że nie znajdzie żadnego

mechanizmu, który pozwoliłby mu opuścić klatkę - to by mu kompletnie unie-

możliwiło zrobienie tego, co zamierzał, wilki bowiem potrafią robić wiele

rzeczy, ale na pewno nie umieją się wspinać.

Bardzo ostrożnie odczepił zwoje łańcucha i zaczął go odwijać, przygotowany

na duże obciążenie. Gdy tylko łańcuch napiął się maksymalnie, Trey

znieruchomiał, nasłuchując, czy aby nie został odkryty. Nie spuszczał wzroku z



bloczków, które prowadziły łańcuch, zaczął go popuszczać, mrużąc oczy na dźwięk metalu ocierającego się o kółka bloków. Jeszcze raz zamarł w bezruchu. Przez następne kilka minut opuszczał łańcuch, zatrzymując go często, lecz potem, ośmielony, pozwalał, aby dłużej odchodził w górę, aż wreszcie zobaczył, co się kołysało na jego drugim końcu.

Była to bardzo nietypowa klatka. W przeciwieństwie do poprzednich, okrągłych, które z Charlesem widział na murach, ta wydawała się przeznaczona do specjalnych celów. Wykonano ją w całości z czarnych metalowych elementów uformowanych tak, by utworzyły kształt człowieka, z miejscami na ręce i nogi odchylonymi trochę od tułowia. Całość przypominała Treyowi postać, którą jako mały chłopak rysował pod szubienicą, kiedy grywał z kolegami w Wisielca. Mimo ogromnych rozmiarów klatki - w ocenie wilkołaka dorównywała mu wielkością - zamknięta w niej istota była i tak za duża. Wciskała się mocno w ściany swojego więzienia, a nierówne ostre krawędzie wrzynały się boleśnie w jej ciało.

Klatka obróciła się powoli przodem do Treya. Teraz był znacznie bliżej, mógł więc już dostrzec twarz więźnia - kobiety, ogromnej Amazonki, wzrostem i rozmiarami dorównującej jemu samemu. Była zakneblowana - twarz i usta obwiązano jej skórzanymi pasami - nie zabronili jej jednak patrzeć i teraz spoglądała na niego z góry, a jej lodowatobłękitne oczy, pomimo strasznej udręki, której musiała doświadczać, zdawały się uśmiechać, błędząc po twarzy wilkołaka.

Zawisała jakieś sześć metrów nad ziemią, gdy skończył się łańcuch. Spojrzał na jego koniec. Mógł go zaczepić na pachołku, lecz klatka wciąż wisiała zbyt wysoko, aby mógł jej dosięgnąć. Po raz kolejny popatrzył na Amazonkę, nie wiedząc, co dalej robić.

- Będziesz musiał pozwolić jej opaść - odezwał się Charles zza jego pleców.

Trey aż podskoczył zdumiony jego obecnością. Gdy się odwrócił, zobaczył czarnoksiężnika, który stał jakieś dwa metry za nim i wpatrywał się w klatkę.

Po chwili Charles spojrział na wilkołaka, a wyraz jego twarzy się zmienił.

- Musimy ją wydostać - powiedział - a nie uda nam się to, jeśli będzie dyndała nad nami jak jakaś meksykańska piniata. Opuśćmy ją, Treyu.

- Spójrz na te metalowe pręty, już jej się wbity w ciało. Jeśli pozwolimy jej spaść, możemy ją zabić.

Czarodziej długą chwilę wpatrywał się w klatkę, a gdy znów spojrział na Treya, wilkołak uzmysłowił sobie, co wyraża jego oblicze - malował się na nim strach.

- Treyu, jeśli jest tak, jak się domyślam, to jej nie zabijemy. Opuść ją. Pozwól mi zbliżyć się do niej jeszcze trochę, żebyśmy mogli otworzyć klatkę najszybciej, jak się da, bo spodziewam się, że narobimy piekielnego hałasu, a wtedy rozpęta się tu piekło.

Trey patrzył, jak Charles staje tam, gdzie miało opaść wiszące więzienie.

Potem spojrział na koniec łańcucha, który trzymał w dłoni, odetchnął głęboko i go puścił.

Łódź pruła spokojną wodę, zostawiając za sobą ślad w kształcie litery V, który powoli się rozmywał i wygładzał na przepastnej powierzchni Oceanu Indyjskiego.

Martin siedział sam na dziobie wpatrzony w zachodzące słońce uczone horyzontu, jakby bardzo chciało podarować ziemi jeszcze kilka promieni, zanim zanurzy się w nocy. Warkot silnika działał na niego niemal hipnotycznie, co w jakimś stopniu razem z kołysaniem łodzi pozwoliło mu zdusić w sobie panikę, która wzbierała w nim przez cały dzień. Wciąż był przekonany, że Philippa zamierza go zabić, lecz zarazem trochę uspokojony, postanowił więc wykorzystać tę wycieczkę na rozmyślania i przy okazji spróbować zrozumieć wściekłość, jaka wezbrała w jego córce.

A może wcale nie chodziło o nią? Może przecucie, że ma to coś wspólnego z jego pracą, że w grę wchodzi zakłęcie czy coś w tym rodzaju - było słuszne? Miał wręcz nadzieję, że tak było, w przeciwnym razie oznaczałoby to jego porażkę jako ojca. Oznaczałoby, że Philippa jest wściekła na cały świat, a na niego w szczególności, i że uznała przemoc za jedyne możliwe rozwiązanie swojego problemu. Przypomniawszy sobie artykuły, jakie czytał, o amerykańskich nastolatkach, którzy dopuszczali się masakry. Pamiętał też, że w każdym takim przypadku sprawca zbrodni odbierał sobie potem życie, powziął więc postanowienie: nie dopuści do tego, żeby stracić córkę! Powie Philippie, że domyśla się jej zamiarów i że znajdzie sposób, by ją powstrzymać i uratować ich oboje.

Mimo wszystko poczuł się okropnie zaskoczony, gdy usłyszał, jak dziewczyna

zwraca się do sternika, żeby wyłączył silnik. Płynęli dopiero dziesięć minut i wyspa Curieuse - miejsce ich przeznaczenia - majaczyła daleko przed nimi w zapadającym zmroku. Około czterystu metrów od nich kołysała się zakotwiczona inna łódź, dużo większa od tej, którą płynęli, i gdy Martin odwrócił się i popatrzył na córkę, zobaczył, że przygląda się podejrzliwie właśnie tamtej łodzi. Wyczuwszy na sobie wzrok ojca, spojrzała na niego, lecz wyraz jej twarzy nic mu nie powiedział.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy? - zapytał.

Philippa milczała i tylko ponownie spojrzała na dużą łódź. Pokład był pusty, światła wygaszone, co sugerowało, że załoga zacumowała ją na noc i w mniejszej odplynęła na wyspę.

- Pytałem, dlaczego się zatrzymaliśmy? - odezwał się ponownie Martin trochę łamiącym się głosem.

Philippa zerknęła na niego, a potem jej spojrzenie powędrowało ku dużej osęcie wędkarskiej, która leżała na pokładzie. Podniosła aluminiowy pręt metrowej długości zakończony hakiem i obróciła go powoli w dłoniach. A potem podrzuciła go lekko, jakby sprawdzała wagę przedmiotu.

Tipsbury poczuł, jak jego serce przyspiesza. Wstał z wyciągniętymi przed siebie rękami.

- Kochanie, odłóż to. Słyszysz mnie? Odłóż to natychmiast.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Niespodziewanie obróciła się szybko na pięcie i zatoczyła osęką szeroki łuk, na którego końcu znalazła się głowa sternika Seychelloisa. Zaatakowany krzyknął, zaskoczony nieoczekiwaną napaścią, i spojrzał na dziewczynę przerażony. Philippa pociągnęła mocno za koniec osęki,

wbijając jej ogromny hak w ciało mężczyzny. Przyglądała się spokojnie z lekko

przekrzywioną na bok głową, jak sternik wstaje i kołysząc się wraz z łodzią, chwyta za metalowy pręt, teraz już śliski, jak usiłuje zacisnąć na nim palce. Z otwartych ust wydobyło się syczące rżenie, a na podbródek wypłynął mu strumień krwi.

Martin patrzył sparaliżowany, jak jego córka się przechyla i ciągnie mężczyznę z całej siły w bok. W końcu ofiara wypadła za burtę i zsunęła się do ciemnej wody.

- O mój Boże! - zawołał głosem, który zdawał mu się zupełnie obcy. - Zabiłaś go.

Zabiłaś tego biedaka!

Philippa odwróciła się w stronę ojca i zmarszczyła lekko brwi, jakby

zdziwiona jego widokiem. Zerknęła do tyłu przez ramię, jakby chciała sprawdzić,

czy sternik na pewno nie przeżył jej ataku i nie wydostał się na powierzchnię,

lecz ten już na zawsze pozostał w ciemnych głębinach. Kiedy znowu

odwróciła się do Martina, bardzo powoli, jej spojrzenie go zmroziło.

Zrobiła krok do przodu i uśmiechnęła się złowrogo, widząc, jak Martin

cofa się z rękoma wyciągniętymi przed siebie w błagalnym geście.

- Proszę...- powiedział. - Proszę, Philippo, musimy porozmawiać.

Potrzebujesz pomocy. Wiesz o tym, prawda? Wiesz, że trzeba ci pomóc?

Śmiech, który wydobył się z gardła jego córki, nie przypominał żadnego z

ludzkich odgłosów, jakie Martin kiedykolwiek słyszał, brzmiało to raczej jak

jęki piły przeciąganej po sękatym drewnie. Jej głos także był nienaturalny:

zimny, mroczny, nie do opisania. Głos, który nigdy nie powinien był wyjść z

ust jego córki.

- Myślisz, że chcę cię zabić? - odezwała się istota, która weszła w ciało

Philippy. - Dlaczego miałbym to zrobić, Martinie? Potrzebuję cię żywego.

Och, tak, jak najbardziej żywego.

Tipsbury cofnął się jeszcze, aż naparł nogami na ciężki kosz piknikowy, który wcześniej zostawił na dziobie łodzi. Przez chwilę rozważał możliwość wyskoczenia za burtę, lecz natychmiast oczyma wyobraźni zobaczył córkę ścigającą go łodzią i wyobraził sobie, jak jego na wpół zanurzone ciało rozrywa śruba.

Podeszła jeszcze bliżej. Nie trzymała już w ręku osęki, ale domyślał się, że nie jest jej potrzebna. Sprawiała wrażenie, że jest zdolna zabić gołymi rękami.

Zatrzymała się jakiś metr przed nim. Martin napiął się, oczekując ataku. Tymczasem ciało jego córki zwiotczało, jakby wszystkie jej mięśnie straciły napięcie.

Zachwiała się niczym oszołomiona kobra, którą wyjęto z koszyka zaklinacza węży. Z obwisłej twarzy patrzyły na niego niewidzące oczy, dwa jeziora wypełnione nicością. Z jej otwartych ust wydobyło się zduszone charczenie, które przeszło w długi urywany oddech. Śmiertelne charczenie.

Ciało Philippy drgnęło nieoczekiwanie, a ramiona, opuszczone dotąd wzdłuż ciała, podskoczyły mimowolnie, co przeraziło mężczyznę, spodziewającego się ataku.

Wciąż wpatrzona w niego niewidzącym spojrzeniem, Philippa otworzyła szerzej usta, rozciągając i powiększając ich owalny wylot, a Martin przypomniał sobie krzyzącą niemo postać z obrazu Edwarda Muncha, wpatrzoną w świat takim samym zimnym i martwym wzrokiem. Dziewczyna zakasłała, krztusząc się.

I wtedy w głębi jej ust ukazał się nekrotrof.

Wijąc się, próbował się uwolnić. Martin patrzył przerażony, jak istota obraca się energicznie, aż nagle ujrzał wykrzywioną wysiłkiem twarz na końcu

podobnego do odwłoku robaka ciała, które sterczało z ust jego córki. Z boku tułowia wystawały małe dłonie pozbawione ramion, a pod nimi tańczyły w powietrzu uformowane w krąg cieniutkie macki zakończone haczykami.

Martin mimowolnie pokręcił głową, jakby jego umysł chciał zaprzeczyć temu, co się działo, gdy tak obserwował potwora wyłaniającego się z ust swego dziecka.

Czarne oczy patrzyły teraz na mężczyznę i odniósł wrażenie, że istota się do niego uśmiecha. Otworzył usta, aby krzyknąć, i tym samym przypieczętował swój los.

Stwór nieoczekiwanie wystrzelił do przodu, pokonując dzielącą ich krótką odległość, i zanurzył głowę w jego ustach. Poczul na wargach małe dłonie, które zaciskały się coraz mocniej, w miarę jak demon wsuwał mu się głębiej w przełyk. Kiedy koniec ciała napastnika wysunął się z ust jego córki, Philippa osunęła się bezwładnie na dno łodzi, wciąż patrząc na niego martwym, niewidzącym spojrzeniem.

„Mój Boże - pomyślał Martin, nie odrywając wzroku od dziewczyny. - Czy ona nie żyje? To niemożliwe!”.

Cofnął się odruchowo i zahaczywszy nogami o kosz, runął na pokład.

Spróbował chwycić demona i wyrwać go z siebie. Zacisnął z całej siły dłonie na podłużnym odwłoku i zaczął ciągnąć. Musiał wydobyć z siebie to coś, żeby pomóc Philippie.

Jedna z macek zatańczyła w powietrzu, po czym wysunęła się i delikatnie dotknęła grzbietu jego dłoni. Martin poczuł dotkliwy ból, jakby został porażony prądem, i z pewnością krzyknąłby, gdyby nie to, że w jego przełyku tkwiła głowa demona. Porażony bólem rozluźnił uchwyt i poczuł, jak stwór wpycha się w jego

gardło nieco głębiej. Krawędzie jego pola widzenia zaczęły się rozmazywać i mężczyzna poczuł, że ogarnia go oszołomienie, tak samo jak w dzieciństwie, gdy zbyt długo wstrzymywał powietrze w głębokiej części basenu. Zaciśnął mocno oczy, czując, jak małe dłonie chwytają się mocno jego tylnych trzonowców i jak demon z ogromnym wysiłkiem wsuwa się głęboko do jego ciała i opada przez przełyk do przewodu pokarmowego.

Spazmatycznie łapiąc powietrze, Tipsbury opadł na plecy. Cały drżał.

Spróbował wstać, lecz zaraz złożył się wpół z bólu, wyczuwając, że coś wije się wewnątrz niego. Z jego ust popłynął cichy jęk, gdy poczuł w swoim wnętrzu serię elektrycznych wyładowań, a zaraz potem doznał uczucia bolesnego cięcia, od którego aż krzyknął, a z jego oczu popłynęły łzy.

Miał wrażenie, że ten ból go zabije; wierząc gwałtownie nogami, skręcał się w agonialnych mękach. A potem nagle ból ustąpił, równie niespodziewanie, jak się pojawił, a jego miejsce zajęło uczucie spokoju, które spowiło mężczyznę niczym ciepły koc, napełniając go przekonaniem, że wszystko będzie dobrze.

Dźwignął się na nogi, rozglądając się gorączkowo, aż jego spojrzenie padło na ciało córki. Poczuł, jak wzbiera w nim bezbrzeżny smutek. Demon w jego wnętrzu próbował zdusić te myśli, lecz nie udało mu się sięgnąć do dna jego uczuć, więc Martin ukląkł i przytulił do siebie Philippę.

Coś podpowiadało mu, żeby podnieść jej ciało i wrzucić do wody. Po raz kolejny przeszył go tak dotkliwy ból, aż na chwilę przestał oddychać. Wstał, wciąż trzymając dziewczynę na rękach. Ze łzami w oczach spojrzał na jej twarz.

A potem wziął głęboki oddech.

Zaciśnąwszy usta, opadł na kolana, dusząc w sobie polecenia wysyłane mu przez demona i ignorując ukłucia bólu, który płynął przez jego ciało. Położył



córkę na pokładzie i pochylił się nad nią. Otworzyła oczy i spojrzała mu w twarz.

- Kocham cię, tato - powiedziała.

Uśmiech, jaki jej posłał, zmienił się w grymas. Chciał odpowiedzieć, lecz ból stawał się nie do zniesienia. Opadł na plecy, pozwalając, by zawładnął nim ostatecznie.

Kiedy znowu się podniósł, nie pamiętał już o istnieniu Philippy. Rozejrzał się i pokręcił głową, usiłując przypomnieć sobie coś, co w jego przekonaniu miało ogromne znaczenie. Poczul w kręgosłupie nieprzyjemne swędzenie, jakby poraził go prąd, i natychmiast o wszystkim zapomniał.

Wiedział, że musi wrócić do willi najszybciej jak to możliwe. Musi skontaktować się ze swoim panem i powiedzieć mu, co planują ludzie...

„Kim, do cholery, jest jego pan?”.

Kolejny piorun przemknął przez ciało Martina, a on zadrżał i otrząsnął się z podobnych myśli. Przeszedł na tył łodzi i pochylił się, żeby pociągnąć za linkę startową. Oparty jedną ręką o obudowę silnika, szarpnął mocno i się uśmiechnął, kiedy mechanizm zakasłał i obudził się do życia. Usiadł i położył dłoń na rumpelu.

Miał już nacisnąć uchwyt gazu, gdy jego wzrok ponownie padł na dziewczynę,

której pierś teraz falowała regularnie. A potem spojrzał na kosz piknikowy, wciąż stojący na dziobie łodzi. Puścił rumpel, wstał i podniósł kosz, krzywiąc się z bólu, który atakował od wewnątrz jego kręgosłup i głowę.

„Ona nie chciała mnie zabić - pomyślał. - Może nie kochała mnie aż tak bardzo, jak bym tego pragnął, ale nigdy by mnie nie zabiła. To ta istota. Istota, która zawładnęła jej ciałem!”. Teraz była w nim, a jego córka nigdy już nie będzie bezpieczna.

Miażdżył go agonalny ból. Wstrzymał oddech i zatoczył się do przodu, niemal

wypuszczając z rąk kosz piknikowy.

Jakaś mała część, która pozostała Martinem Tipsburym, zmusiła jego ciało do wyprostowania się. Ogromnym wysiłkiem woli, na jaki nigdy wcześniej się nie zdobył w całym swoim życiu, zmusił nogi do ruchu i podszedł do burty. Z

wnętrza ciała ostrzeliwała go artyleria bólu, a mózg wrzeszczał, nakazując mu się zatrzymać, lecz jemu w jakiś sposób udało się zignorować atakującą go istotę i

dzięki resztkom człowieczeństwa zmusić swe ciało do posłuszeństwa. Oparty stopą o krawędź nadburcia, wypuścił gwałtownie powietrze, przycisnął do piersi ciężki kosz i wskoczył do ciemnej wody.

Nekrotrof nie docenił Martina. Uznawszy go za słabą i podatną na wpływy osobę, nie przygotował wszystkiego należycie, zanim zdecydował się przejąć nad nim kontrolę. Pospieszył się, chcąc jak najszybciej wrócić do domu i zdać raport swojemu panu. Nie docenił też siły uczuć łączących ojca z dzieckiem. Teraz, uwięziony w ludzkim ciele, opadał na dno morza, i nie miał innego nosiciela, do którego mógłby się przenieść.

Miotał się wściekle w ciele Martina. Próbował przejąć kontrolę i zmusić tę głupią istotę, by puściła kosz i zaczęła płynąć w górę, ku powierzchni. Lecz im bardziej próbował narzucić swoją wolę, tym usilniej człowiek się opierał, zdeterminowany, by odebrać życie i sobie, i jemu. Czuł miażdżący go ze wszystkich stron napór wody i nagle dno oceanu zaczęło się szybko przybliżać.

Wiedział, że znajdują się głęboko pod powierzchnią wody. Przerażony skurczył się, próbując ukryć się we wnętrzu ludzkiej istoty, wciąż wierzył, że jego nosiciel w końcu podda się strachowi i podejmie próbę uratowania się.

Nekrotrof był prawie pewien, że mógłby swojemu ludzkiemu nosicielowi kazać powrócić na powierzchnię, ale wiedział też, że równie dobrze działanie w tej

chwili mogłoby się obrócić przeciwko niemu. Po raz pierwszy w jego długim

istnieniu ogarnął go strach, pomyślał bowiem, że oto może zginąć z rąk tej głupiej, nic nieznaczącej, marnej istoty. Wycofał się daleko i dostroił do myśli człowieka, uczepiony nadziei, że ten jednak wybierze życie zamiast śmierci.

Martin poczuł ulgę, gdy demon wycofał się z jego świadomości. Otworzył oczy i spojrzał na otaczającą go ciemność. Pomyślał o swoim życiu, o wszystkich dobrych rzeczach, jakie mu się w nim przydarzyły, i o tym, co jeszcze chciał zrobić i zobaczyć. Powrócił myślą do Philippy i do szczęśliwszych chwil, które razem spędzili. Przypomniawszy sobie ją jako niemowlę, jak w momencie jej narodzin poczuł, że jego świat jest teraz kompletny. Powiedział córce w myślach, że ją kocha. A potem otworzył usta i wziął potężny haust słonej wody, wypełniając nią płuca i skazując się tym samym na śmierć.

Demon wrzasnął przeraźliwie we wnętrzu człowieka, gdyż poczuł, że ten mu się wymyka. Szybko przejął kontrolę na całym jego ciałem i tym razem nie napotkał najmniejszego oporu. Za późno jednak - nosiciel odszedł już za daleko. Nekrotrof krzyknął ponownie, bo zrozumiał, że pozostanie uwięziony w tym ciele-trumnie, a w końcu i on umrze.

Był to jedyny odważny czyn, jakiego dokonał w swoim życiu Martin. Kiedy śmierć zaczęła go tulić do siebie ciemnymi dłońmi, poczuł, że demon w jego ciele także wije się w agonii.

Martin Tipsbury umarł z wyrazem ponurej satysfakcji na twarzy.

Tom wypuścił w kłębowisko demonów na dole dwa granaty, jeden po drugim. Przed wyjazdem zasięgnął opinii znajomego na temat termobarycznych materiałów wybuchowych, aby się upewnić, że wybrał właściwy oręż do takiej akcji. Przyjaciel opisał mu niewiarygodną siłę wybuchową tej stosunkowo nowej broni i zapewnił go, że jeśli zamierza zabić dużą liczbę wrogów na niedużym obszarze, to nie znajdzie nic lepszego. Granatnik wypluł niewielkie pociski prosto w plątaninę istot cienia, wydając niemal przepraszające kasznięcie, które jednak w żaden sposób nie przygotowało Toma ani Alexy na ogrom zniszczenia, jaki poczynił.

Granaty eksplodowały, w wyniku czego powstał ognisty obłok, który przyjął postać obejmującego ziemię grzyba, niszczącego wszystko w obrębie swojego uścisku. Demony i draugr zostały zagarnięte przez obłok, a fala uderzeniowa rozerwała ich ciała i rozrzuciła je dookoła niczym strzępy mokrej szmaty. W jednej chwili było po wszystkim.

Kiedy wiatr rozwiał resztki dymu, Tom i Alexa spojrzeli na miejsce rzezi.

- Poszło lepiej, niż się spodziewałem - powiedział cicho Irlandczyk.

- Chodź - rzuciła, po czym wstała i ruszyła z boczem prosto do miejsca pogromu.

- A ty dokąd?! - zawołał za nią.

- Chcę coś sprawdzić.

Wstał i poszedł za nią. Z tej strony stok był bardziej stromy i Tom dwukrotnie się poślizgnął i omal nie zleciał głową w dół po trawiastym zejściu, po którym Alexa poruszała się z wdziękiem i pewnością kozicy.

- Alexo, stój! - krzyknął. - Nie tak mieliśmy działać. Naszym zadaniem jest pozostać na posterunku, by osłaniać ogniem chłopaków, kiedy wyjdą. - Zerknął na wejście widoczne po jego prawej stronie w nadziei, że Trey i Charles nie wybiorą akurat tego momentu na ucieczkę z wieży przed pościgiem Kalibana i jego demonów.

Alexa zatrzymała się, ale dopiero na skraju ogromnego kręgu spalonej ziemi, jaki pozostawiły śmiertelne pociski. Patrzyła w dół, marszcząc czoło. Stała tak nieruchomo do chwili, gdy dołączył do niej Tom.

- Daj spokój - powiedział Irlandczyk i chwycił ją za ramię, próbując pociągnąć z powrotem na wzgórze.

- Spójrz.

Tom popatrzył w miejsce, które wskazała.

- Co? - zapytał.

- Nie ma jej tutaj.

Irlandczyk przyjrzał się uważniej. Głazy i mniejsze kamienie zostały rozrzucone na dużym obszarze siłą wybuchu, jaki nastąpił w epicentrum.

Większość z nich była poczerniała i pokruszona.

- Zamieniła się przecież w to, Alexo. Przybrała postać kamienia. A z tego, co widziałem, to zostało roztrzaskane w drobny mak, jak wszystko inne tutaj.

- Nie. Widziałam, jak odchodzi.

- Alexo, nie chcesz mi chyba powiedzieć...

- Wiem, co widziałam. Nie spuszczałam jej z oczu ani na chwilę, a w momencie wystrzału upiór żywiołu spojrział w naszą stronę. Wiedział. Kiedy wystrzeliłeś te granaty, kamienie po prostu zapadły się w siebie. W chwili wybuchu już jej tu nie było.

Tom jeszcze raz spojrział na otwór w czarnej wieży. Wydało mu się, że dostrzega jakiś ruch w wypełniającym go mroku. W pierwszej chwili pomyślał, że to tylko złudzenie, lecz po chwili znowu to zobaczył - ciemność zdawała się poruszać i rozszerzać, jakby rozciągana. Chwycił Alexę za ramię, a ona się odwróciła, żeby sprawdzić, na co patrzy jej przyjaciel. Z wnętrza wydobył się ogromny obłok nietoperzy. Wylały się ich tysiące - utworzyły wartki strumień mroku, zataczając koła nad wejściem, po czym nabrały wysokości i zaczęły kierować się w ich stronę.

Tom spojrział na nadlatującą czarną kolonię.

- Co, do cholery...

- Biegnij! - krzyknęła Alexa i popchnęła go przed sobą, po czym obejrzała się przez ramię, by sprawdzić, jak blisko są napastnicy. - Do samochodu! Uciekaj do auta albo zginiemy!

Pobiegli do pojazdu pozostawionego przez Gwendolinę i mauga. Wciąż stał na drodze za ciężarówką i choć dosięgły go odłamki przyniesione siłą wybuchu, był w jednym kawałku. Wskoczyli do środka przez otwarte tylne drzwi i zatrzasnęli je za sobą w chwili, gdy dopadł ich pierwszy szereg stada nietoperzy.

Wyglądając na zewnątrz, zobaczyli całą kolonię krążącą wokół auta. Stworzenia zaczęły atakować okna samochodu, spadając na nie w pełnej szybkości.

Rozpłascały się na wzmocnionym szkłe, wydając mile dla ucha plaśnięcia, i osuwały się na ziemię. Niektóre zahaczały o karoserię pojazdu, po czym, ranne, skręcały chaotycznie i spadały. Było ich tyle, że wnętrze samochodu wypełniał przeraźliwy łoskot malutkich postaci rzucających się na nadwozie, zdecydowanych za wszelką cenę zniszczyć ludzi. Niektóre przesuwały się w górę maski,

odpychając się skrzydłami, jakby to były skórzaste wiosła, i teraz ich szkaradne złowrogie pyski przyciskały się do przedniej szyby, błyskając rzędami białych zębów w wygłodniałych pyskach osadzonych pod czarnymi paciorkowatymi oczami.

- Co to za cholerstwo? - zapytał Tom, nie odrywając oczu od okien.

- Nietoperze Skaleba - odpowiedziała Alexa. - Władca demonów trzymał je, tak jak trzyma się psy, i wypuszcza ł w czasie bitew przed głównymi siłami.

- Wampiry nietoperze?

- Nie... Gdyby tylko były tym, o czym mówisz... Można by je porównać do piranii albo armii mrówek. Potrafią oskubać kogoś z ciała w ciągu kilku minut. Polują w ogromnych koloniach liczących setki tysięcy osobników, które niszczą wszystko, co na swoje nieszczęście znajdzie się na ich drodze.

- A co robią tutaj?

- No cóż, wieża Leroth należała kiedyś do Skaleba. Myślę więc, że cała kolonia została w niej po zniknięciu pana. Pewnie Kaliban pozwala im zostać w wieży i traktuje je jako jeszcze jeden środek obrony. A może po prostu nie potrafi się ich pozbyć. Kto wie?

- Wspaniale - powiedział Irlandczyk, spoglądając ku wieży przez tylne okno. - Jak mamy pomóc uciec bezpiecznie Treyowi i Charlesowi z tymi towarzyskimi maluszkami kręcącymi się nad naszymi głowami? Gdyby wyszli teraz, padliby trupem, nim zdążyliby ruszyć palcem.

Alexa przeszła na siedzenie kierowcy. W stacyjce nie było kluczyków.

Tom patrzył, jak zamyka oczy i zawiesza nad nią dłoń, bezgłośnie

wymawiając jakieś słowa. Kilka sekund później rozległ się warkot silnika.

Dziewczyna spojrzała na niego i skinęła głową. Po chwili popatrzyła przez przednią szybę i na moment włączyła wycieraczki, odrzucając na boki skrzydlate istoty.

- Trzymaj się - powiedziała i wrzuciła bieg. - Odciągniemy je na tyle daleko, żeby nie zagrażały Treyowi i Charlesowi.

- A co potem?

- Nie wiem. Na potem jeszcze nic nie zaplanowałam. - Nacisnęła mocno pedał gazu i samochód pomknął w ciemność islandzkiej nocy.



Klatka spadła na ziemię z ogromnym hukiem i przechyliła się na przednią ścianę, tak że uwięziona w niej istota była zwrócona twarzą do brudnej podłogi.

Charles od razu opadł na kolana i umieścił obie dłonie nad zamkami po bokach klatki.

Trey usłyszał odgłosy dochodzące z wnętrza budynku. Okrzyki zdziwienia szybko przeszły w gniewne wrzaski, gdy strażnicy zorientowali się, że wyjście zablokował jakiś ciężki przedmiot. Wydano stosowne rozkazy i wkrótce potem do uszu wilkołaka dotarł łoskot wyłamywanego drewna. Znowu spojrzął na czarnoksiężnika.

- Pospiesz się, Charles. Mamy poważne kłopoty.

Czarodziej energicznie skinął głową. Po jego twarzy schowanej za maską skupienia spływały kropelki potu. Chwilę później rozległ się metaliczny dźwięk i Charles posłał przyjacielowi triumfujące spojrzenie.

- Otwarte - powiedział.

Trey podszedł bliżej i pomógł Charlesowi podnieść klatkę, po czym wspólnie

opuścili całą konstrukcję na ziemię, uchylając jedną ścianę groteskowego

szkieletu. Nie było sensu zachowywać ciszy, bo strażnicy rąbali drewniane drzwi i należało się spodziewać, że lada moment pozbędą się przeszkody pozostawionej

przez Treya. Istota w klatce zaczęła powoli podnosić się na kolana i dopiero teraz wilkołak zauważył, że jej plecy są pokryte piórami. Ogromne i czarne tkwiły

przyklepione do grzbietu, a gdy postać zaczęła się prostować, niektóre opadły na

ziemię. Trey spojrzął na Charlesa, ten zaś tylko wzruszył ramionami, nie

odrywając wzroku od więźnia.

Wreszcie nieznajoma stanęła wyprostowana. Wciąż odwrócona do nich

plecami pokręciła głową w jedną i drugą stronę, jakby chciała rozluźnić mięśnie karku. Potem odwinęła skórzane pasy okalające jej twarz. Kiedy się obróciła i spojrzała na Treya, ten wstrzymał oddech (zabrzmiało to bardziej jak krótkie szczeknięcie). Wydała mu się piękna. I przerażająca. Mierzyła co najmniej dwa metry wzrostu i miała na sobie zbroję z czarnej skóry, wyraźnie poznaczoną śladami wielu bitew. Jej oczy były zimne i szaroniebieskie - podobne do koloru morza przed burzą - a gdy wilkołak w nie popatrzył, poczuł, że na chwilę padł na niego cień śmierci. Nie sposób było wytrzymać to spojrzenie. Uśmiechnęła się, odsłaniając ostre, spiczaste zęby, jakby specjalnie opiłowane. Duża szrama wiała się od środka jej czoła w poprzek grzbietu nosa i dalej przez usta aż do podbródka.

Jednakże mimo groźnych zębów i szpecącej blizny wydała się Treyowi najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział.

Skinęła im głową.

- Dziękuję ci, Treyu Laporte. Dziękuję ci, Charlesie Henstall - przemówiła głosem zarazem pięknym i strasznym. Trey poczuł, że ten cudowny głos obiecuje śmierć i zniszczenie temu, kto go słyszy.

- Skąd znasz nasze...

Rozległ się trzask drewna. Gdy Trey spojrzał na metalową klatkę, którą zablokował drzwi, zobaczył, że odepchnięta wpada z hukiem na drugą ścianę, a z budynku wybiegają strażnicy.

Cztery demony. Trzy przypominały demony cienia, które miał już okazję zobaczyć. Dwa były uzbrojone w krótkie miecze, trzeci miał w ręku topór, którym - jak się domyślał Trey - rozłupali drzwi. Za to czwarty z przybyszy nie przypominał niczego, co Trey do tej pory widział. Musiał się nisko pochylić, żeby wyjść na zewnątrz, a potem ciężkim krokiem podążył za

towarzyszami. Był to ogromny, paskudnie wyglądający stwór, którego biała skóra zwisała w licznych fałdach. Na jego przygarbionych barkach spoczywała ogromna głowa podobna do łba dzika, z której patrzyły śmigające na wszystkie strony wyłodniałe oczy, osadzone nad wielkim pyskiem. Z górnej szczęki demona wyrastały olbrzymie ciosy, co upodabniało go do szablozębnego zwierzęcia. Uzbrojony był w ciężką kuszę - takie przynajmniej sprawiała wrażenie. Strażnicy szybko wybiegli z budynku, lecz gdy tylko ujrzeli swojego byłego więźnia w towarzystwie wilkołaka i człowieka, zwolnili i dalej posuwali się bardzo wolno.

Na ogromnej przestrzeni rozległ się jakiś głos. Początkowo przypominał cichy szept, to samo słowo powtarzane w kółko. Wydawało się, że płynie z cel umieszczonych w ścianie.

- Moriel... Moriel... Moriel... Moriel... - Szept stał się głośniejszy i brzmiał już jak skandowanie dzieciaków ze szkolnego boiska, zachęcających kolegów do walki.

Kobieta anioł spojrzała na strażników z ledwo skrywanym wstrętem, zanim ponownie odwróciła się do swych wybawców.

- Musicie oddalić się stąd jak najszybciej - powiedziała. - Macie do wykonania ważne zadanie.

- Wątpię, by tamci pozwolili nam tak po prostu odejść - rzekł Charles i pokazał głową na demony. - A poza tym nie możemy cię tak zostawić.

Popatrzyła na skradające się istoty, a jej przecięte blizną usta wykrzywił grymas czystej pogardy.

- Jak myślicie, dlaczego podchodzą tak wolno? Wiedzą, że już są martwi.

Trey spojrzał na dumną postać Moriel i na strażników i wyczuł, że mówiła

prawdę. Wszystkie cztery istoty cienia wyglądały na przerażone i można było

odnieść wrażenie, że tylko jeszcze większy strach przed Kalibanem

powstrzymuje je przed ucieczką.

Moriel odsunęła się trochę od Treya i Charlesa i rozłożyła swoje ogromne

skrzydła. Trey po raz kolejny wstrzymał oddech. Była piękna. Jej skrzydła lśniły, czarne pióra zdawały się przyciągać światło i je odbijać. Demony zatrzymały się na ten widok, anielica zaś znowu przysunęła się bliżej, pochyliła i chwyciwszy Treya i Charlesa w pól, wzbiła się w powietrze, pracując ogromnymi skrzydłami niczym

wielki orzeł odlatujący do swojego gniazda. Zanurzyła się w ciemność, wznosząc

się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie Trey dostrzegł zarys sufitu. Wreszcie skręciła nieznacznie i wylądowała na niedużym podeście, na samej górze kamiennych

schodów.

Ujrzeni tam drabinę, która prowadziła do ciężkiego drewnianego włazu,

umieszczonego w suficie. Moriel wskazała głową na wejście.

- Tędy dostaniecie się do dalszej części wieży. Zachowajcie ostrożność, bo choć

wielu strażników jest na zewnątrz z czarownicą, to wciąż grozi wam

niebezpieczeństwo. Nie liczcie na to, że pokonacie go tutaj, w Leroth. To nikomu

nie może się udać. - Po raz kolejny spojrzała na Treya, a jej wzrok zdawał się

przenikać do dna jego duszy. - Kaliban ma coś, co należało do twojego ojca, coś co mu zabrał, zanim go zabił. Gdy już się tutaj uwinę - jej wzrok powędrował ku

ziemi spowitej w ciemnościach - spróbuję to odzyskać. Należy do ciebie i wampir

nie ma do tego prawa.

- Moriel, ja...

W dole rozległ się okrzyk, a chwilę później usłyszeli trzask nad swoimi

głowami i na całą trójkę spadł deszcz kropel. Na podest opadł bełt z kuszy, który zakreślił się u ich stóp, po czym zginął w mroku. Zamiast grotu zawierał szklaną

fiolkę z jakąś trującą substancją. Trey poczuł, że jego sierść pali się w miejscach, w których zmoczyła ją ciecz.

Anielica spojrzała w dół. Także jej skrzydła płonęły tu i ówdzie.

- Motłoch - syknęła. - Ruszajcie. Szybko, zanim znowu zaatakują. Musicie zmyć z siebie ten kwas, gdy tylko będzie to możliwe. Idźcie. - Skinęła głową i wzbiła się w cuchnące od trucizny powietrze, po czym zaczęła się opuszczać w ciemność, ku demonom.

Trey zwrócił oczy na Charlesa, wpatrującego się w niego z niedowierzaniem. Młodego czarnoksiężnika także spowijały kręte smużki dymu, a w miejscach, w których kwas wyżarł jego ubranie, pojawiły się duże czarne dziury.

- Dawaj, stary. Musimy znaleźć coś, czym zmyjemy to paskudztwo, zanim przeżre nas na wylot. - Przystawił bark do włazu nad ich głowami i pchnął go mocno do góry. Odetchnął z ulgą, kiedy poczuł, że kłapa się unosi. Gdy ogromna drewniana pokrywa opadła z hukiem, Trey pod sadził Charlesa i przepchnął go przez otwór. Następnie sam wspiął się i zamknął za sobą włącz, lecz zanim to uczynił, obejrzał się w nadziei, że raz jeszcze zobaczy Moriel.

Ból bardzo im dokuczał. Wprawdzie uniknęli większej dawki cieczy, ale rany przypominały czarne bulgocące wrzody. Do tego trucizna wciąż się gotowała, śmierdziało przypalonym ciałem i włosami. Nie mając pojęcia, kiedy i czy w ogóle kwas przestanie się wgryzać w ich ciała, spojrzeli po sobie zaniepokojeni.

Wcześniej czarownik próbował zetrzeć żrącą substancję z ramienia ręką i teraz także jego palce pokryły się wybuchającymi pęcherzami.

- Potrzebujemy wody! - zawołał, rozglądając się po pomieszczeniu.

Znajdowali się w czymś, co przypominało duży magazyn. Ściany zakrywały półki, na których złożono najprzeróżniejsze przedmioty i przybory.

Biegali tam i z powrotem, bijąc rękoma po ranach i szukając czegoś, czym

mogliby ugasić pęcherze.

W jednym końcu pomieszczenia zgromadzono całą menażerię wypchanych zwierząt, których pozbawione życia szklane oczy patrzyły na nich ze spreparowanych pysków. Tu i ówdzie trafiali na wysepki pudeł i skrzyń postawionych jedne na drugich, a po swojej lewej stronie Trey zobaczył górę drewnianych krzeseł i innych mebli, które, jak się domyślał, Kaliban gromadził tam między ucztami, jakie wyprawiał dla swych złowrogich kohort.

Charles przeszedł w drugi koniec pomieszczenia. Pod ścianą, przed stojakami z różnymi butelkami wypełnionymi winem, stały dwie ogromne beczki z napisem „Piwo”.

Trey spojrzał niepewnie na czarnoksiężnika.

- Nic innego tu nie ma - rzucił Charles, wzruszając ramionami.

Wilkołak odczuwał coraz silniejszy ból, gdyż kwas przeżarł mu już sierść i skórę. Zdjął beczkę ze stojaka i postawił ją na podłodze, po czym huknął pięścią w wieko. Następnie dźwignął beczkę i podniósłszy ją wysoko, oblał ich od stóp do głów mocno pachnącą brązową cieczą.

Opadli na ziemię, ociekając piwem, i po jakimś czasie poczuli, że ból ustąpił prawie całkowicie. Charles spojrzał na Treya, który był w opłakanym stanie.

Sierść, zwykle budząca podziw, lepiła się do jego ciała. Wyglądał jak zmokły pies.

Naraz Charles zaczął się śmiać. W tych okolicznościach był to odgłos zupełnie nie na miejscu, dlatego Trey odwrócił się do niego ze zdziwieniem.

- Muszę powiedzieć - odezwał się czarodziej, gdy się opanował - że nie jest to najlepszy dzień mojego życia. - Spojrzał na poczerwiałe palce i się skrzywił.

Trey zerknął na niego.

- Tamta istota. Czy naprawdę była aniołem?

Przyjaciel skinął głową.

- To anioł ognia Arel. Niewiele ich zostało. Polowano na nie i mordowano je po Wojnach Demonów. Wspaniała, co? Byłaby jeszcze ładniejsza, gdyby jej tak nie pokieroszowali.

- Niesamowita. Nigdy nie widziałem czegoś równie zdumiewającego. Ale skąd znała nasze imiona? Nasza wizyta tutaj miała pozostać tajemnicą.

Czarodziej wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Tak samo jak nie wiem, dlaczego obaj poczuliśmy potrzebę opuszczenia tamtej klatki na ziemię, nie wiedząc nawet dlaczego. Daj spokój, stary, nie znam wszystkich odpowiedzi. A jeśli chodzi o anioły ognia, to nie znam nawet pytań.

- Anioł - powiedział Trey i pokręcił głową. - Gdy człowiek myśli o nich, to wyobraża je sobie siedzące na białym obłoczku i brzdąkające na złocistej harfie.

Tymczasem Moriel okazała się... przerażająca. Myślisz, że sobie poradzi? Na dole były cztery demony, a ona nie miała broni,

- Czytałem trochę o Arelach i sądzę, że dałaby sobie radę, nawet gdyby były tam sto cztery uzbrojone po zęby demony.

Trey skinął głową. Wyczuwał, że Charles ma rację. Wstał i się otrząsnął, rozchlapując na wszystkie strony drobniutkie piwne krople.

- No, dzięki - rzekł przyjaciel, wycierając oko. - Na pewno nie chcesz jeszcze zadrzeć nogi i mnie obsikać?

Wilkołak wzruszył masywnymi ramionami. Kark i plecy wciąż miał obolałe i wrażliwe, ale przecież jego chroniła przed kwasem sierść, domyślał się więc, jak musi się czuć młody czarnoksiężnik. Wyciągnął rękę do Charlesa i pomógł mu wstać; zauważył grymas bólu na twarzy towarzysza. Wrócił do beczki i podniósł

ją jeszcze raz, po czym podszedł do przyjaciela i wylał na niego resztki piwa.

Obrócił go kilkakrotnie pod strumieniem cieczy i poklepał najbardziej poparzone miejsca.

Gdy skończył, Charles spojrział na Treya i podziękował mu skinieniem głowy.

Trey zaczął szukać drogi na kolejny poziom wieży. Zauważył schody w kącie pomieszczenia, ruszył więc w tamtą stronę, dając czarnoksiężnikowi znak, aby poszedł za nim.

Ten puścił się biegiem i omal nie wpadł na wilkołaka, który zatrzymał się niespodziewanie, wpatrzony w coś, co leżało blisko schodów.

- Co to jest? - zapytał Charles, stając u boku Treya.

W drewnianej skrzynce spoczywały myśliwskie trofea: osadzone na cokołach z czarnego drewna głowy istot, których twarze zastygły na zawsze w krwiożerczym grymasie. Wszystkie należały do tego samego zwierzęcia - ogromne głowy wilków z obnażonymi kłami koloru kości słoniowej, spoglądających złowrogo na świat.

Charles wyczuł złość bijącą od wilkołaka, który stał u jego boku, dlatego wyciągnął rękę i ostrożnie położył dłoń na jego ramieniu.

- Przypomnij sobie, po co tu przyszliśmy, Treyu. Czas na nas. - Oczekał chwilę, a potem ruszył w kierunku krętych schodów. - Chodź - powiedział.

Wilkołak jeszcze raz zerknął na trofea, po czym dołączył do towarzysza.

Wspinali się powoli, pomni ostrzeżeń anioła, gotowi na odparcie ataku za kolejnym zakrętem. Wydawało się, że w miarę jak wchodzą wyżej, robi się coraz chłodniej, co zdziwiło Treya. Zdążali do serca wieży poprzedzani obłoczkami



własnych oddechów.

Wnętrze rozjaśniało jedynie światło wpadające przez wąskie strzelnicze otwory umieszczone w ścianach w regularnych odstępach. Dochodziły z nich ciche jęki wiatru, co niepokoiło obu intruzów za każdym razem, gdy mijali kolejną taką szczelinę. Im wyżej się znajdowali, tym bardziej stawali się nerwowi. W pewnym momencie Charles się zatrzymał i uniósł dłoń, przechylając na bok głowę.

Wydawało się, że stoi tak całą wieczność, usiłując jeszcze raz usłyszeć jakiś dziwny dźwięk. Wreszcie młody czarnoksiężnik pokręcił głową.

- To pewnie tylko wiatr - powiedział i ruszyli dalej, wyężając zmysły do granic możliwości.

Kiedy dotarli na samą górę, drogę zagrodziły im ogromne drewniane drzwi.

Trey chciał spróbować przekręcić wielką metalową obręcz, która pełniła funkcję klamki, lecz Charles położył dłoń na jego ramieniu.

- Wszystko idzie zbyt łatwo. A jeśli to pułapka? Co zrobimy, jeżeli Kaliban czeka za tymi drzwiami?

Trey spojrzał na zmasakrowaną twarz swojego towarzysza i na ślady poparzeń na jego ubraniu i skórze.

- Jeśli uważasz, że poszło nam zbyt łatwo, to aż boję się pomyśleć, czym dla ciebie są trudności. Nie mamy wyboru. Przyszliśmy tutaj po Kulę, musimy więc iść dalej.

Charles westchnął, a obłoczek jego oddechu zawisł przed nim na chwilę, zanim się rozpułynał.

- Masz rację - przyznał. - Przed siebie i coraz wyżej, tak?

Pchnęli drzwi i weszli do środka.

Alexa prowadziła koszmarne. Zaliczyła w życiu tylko sześć godzin nauki jazdy i teraz, zdeterminowana, by odciągnąć nietoperze od wejścia do wieży, zmieniała biegi tak nieudolnie i nerwowo, że - z całej ich trójki - właśnie auto Tom współczuł najbardziej.

Nietoperze podążyły za nimi i ani na chwilę nie przestały atakować okien i karoserii. Irlandczyk dziwił się, że nie rezygnowały i wciąż próbowały - chociaż bezskutecznie - dostać się do środka pojazdu.

Po przejechaniu kilometra zatrzymali się. Wcześniej skręcili z drogi na nieduże pole, co było możliwe dzięki napędowi na cztery koła.

Stwory nadal gromadziły się wokół samochodu, ale ich ataki nie były już takie gwałtowne. Krążyły nieustannie i przypominały ogromną czarną pętlę utworzoną z istot spragnionych krwi.

- I co dalej? - zapytał Tom.

Alexa spojrzała na demony, a potem zerknęła na zegarek, by oszacować, jak długo Trey i Charles znajdują się w wieży Leroth. Odwróciła się do Toma, który siedział z tyłu.

- No? - zachęcił ją. - Mów. Widzę, że coś ci chodzi po głowie. Słucham.

- Owszem, ale to chyba kiepski pomysł.

- No cóż, nawet kiepski pomysł jest lepszy niż żaden. Dziewczyna jeszcze raz zerknęła przez okno, zanim wyjaśniła, o co jej chodziło.

Chyba znam zaklęcie, które załatwiłoby te stworzenia. Jego działanie można rozciągnąć na duży obszar, no i niszczy wszystko, co się tam znajdzie.

- Świetnie! Na co czekamy?

- Jest pewien problem, Tom, a właściwie dwa.

- Jakie?

- Po pierwsze, nigdy wcześniej nie posługiwałam się tym zaklęciem. Myślę, że sobie poradzę, ale będę musiała wykorzystać całą swoją moc.

- Czy narazisz nas na jakieś niebezpieczeństwo? - zapytał Irlandczyk.

- Nie. Jeśli pozostaniemy całkowicie nieruchomi, nic nam się nie stanie.

Rzecz w tym, że to potężne zaklęcie. Dla Charlesa byłaby to pewnie bułka z

masłem, ale ja to nie on. - Uniosła dłoń, by powstrzymać kolejne pytanie

przyjaciela. - Wierzę jednak, że sobie poradzę.

Mężczyzna skinął głową.

- W porządku. To pierwszy problem. A drugi?

- Żeby rzucić czar, musimy wysiąść z samochodu.

Tom zaklął pod nosem.

- To jeszcze nie wszystko. Mogę zacząć inkantację w aucie i dojść do punktu, w którym tylko będę musiała stąd wyskoczyć i dokończyć formułę. Tyle że nie dam rady, jeśli zostanę zaatakowana. Tak więc musiałbyś wysiąść pierwszy i odciągnąć nietoperze jak najdalej, a potem całkowicie znieruchomieć - choć będą się na ciebie rzucały. Wtedy je zabiję.

Tom wyrzwał przez okno. W tym samym momencie jeden z małych

napastników rzucił się na szybę, zawisł na niej, a po chwili opadł na ziemię.

Mężczyzna odwrócił się do Alexy i wydał usta.

- Pożyczę od ciebie tę pikowaną kurtkę i zarzucę ją sobie na głowę. Rąk i nóg nie da rady osłonić. Trudno. - Wzruszył ramionami i zrobił dzielną minę. -

Zaczynamy.

Alexa zamknęła oczy i zaczęła recytować magiczną formułę. Tom zapiął ubranie pod samą szyję i położył sobie na ramieniu kurtkę Alexy, aby móc nią potem szybko nakryć głowę. Wziął głęboki oddech i spojrzał na dziewczynę. Wcześniej ustalili, że gdy dziewczyna uniesie lewą dłoń, on otworzy drzwi i wyskoczy. Miał odbiec od samochodu na jakieś dziesięć metrów, a potem opaść na kolana i skulić się na ziemi.

Słuchając zaklęcia, Tom pomyślał, że jest ono w języku, którego już od dawna nikt nie używa, bo nie było w nim ani jednego słowa, które choć trochę przypominałoby ludzką mowę. W aucie robiło się coraz goręcej. Wydawało się, że źródłem ciepła jest Alexa, która intonowała zaklęcie bezbarwnym, ochryplym głosem.

Wreszcie zamilkła. Wzięła głęboki oddech i zatrzymała powietrze w płucach. Przez chwilę siedziała zupełnie nieruchoma, z zamkniętymi oczami, a potem uniosła lewą dłoń i zgięła lekko koniuszki palców.

Tom także zaczerpnął powietrza i szarpnął za klamkę. Wyskoczył z samochodu najszybciej jak potrafił, wsuwając dłonie do rękawów kurtki, i popędził przed siebie z brodą przyciśniętą do piersi.

Nietoperze dopadły go już po kilku krokach. Wydawało się, że cała kolonia zebrała się wokół niego, gdy próbował przedrzeć się przez ich gąszcz. Trzy zaatakowały jego twarz, jeden przywarł do policzka, inny zatopił zęby w grzbiecie nosa, a jeszcze jeden, sądząc po krwi spływającej na oko Toma, uraczył się kawałkiem jego brwi i teraz zabiegał o dokładkę.

Po jakichś piętnastu krokach Irlandczyk opadł na kolana. Zerwał z twarzy trzy nietoperze i zakrył głowę kurtką Alexy na tyle, na ile to było możliwe. Niestety, plecy i nogi miał zupełnie odsłonięte i czuł, jakby na tych częściach jego ciała

żywiła się w tej chwili cała kolonia nietoperzy.

Ból był bardzo dotkliwy. Doświadcza! go w tysiącu miejsc, a w żaden sposób nie mógł się bronić. Miał ochotę zacząć młócić ramionami, żeby zrzucić z siebie atakujące stwory, ale wiedział, że musi pozostać nieruchomy - całkowicie nieruchomy.

Te dziewięć czy dziesięć sekund trwało całą wieczność.

Alexa wysiadła z samochodu zaraz po Tomie. Nietoperze zignorowały ją, skupione na biegnącej ofierze, która w tak głupi sposób sama im się wystawiła. Czarodziejka odwróciła się w stronę demonów, oczy wciąż miała zamknięte i wstrzymywała oddech, mimo że jej serce gwałtownie dopominało się dopływu tlenu dla ożywionych adrenaliną mięśni.

- Iglaron ashnaffen zogren Atall. Ishnok skim'zath orok MEHAN!

Uniosła powieki, nie ważąc się nawet oddychać. Przez jedną straszną chwilę sądziła, że zaklęcie nie zadziałało, gdyż nietoperze wciąż atakowały Toma.

A potem zamieniły się w pył.

Po prostu wybuchaly, obracając się w obłoczki czarnego pyłu, który opadał powoli na ziemię. W jednej chwili zginęły ich tysiące.

Alexa zrobiła krok, by sprawdzić, jak bardzo ucierpiał Tom, lecz nagle świat wokół niej zgasł i osunęła się na ziemię.

Po dłuższej chwili Tom uniósł głowę. Ani śladu nietoperzy. W rzeczywistości nie zobaczył niczego poza irytującym pyłem, który wdzierał się do nozdrzy, prowokując go do kichania.

Powoli dźwignął się na nogi i aż zamrugał z bólu. Krwawił z licznych ran.

Po jego ciele przebiegł dreszcz i natychmiast podziękował swojej szczęśliwej

gwieździe za to, że wciąż żyje.

Odwrócił się do Alexy, by jej pogratulować, i wtedy ujrzał ją leżącą przy

aucie. Nie zważając na ból, ruszył w stronę przyjaciółki. Przyklęknął i

sprawił, czy oddycha; z ulgą wyczuł na jej szyi słaby, ale miarowy puls. Wziął ją na ręce i wsunął delikatnie na tylne siedzenie samochodu.

Zacisnął zęby i z grymasem bólu na twarzy zajął miejsce kierowcy, nie zważając

na zmasakrowane plecy.

Zerknąwszy jeszcze raz na Alexę, otarł krew z oka, wrzucił bieg i zawrócił,

kierując się do wieży Leroth.

Pierwszy z demonów spojrział z niedowierzaniem na wnętrzności, które wypłynęły z ogromnej rany wyszarpanej w jego brzuchu pazurami Treya. Opadły na podłogę, kołysząc się niczym obrzydliwe wahadło ociekających krwią i parujących bebechów, a zaraz potem dołączyła do nich reszta ciała, w którym wcześniej się znajdowały. Wilkołak obrócił się błyskawicznie, by zaatakować drugiego demona, lecz zobaczył, że ten już padł na ziemię bez życia.

Spojrzał na Charlesa, ten zaś tylko wzruszył nonszalancko ramionami.

- Słabe serce - wyjaśnił. - Chodźmy, Treyu.

Pobiegli korytarzem, trzymając się razem. Kiedy dotarli do otwartych drzwi po lewej stronie, zwolnili, by zajrzeć do środka. Pokój wypełniała atmosfera śmierci. Kamienna podłoga lśniła od krwi, wciąż wilgotnej i lepkiej, a wszystkie meble, jakie wcześniej się tam znajdowały, zostały kompletnie zniszczone i rozrzucone po całym pomieszczeniu.

- Tu pewnie przywrócili do życia draugra – zgadł czarodziej. Wnętrze wypełniał zapach śmierci, dlatego Trey rozejrzał się gwałtownie, niemal pewien rychłego ataku istot cienia.

Pokój był bardzo skromnie wyposażony. Nieliczne meble zepchnięto pod ściany pokryte długimi starymi gobelinami, między którymi zainstalowano wymyślne światła. Charles wszedł głębiej, stąpając po mokrej od krwi podłodze. Zamknął oczy i przez kilka sekund stał zupełnie nieruchomo. Potem odwrócił się do Treya i pokręcił głową.

- Tu jej nie ma. Kula tu była, ale już jej tu nie ma.

Opuścili pobojowisko i poszli dalej korytarzem. Świadomi, że są coraz bliżej

tego, po co przybyli, poruszali się szybko, nie próbując się maskować, tak jak to robili do tej pory.

Ujrzeni dwoje drzwi oddalonych od siebie o kilka metrów. Gdy podeszli bliżej, Charles położył dłoń na ramieniu Treya, a wówczas wilkołak zwolnił i spojrzał na niego.

- O co chodzi?

- Kaliban. Jest gdzieś blisko. Wyczuwam go.

Trey spojrzał w mrok korytarza. Poczł dreszcz na myśl, że gdzieś niedaleko czai się wampir otoczony przez swoje sługi. Dotarli do tego miejsca względnie łatwo... po drodze napotkali tylko dwóch strażników... W głowie kotłowało mu się od spekulacji. Czy to część planu Kalibana? Czy zamierza zwabić ich do wieży, uspić czujność, a potem schwytać w pułapkę? Ale później pomyślał o Moriel.

Wampir z pewnością nie pozwoliłby im uwolnić anioła ognia. Trey chciał wierzyć, że dostali się tak wysoko niezauważeni i że tylko strach uniemożliwia im zrobienie tego, po co przysli. Zrobił krok do przodu.

- Które drzwi, Charles? - zapytał. Zerknął na towarzysza, a potem w mrok korytarza.

Czarnoksiężnik wziął głęboki oddech, a jego oczy odpłynęły w tył głowy.

Kiedy znowu spojrzał na Treya, jego twarz wyrażała wahanie.

- Charles, które? Szybko!

- Pierwsze - powiedział wreszcie mag.

- Na pewno?

- Pierwsze - powtórzył nieco pewniejszym głosem.

Wilkołak ruszył przyklejony do ściany, wtopiony w ciemność. Gdy znalazł się przy drzwiach, zacisnął dłoń na ciężkiej metalowej klamce i znieruchomiał na moment, po czym odwrócił się do Charlesa i skinął głową, by dodać mu



odwagi. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Nie wiedział, czego się spodziewał, ale na pewno czegoś innego. Pokój wydawał się całkiem normalny - duży, z ogromnym biurkiem zarzuconym manuskryptami i książkami oraz półkami pełnymi książek. Te, które się nie zmieściły, ułożono na podłodze w stosach przypominających ogromne kopce termitów. Trey zobaczył na biurku słój podobny do tych, jakie dawniej widywał na lekcjach biologii, i gotów był przysiąc, że gdy wchodzili do pokoju, pomarszczony, podobny do płodu eksponat zanurzony w płynie odwrócił się, żeby na nich spojrzeć. Teraz unosił się nieruchomo, wpatrzony w intruzów niewidzącymi oczami.

Zamknęli za sobą drzwi.

- Jest tutaj - odezwał się Charles. - Kula jest gdzieś w tym pokoju.

Zaczęli szukać, co nie było łatwe ze względu na panujący tam bałagan, a i oni działali chaotycznie, zrzucając papiery i wysypując zawartość szuflad na wolne miejsca na blacie i na podłodze, gdzie mogli wszystko dokładnie przejrzeć.

W pewnym momencie Trey zatrzymał się i wyprostował, spoglądając na Charlesa, a przyjaciel odwrócił się, wyczuwając, że wilkołak chce mu coś powiedzieć.

- Jakie to jest duże? - zapytał. - Szukam Kuli Mynora, a nie mam bladego pojęcia, co to jest ani jak wygląda.

Czarodziej uśmiechnął się i wrócił do przeszukiwania szuflad.

- Jest mniej więcej wielkości piłki tenisowej - wyjaśnił. - Z wyglądu nic nadzwyczajnego, zwykła kula z ciemnego szkła.

Trey ponownie spojrzął na biurko. Ostrożnym ruchem podniósł jakąś kartkę i

pokazał Charlesowi coś, co wcześniej wziął za przycisk do papieru.

- Coś takiego? - Zrobił krok do tyłu, jakby spodziewał się, że Kula uruchomi jakiś alarm.

Czarnoksiężnik wyprostował się i spojrzał w miejsce, które pokazywał Trey.

Szklana kula spoczywała na małym stojaku umieszczonym na okrągłej wytartej płycie. Charles się rozpromienił. Podeszedł i stanął u boku towarzysza, po czym sięgnął po lup.

- Cholera, Treyu Laporte, jesteś wielki! - rzekł i ruszył do drzwi, popychając przed sobą wilkołaka. Wyciągnął rękę, żeby nacisnąć klamkę...

Powietrze za nimi zadrżało i stężało.

Rozległo się przeciągłe westchnienie, jakby uchylono wieko szczelnie zamkniętego sarkofagu, a Trey poczuł w sobie nieprzyjemne uczucie przyciągania.

Obrócił głowę, by zlokalizować źródło nowego doznania, i aż drgnął i zmrużył oczy oparzony gorącym powietrzem.

W pokoju pojawiła się przygarbiona postać czarownicy. Stała odwrócona do nich plecami, a jej ciałem wstrząsały konwulsje. Po dłuższej chwili powoli się wyprostowała i podeszła do biurka, by znaleźć jedyną rzecz, która mogła uśmierzyć jej ból.

Charles wepchnął Kulę w ręce Treya i spojrzał wilkołakowi w oczy.

- Biegnij - powiedział. - Nie czekaj na mnie i nie próbuj mi pomagać. Po prostu biegnij. Teraz!

Wiedźma odwróciła się do nich, jakby usłyszała wymawiane w myślach słowa.

Trey spojrzał na artefakt, który ścisnął w dłoni. W jego wnętrzu coś wirowało i pływało, jakby ożywione własnym życiem. Przysunął Kulę bliżej twarzy, żeby...

- BIEGNIJ! - zawołał Charles, wytrącając Treya z chwilowego otumanienia.

Otworzył drzwi i wypchnął wilkołaka na korytarz, używając całej swojej siły, po czym zatrzasnął je za przyjaciela.

Gwendolina wrzasnęła z wściekłości i cisnęła pierwszą ognistą kulą.

Charles był gotowy. Całe życie czekał na ten moment - by zmierzyć się z przeciwnikiem równie silnym jak on. Lata, które poświęcił na zgłębianie tajników sztuki i zbieranie mocy u boku ojca, doprowadziły go do tej chwili.

Wierzył, że potrafi stawić czoła wiedźmie. Ale gdy odparł pierwszy atak, poczuł jej pierwotną moc. Spodziewał się, że będzie wyczerpana, pozbawiona energii po walce z draugem. Jednak nie docenił tego, jak potężna stała się po przybyciu do Otchłani. Kiedy więc poczuł bijącą od niej, niczym żar ognia, mroczną złowrogą siłę, na chwilę się zawahał, czy na pewno jest wystarczająco dobry, by ją pokonać.

Czarownica wyprostowała się, gdy tylko wyczuła przy drzwiach obecność intruzów, i w jednej chwili zapomniała o potwornym bólu, który przeszywał jej ciało. Patrzyła, jak młody czarnoksiężnik (wyczuwała w nim potężną moc)

wkłada Kulę w rękę wilkołaka, i od razu się domyśliła, kim są ci dwaj i po co tu

przyszli. Zdawała sobie sprawę, że nic nie zdziała, jeśli nie odzyska Kuli, dlatego zebrała w sobie wszystkie siły i przypuściła atak. Za wolno - towarzysz likantropa wypchnął go za drzwi. Gwendolinie pozostało jak najszybciej uporać się z

czarownikiem, a potem dopaść wilkołaka, zanim stąd ucieknie.

Z twarzą zmienioną w szkaradną maskę wściekłości posłała ogromną ognistą

kulę w człowieka, który zagradzał jej drogę. Nawet nie mrugnął. Odparował

zaklęcie, a pokój wypełniło światło tak jasne, że oboje odwrócili głowy, gdy

płonący pocisk wybuchł pomiędzy nimi. Kiedy znów popatrzyła na Charlesa,

napotkała zuchwałe spojrzenie, jakiego od dawna nie widziała. Przekonana, że poradzi sobie z kimś tak młodym, uśmiechnęła się, już sobie wyobrażając jego klęskę.

Stali naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem, a potem niemal jednocześnie unieśli dłonie; powietrze między nimi zgęstniało i zamigotało niczym plama wrzącej energii.

Mimo potwornego wycieńczenia Gwendolina wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Spowita trzaskającą i wirującą magią, która teraz wypełniała pokój, wiedziała wszystko, co potrzebowała wiedzieć o swoim przeciwniku. Jego dotychczasowe życie było wplecione w otulającą ich moc, widoczne jak na dłoni (on tak samo postrzegał jej życie i potęgę) - znała i jego mocne strony, i jego słabości. Dostrzegła, jak się zdrygnął, gdy zupełnie porzuciła swoją ludzką powłokę, i z radością wyczuła w nim obawę, że pomimo całego swego przygotowania nie zdoła jej pokonać. Najchętniej zabiłaby go powoli, delektując się zadawanym cierpieniem, ale musiała powstrzymać wilkołaka, zanim ten wydostanie się z wieży.

Był potężnym czarodziejem - najpotężniejszym, jakiego spotkała od dłuższego

czasu - lecz dostrzegła jego słabość. Ten młody człowiek bał się, że czarna magia go pochłonie, jeśli zbyt głęboko się w jej tajniki, i to działało na jego niekorzyść, szczególnie w Otchłani, siedlisku mrocznych istot.

Charles zaczął tracić siły i wiarę w siebie. Gwendolina dostrzegła lęk na jego

twarzy, gdy uświadomił sobie, że tylko odwleka nieuniknione. Zamknęła oczy i

się uśmiechnęła. A potem przywołała całą swą moc i natychmiast poczuła, że i on

szykuje się do uderzenia. Uniósłszy ramiona, wyrzuciła go wysoko w górę.

Czarodziej próbował stawić opór, lecz na próżno. Opuściła go gwałtownie na

biurko i roześmiała się głośno, gdy drewniany blat się roztrzaskał. Młody człowiek spróbował przerwać połączenie między nimi; myślał gorączkowo, a ona wiedziała, że przygotowuje atak ogniem, zawsze jednak wyprzedzała go o krok, odgadując jego zamierzenia i niwecząc kolejne próby natarcia.

W którymś momencie oczy wiedźmy uciekły w tył głowy i zaczęła recytować formułę w prastarym, dawno umarłym języku. Na środku pokoju pojawiła się plama ognia, którego płomienie zaczęły pożerać tlen i sprawiły, że skóra przeciwników zaskwierczała od straszego gorąca. Gwendolina z łatwością ponownie podniosła Charlesa i zawiesiła go nad płonąca strefą, obserwując, jak się wije i bezskutecznie próbuje uwolnić.

Uznała jednak, że młodzieniec nie może umrzeć zbyt szybko.

Uniosła go jeszcze wyżej, bo w jej wypaczonym umyśle pojawiła się nagle cudownie szkaradna myśl. Gdy już odzyska Kulę Mynora, użyje jej razem z

Buławą Skaleba i przywróci tego człowieka do życia. I dopiero wtedy zabije go

tak, jak na to zasłużył, zadając mu męki powoli, bardzo powoli, dopóki jej się nie znudzi. A potem pozbawi go głowy i nabije swoje trofeum na metalowy kołek,

osadzony w ścianie pokoju właśnie w tym celu.

Z ponurą satysfakcją obserwowała młodego czarodzieja, który świadomy jej planów skierował spojrzenie ku kołkowi. Wiedziała, że Kaliban będzie chciał, by dostarczyła mu likantropa, co też chętnie uczyni - wilkołak ani trochę jej nie interesował.

Zadowolona z pomysłu zaczęła powoli opuszczać Charlesa do ognia.

Raptem drzwi otworzyły się gwałtownie i Gwendolina kątem oka dostrzegła niewyraźną postać wilkołaka sunącego w jej stronę z wyciągniętymi przed siebie pazurami i wyszczerzonymi zębami, które nieuchronnie zmierzały ku jej gardłu.

Nie przyszło jej do głowy, że likantrop może wrócić z własnej woli. Nie przewidziała też, że jest w stanie zaatakować ją z taką zaciekłością i szybkością.

Poczuła, jak jego szpony rozrywają skórę jej twarzy, i przyłożyła dłonie do ran. Na chwilę zapomniała o wszystkim, koncentrując się na przejmującym bólu, który przeszył jej ciało. Plama czarnego ognia zniknęła, gdy tylko moc wiedźmy przestała ją podtrzymywać, a poparzony Charles runął na podłogę, krwawiąc obficie.

Zęby wilkołaka znalazły się tuż przy czarownicy i z pewnością zatrasnęłyby się na gardle kobiety, gdyby nie udało jej się w porę zasłonić ramieniem. Bestia zacisnęła szczękę na przedramieniu Gwendoliny, przegryzając mięsień, ścięgno i kość. Czarownica wydała z siebie przeraźliwy okrzyk, wołając na ratunek

Kalibana. Przekonana, że umrze, jeśli czegoś nie zrobi, przywołała resztki sił, jakie jej jeszcze zostały. Oczy znowu uciekły jej w tył głowy i odepchnęła od siebie

ogromnego likantropa. Uniesiony w powietrze, uderzył z hukiem w zastawioną półkami ścianę.

Trey zdążył zobaczyć, że zniszczone biurko unosi się, jakby pochwycone przez potężną niewidzialną istotę, i leci w jego stronę. Części potłuczonego mebla uderzyły go z wielką mocą. Częściowo osłonił się przed nimi ramionami, lecz kawałek drewna wielkości nogi od krzesła wbił się w jego bok i wilkołak zawył z bólu. Poczul, że krwawi.

Ale biurko miało tylko odwrócić jego uwagę.

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że czarownica przybrała postać ohydneho demona, prawie dorównującego mu wzrostem i rozmiarami. Wydawał się zbudowany z samych mięśni. Spod grubej czerwonej skóry wyrastały mu ostre rogi, większe i zakręcone zdobiły boki jego głowy. Patrzył nienawistnie na przeciwnika, błyskając punkcikami czarnych źrenic umiejscowionych na tle żółtych tęczówek. Zbliżył się do Treya, muskając czarnym jęzorem zęby stworzone do rozrywania ofiar na strzępy.

Stanęli naprzeciwko siebie pośrodku pokoju. Trey zaatakował gardło bestii, lecz ta odchyliła się do tyłu i zadała mu w udo cios kolaniem, uzbrojonym w róg, pozostawiając ogromną dziurę. Zaraz potem uderzyła wilkołaka pięścią w twarz; zakończone rogami kolce rozorały mu skórę, bluznęła krew. Trey zdołał uniknąć drugiego ciosu i zacisnął zęby na nadgarstku przeciwnika. Demon syknął głośno i wywrócił oczami z bólu. Odskoczyli od siebie, krążąc wokół i szukając okazji do natarcia.

I nagle potwór zaatakował. Skoczył do przodu z opuszczoną głową, błyskawicznie pokonując dzielącą ich odległość: miał zamiar nabić likantropa na swoje mordercze rogi. Ale Trey był szybszy. Długie treningi z flaugiem i innymi demonami poprawiły jego refleks i teraz dostrzegł swoją szansę. Chwycił za róg istoty cienia, ciągnąc głowę przeciwnika w dół i wytrącając go z równowagi, a jednocześnie skręcił ciało, aby uniknąć uderzenia. Drugą łapą złapał za jeden z zakrzywionych rogów, którymi był najeżony grzbiet demona, zebrał całą siłę i podniósł go wysoko. Ten wrzasnął, wierzgając kończynami i usiłując w jakiś sposób dorwać wilkołaka.

Trey wziął głęboki oddech. Starał się utrzymać równowagę i nie zważać na straszny ból w nodze i w boku. Potwór nadal wrzeszczał i nie szczędził wysiłków, aby się uwolnić.

- Wiem, co próbowałaś zrobić z Alexą, Gwendolino - Trey wsączył te słowa bezpośrednio do umysłu czarownicy, zanim cisnął nią o ścianę.

Demon leciał przez chwilę, a potem się zatrzymał na ogromnym metalowym kolcu, który przebił go na wylot. Trey obserwował, jak jego przeciwnik znowu przybiera postać wiedźmy. Patrzyła na zardzewiały szpikulec sterczący z jej ciała, przesuając po nim palcami, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Uniosła głowę i po raz ostatni spojrzała na wilkołaka. W jego wzroku nie było ani odrobiny litości...

Przez chwilę przyglądał się umierającej. Potem pobiegł przez pokój i

przyklęknął u boku Charlesa, który wciąż oddychał, ale znajdował się na krawędzi

życia i śmierci. Trey uniósł ostrożnie ciało nieprzytomnego przyjaciela i ułożył je sobie na barkach, stosując chwyt strażacki: teraz mógł go nieść, mając wolne ręce.

Pomacał dłonią swój ranny bok. Ból był trudny do zniesienia, ale wilkołak wziął

głęboki oddech, usiłując go zignorować. Upewniwszy się, że czarodziej ciągle żyje, zabrał z progu szklaną kulę, którą tam zostawił, i opuścił pokój.

Nie oglądał się za siebie. Pokonał schody najszybciej jak potrafił i wybiegł

przez drzwi, którymi wcześniej wchodzili, nie zachowując specjalnie ostrożności.

Słyszał swój urywany oddech, a na każdym zakręcie spodziewał się spotkania z

oddziałem strażników wysłanych, by go zabić. Płytki oddech Charlesa nie

pozostawiał złudzeń, że czarownik jest w bardzo złym stanie, dlatego Trey

pamiętał tylko o tym, że musi uciec z wieży jak najszybciej, by nie pozwolić

przyjacielowi umrzeć w takim miejscu.

Zatrzymał się dopiero przy drewnianym włączniku prowadzącym do lochu w



dole. Tak bardzo nie chciał znowu zanurzać się w ciemność... Bał się, co demony zrobiły z Moriel. Stał tam, trzymając przyjaciela na barkach, wsłuchany w niespokojne bicie własnego serca, i próbował się zmusić do zejścia.

W tym samym momencie rozległ się przeraźliwy wrzask, który zdawał się emanować jednocześnie ze wszystkich ścian fortecy - Kaliban odkrył ciało czarownicy.

Okrzyk ten skutecznie zmobilizował Treya do działania. Szybko podniósł klapę wjazdu, pozwalając jej opaść z hukiem na podłogę. Skoczył bezpośrednio na podest, nie próbując nawet schodzić po drabinie, a kiedy lądował, zgiął się, tak by Charles nie odczuł za bardzo siły uderzenia. Pobiegnął dalej w ciemność, pokonując po trzy stopnie naraz. Bez przerwy zerkał na boki, jednak wszystkie cele były puste; kraty zagradzające ich wejścia zostały wyrwane, i Trey, choć mijał je bardzo szybko, nie miał wątpliwości, że w tych małych grobowcach nie więziono już żadnych biednych dusz.

Zwolnił na samym dole, by ocenić rozmiar zniszczeń: wszędzie leżały szczątki ciał i kończyny. Te drugie, jak się zdawało, zostały oderwane, a nie odcięte od ciał demonów.

Trey ruszył do drzwi prowadzących na dziedziniec. Niepotrzebnie martwił się o Moriel. Z ulgą zobaczył ogromną klamkę umieszczoną na drzwiach od wewnątrz i już wyciągał rękę, by ją nacisnąć, jednak w ostatnim momencie się powstrzymał. Byli z Charlesem tak blisko wolności, i niczego bardziej nie pragnął, jak otworzyć drzwi i pobiec na koniec dziedzińca. Wiedział, że pokona tę odległość, zanim dopadną go latające demony; potem zostanie im już tylko tunel i portal w zewnętrznym murze. Nie chciał nawet myśleć o tym, co się

stanie, jeśli przejścia już tam nie będzie - przecież Gwendolina mogła zamknąć portal, zanim wróciła do pokoju.

„Daj spokój” - upomniął samego siebie.

A jednak coś go powstrzymywało. Wilkołak poczuł zimny dreszcz na całym ciele. Spojrzał za siebie w głąb lochu, oczekując ataku, wyglądając tego, co było powodem jego niepokoju.

Pokręcił głową i skarcił się w myślach, że zachowuje się głupio i że swoją beczynnością naraża życie własne i Charlesa. Zdecydowanym ruchem otworzył szeroko drzwi i wyszedł na dziedziniec - prosto na Kalibana.

Trey zatrzymał się, nie wierząc własnym oczom, bo nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób wampir znalazł się tam tak szybko. Czyżby śmignął? A może istniała jakaś inna, szybsza droga prowadząca na dół wieży - ta sama, którą przetransportowali draugra?

Kaliban rzucił się na Treya, targany szaloną wściekłością, istny wir kłów i szponów. Jego ciemnoszkarłatne oczy płonęły na tle białoszarej skóry, a otwarte usta przypominały ziejącą nienawiścią paszczę. Wyglądał, jakby zamierzał przegryźć wilkołakowi gardło. Trey dostrzegł to wszystko w ułamku sekundy, niezdolny do obrony przed tak nieoczekiwanym atakiem. Pochylił się, by opuścić Charlesa na ziemię, ale czarownik owinał jedno ramię wokół szyi przyjaciela, a drugie wyciągnął w kierunku przeciwnika. Wyrzucony potężną siłą Kaliban uniósł się, przebierając bezradnie wszystkimi kończynami, lecz pozbierał się niemal w tej samej chwili, w której opadł na ziemię, i zmierzył obu młodzieńców złowrogim spojrzeniem, sycząc głośno. Potem śmignął i pojawił się znowu tuż przed nimi; metalowe ostrza jego protezy błysnęły w powietrzu przy gardle Treya. Wampir wygrał. I nagle zniknął.

Wilkołak odchylił głowę do tyłu, przekonany, że i tak nie uniknie śmierci z rąk władcy wampirów, i wtedy dostrzegł niewyraźny cień, który dosłownie zmiotł Kalibana, w momencie gdy ten miał zadać śmiertelny cios. Cień poruszał się tak szybko, że Trey nie miał szans zobaczyć dokładnie, co się stało. Chociaż i tak wiedział. Obrócił szybko głowę, usiłując podążyć wzrokiem za Moriel, która błyskawicznie się wznosiła. Kaliban próbował uwolnić się z jej uścisku, zadając ciosy w twarz oraz szyję, lecz anielica nic sobie z tego nie robiła.

- Biegnij, Treyu Laporte. Szybko! - Jej głos wypełnił przestrzeń. - Biegnij!

Coś wysunęło się z dłoni Moriel i poleciało w dół, po czym spadło z hukiem na ziemię tuż przed wilkołakiem, który wciąż stał na progu wejścia do wieży.

- Teraz należy do ciebie! - zawołała anielica, przekrzykując rozwścieczonego władcę wampirów. - Biegnij!

Trey popędził do wyjścia wyciętego w skalnej ścianie po drugiej stronie dziedzińca, schylając się tylko, by podnieść to, co zrzuciła Moriel. Przebiegł szybko przez drzwi i ciemnym tunelem pognął ku portalowi na swoich wielkich silnych nogach. Na jego barkach spoczywał Charles bezwładny jak szmaciana lalka.

Był już blisko wyjścia, gdy wydało mu się, że czuje smród spalin. Potrząsnął głową, przekonany, że przestraszony umysł płata mu figle, i ruszył dalej, by pokonać ostatni zakręt. I oto ujrzał coś niewiarygodnego: Tom czekał na nich w samochodzie z włączonym silnikiem. Trey z radością zaczerpnął w płuca duży haust metalicznego smrodu - jeszcze nigdy dotąd nie cieszył się tak bardzo z zapachu spalin. Otworzył tylne drzwi, ale nie wsiadł, tylko położył przyjaciela na ziemi obok samochodu.

- Treyu! - ponaglił go Irlandczyk.

Wilkołak spojrzał na młodego czarownika i przyklęknął przy nim. Przyłożył ucho do jego piersi, lecz nic nie usłyszał. Dotąd się tylko domyślał, ale teraz już był pewien, że jego przyjaciel nie żyje, że umarł, kiedy podjął ostatnią desperacką próbę, by uratować ich przed Kalibanem.

Uniósł głowę i zawył. Długie, zawodzące wołanie odbijało się od ścian tunelu, wypełniając go żalosnym dźwiękiem.

- Treyu! - Głos Toma zdawał się płynąć z mgły. - Treyu, musimy jechać.

Spojrzał na Irlandczyka, a po jego pokrytej sierścią twarzy popłynęły łzy.

- On nie żyje. Charles nie żyje.

- Och, chłopcze. - Tom pokręcił głową i tylko popatrzył za okno, bo tym razem zabrakło mu słów. Gdy po chwili odwrócił się do przyjaciela, zauważył, że jego wzrok wyraża determinację. - Nie zostawimy go tutaj - powiedział. - Połóż go z tyłu, obok Alexy. Musimy się stąd wynosić, aby się nie okazało, że zginął nadaremno. Trey ułożył martwego czarodzieja na siedzeniu, po czym z trudem zajął miejsce obok Toma, który ze zgrzytem wrzucił bieg i popędził w islandzką noc.

Pojechali prosto na lotnisko. Tom odezwał się tylko raz, gdy zadzwonił do Hjelmara, by wydać mu instrukcje.

Trey patrzył w okno. Był zadowolony, że może milczeć, chciał bowiem ogarnąć myślami ostatnie wydarzenia. Siedział obok Toma już w ludzkiej postaci, owinięty w koc, który Irlandczyk wyjął z bagażnika.

- Wszystko w porządku, Treyu - odezwał się cicho przyjaciel. - Już jesteśmy bezpieczni.

Chłopak skinął głową i zerknął na Toma.

- Mocno krwawisz.

- Ty też nie wyglądasz najlepiej, skoro już o tym mówimy.

Po jakichś dwudziestu minutach Alexa odzyskała przytomność. Usiadła ostrożnie i rozejrzała się, obejmując dłońmi głowę.

- Mamy Kulę? - zapytała ledwo słyszalnym szeptem.

- Tak - odpowiedział Trey, wciąż wpatrzony w krajobraz. - Mamy ją.

Dziewczyna wyprostowała się, pojękując cicho. Spojrzała na chłopaka spod zmarszczonych brwi i miała już coś powiedzieć, gdy napotkała wzrok Toma we wstecznym lusterku. Coś poszło nie tak. Popatrzyła na leżącą postać Charlesa.

Domyśliła się od razu.

- Och, nie! - zawołała.

Przysunęła martwe ciało do siebie i położyła głowę czarodzieja na swoich kolanach, głaszcząc jego włosy. Przez jakiś czas w samochodzie słychać było tylko jej szloch.

Wreszcie uniosła oczy.

- Co się stało? - zapytała, oddychając ciężko.

Trey zdał relację z wydarzeń w wieży Leroth; opisał niebezpieczeństwa, jakie napotkali w drodze na górę. Opowiedział, jak Charles wcisnął mu Kulę do rąk i wypchnął go z pokoju, by stawić czoła Gwendolinie, nie wspomniał jednak o straszliwych scenach, jakie rozegrały się potem w komnacie czarownicy. Gdy zapadła ponura cisza, Tom zaczął mówić, co im się przytrafiło. Na koniec Trey opowiedział, jak młody czarnoksiężnik oddał życie, ratując go przed Kalibanem. A potem zamilkł zbyt wzruszony, by dodać coś więcej.

- Myślę, że on wiedział - odezwał się po długiej chwili. - Wykorzystał całą moc, jaka mu jeszcze została, aby rzucić to ostatnie zaklęcie. Potem opadł na mnie, jakby uszła z niego siła życiowa. Myślę, że się tego spodziewał, a mimo to...

Trey wbił wzrok w artefakt, który leżał na siedzeniu między jego nogami.

Zapłacili za niego bardzo wysoką cenę i teraz modlił się, by ich wysiłki nie poszły na marne.

Straszne było to, że poświęcono jedno życie, by zdobyć coś, co mogło uratować życie komuś innemu. Podniósł Kulę i spojrział na nią z bliska, wpatrując się w jej wnętrze. Nagle przyszło mu coś na myśl, odwrócił się więc do Alexy, lecz ona pokręciła przecząco głową.

- Jej moc działa tylko na istoty cienia - powiedziała. - A poza tym Charles nie jest chory, on nie żyje. Nawet gdybyśmy mieli też Buławę Skaleba i posłużyli się oboma przedmiotami naraz, aby przywrócić go do życia, to on nie żyłby już w takim sensie jak ty i ja. Byłby... czymś innym. - Spojrzała na czarownika, którego głowa wciąż spoczywała na jej kolanach.

- Zawieźmy go do domu - powiedział Tom.

Hjelmar i jego ludzie wnieśli trumnę ze zwłokami Charlesa na pokład samolotu. Irlandczyk już wcześniej załatwił niezbędne formalności, omijając drogę urzędową, gdyż przewiezienie ciała wymagałoby tony papierów. Wszyscy troje stali teraz na płycie lotniska, patrząc, jak ludzie Hjelmara wnoszą na pokład ich martwego przyjaciela. Byli pogrążeni w głębokim smutku. Alexa przytuliła się do swych towarzyszy. Godzinę później siedzieli już w samolocie, który zaraz potem wzniósł się w zachmurzone islandzkie niebo.

Trey włożył ubranie, dostarczone mu przez przewidującego Hjelmara.

Zagłębiając się w fotelu, przespał prawie całą podróż i obudził się dopiero pod koniec lotu, gdy wyczuł, że ktoś mu się przygląda. Kiedy otworzył oczy, napotkał spojrzenie Alexy. Wpatrywała się w niego ze smutnym uśmiechem na ustach.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Nie. A ty?

Pokręciła głową, nie odrywając od niego wzroku. Wreszcie zadała mu pytanie, którego tak bardzo nie chciał usłyszeć, choć wiedział, że jest nieuniknione.

- Co się stało z Gwendoliną?

Trey przypomniał sobie, jak straszny koniec spotkał czarownicę i jakim wzrokiem spojrzała na niego w chwili swej śmierci.

- Została zabita. - Zerknął do tyłu, gdzie stała trumna z ciałem ich przyjaciela.

- Chciała zamordować Charlesa - dodał. - Przykro mi, Alexo.

Czekał w napięciu na jej reakcję. Dziewczyna pochyliła się do przodu i delikatnie położyła dłoń na jego kolanie.

- Treyu, ta istota nie była moją matką. Moja matka umarła dawno temu.



Zostawiła tatę i mnie dla Kalibana, ponieważ kochała moc bardziej niż nas. To zabrzmiało okrutnie, ale nie smuci mnie wiadomość o śmierci tej nędznej kreatury, w którą się zmieniła. Mam nadzieję, że spłonie w piekle, choć wydaje mi się, że piekielny ogień trawił ją już od dawna.

Zapadła cisza wypełniona tylko odgłosem silników.

- Opowiedz mi o anielicy - poprosiła w końcu Alexa. - Jak wyglądała?

Trey zastanawiał się przez chwilę, aż wreszcie prychnął, lecz bez większego entuzjazmu.

- Nie przypominała niczego, co się ogląda na czubkach choinek. Była...

wspinała. Piękna i... straszna. Cholernie straszna. Wręcz przerażająca.

Przerażająca i piękna. - Wszystkie te słowa wyszły z jego ust zbyt szybko i teraz spojrzał na Alexę, czując, że się czerwieni. - Uratowała nas - dodał.

- Jak myślisz, co się stało z nią i z Kalibanem?

- Nie wiem. On ją bardzo skrzywdził. Powiedziała, że bym uciekał. I tak

zrobiłem. - Zamilkł na chwilę, powracając w myślach do tamtej chwili. - Ale było coś jeszcze. Coś w wyrazie jego twarzy, kiedy się zorientował, kto go pochwycił.

- Co takiego?

- Przerazenie. Bardzo widoczne. Mimo że okładał ją metalową protezą, jasne było, że śmiertelnie się jej boi.

- Miejmy nadzieję, że strach był uzasadniony i że załatwiła go raz na zawsze -

powiedział cicho Tom, spoglądając znad stołu, przy którym pracował. Jego plecak leżał na sąsiednim krześle. Trey przekazał mu Kulę tuż przed startem samolotu, a

Irlandczyk umieścił ją ostrożnie wewnątrz i teraz obchodził się z nią jak ze środkami wybuchowymi, które tak lubił.

- Tak - rzekł chłopak, spoglądając na przyjaciela.

- Miejmy nadzieję, że tak się stało.

Lecz nadal dręczyły go wątpliwości. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że wampir nie zginął z rąk Moriel. I choć to go przygnębiało, jednocześnie poczuł coś, co podniosło go na duchu po raz pierwszy od chwili ucieczki z Leroth.

Tknęło go przecucie, na które coraz częściej się zdawał, a które mówiło mu, że Moriel wciąż żyje... Że Arel, anioł ognia, przeżył i zdołał uciec.

Trey przypomniał sobie twarz Moriel, kiedy stanęła przed nim i Charlesem,

po tym jak ją uwolnili. Znowu zobaczył jej lodowate oczy i bliznę i usłyszał, jak zwraca się do każdego po imieniu i nazwisku, co wydawało się niezmiernie

oficjalne w tamtej chwili. Widzieli się przecież tylko przez kilka minut, pomimo

to wyczuwał łączącą ich więź. Nie umiał tego nazwać, czuł to jednak wyraźnie.

Spróbował odebrać tę więź wszystkimi zmysłami, a im bardziej się jej poddawał,

tym głębszego nabierał przekonania: tak, był pewien, ona żyje!

- Niedługo lądujemy - powiedział Tom. – Zapnijcie pasy. - Kiwnął głową w stronę niedużej, oprawionej w skórę książki, którą Moriel zrzuciła Treyowi. –

Mam ją schować do plecaka?

Chłopak spojrział na książkę i pokręcił głową.

- Nie trzeba. Dzięki.

Mężczyzna o imieniu Christian wynurzył się na powierzchni oceanu kilka metrów od łodzi. Światło księżyca tańczyło odbite na grzbietach niedużych fal, tworząc nieprzyjemnie zimny kontrast z welwetową ciemnością, z której właśnie wychynał. Ściągnął z twarzy maskę i podpłynął do łodzi nurkowej, po czym wspiął się po drabince na pokład, gdzie zaczął zdejmować butlę i resztę sprzętu.

- Gdzieś się podziewał, do cholery?! - zawołał Maks, podchodząc do niego. -

Ustaliliśmy, że wracamy na pokład, jeśli się rozdzielimy. W co ty się, u licha,

bawisz? I co się stało z twoją bojką sygnalizacyjną? Nie mieliśmy pojęcia, co się z tobą dzieje ani gdzie jesteś.

Christian spojrzał na niego i zmarszczył czoło, jakby nie rozumiał, dlaczego

ten mężczyzna stoi przed nim i krzyczy mu prosto w twarz. Potrząsnął lekko głową i rzucił pas balastowy na pokład. A potem nieoczekiwanie się skrzywił, gdyż poczuł w plecach bolesne szarpnięcie - jak przy porażeniu prądem.

Uśmiechnął się do przyjaciela.

- Przepraszam. Trochę się pogubiłem tam, w dole. Potrzebowałem kilku chwil, żeby odzyskać orientację, a potem zaraz wypłynąłem. Nic mi nie jest.

Nie pamiętał, jak to się stało, że się odłączył od towarzysza. Pływali przy starym wraku, gdy coś przyciągnęło jego uwagę. Popłynął w tamtą stronę, bo pomyślał, że może jest to część zatopionego statku, którą przeoczyli podczas eksploracji w ciągu dnia.

Kiedy dopłynął do tego czegoś, z przerażeniem się zorientował, że to...

Syknął, bo przez jego ciało przeszła kolejna błyskawica bólu.

- Muszę się położyć - powiedział do Maksa. – Czuję się trochę dziwnie, dobrze mi robi, jak odpocznę.

Minał przyjaciela, który patrzył na niego zatroskany, i zszedł na dół, do kambuza.

Miał nieprzyjemne uczucie w żołądku, lecz powstrzymał się i nie popędził na dziób łodzi, by zwymiotować. Zamiast tego opadł na jedno z siedzeń, wyciągnął się na nim i zamknął oczy.

Nekrotrof zablokował wszystkie funkcje ciała swojego nosiciela, które nie były niezbędne do podtrzymywania go przy życiu, pogrążając człowieka w głębokiej nieświadomości. Dzięki temu mógł zrobić to, co było konieczne.

Ostatecznie przetrwał. Musi skontaktować się ze swoim panem i wyjaśnić mu, co się wydarzyło. Kaliban będzie wściekły, że pozwolił się zdemaskować w taki sposób. Co więcej, demon nie dowiedział się, jaki sekret ukrywał Martin Tipsbury, był jednak przekonany, że jego pan da mu jeszcze jedną szansę, by wrócić do organizacji Luciena Charrona.

Zabrał się do przygotowywania swojego nowego żywiciela. Teraz już zachowa rozwagę i nie będzie działał pochopnie. Poczekaj na odpowiedni moment, by się zemścić na tych, do których go wysłano.

Znajdzie sposób, żeby wrócić do świata wampira Luciena Charrona, i pomoże swojemu panu zniszczyć go od środka.

## EPILOG

Alexa odprawiła rytuał, który pozwolił Lucienowi wrócić do zdrowia.

Wyprosiwszy wszystkich z pokoju, zamknęła drzwi, by cofnąć ojca z progu śmierci.

Nie było to łatwe. Nigdy nie studiowała starożytnych tekstów, w których

opisano ceremonię, i bardzo żałowała, że nie ma przy niej Charlesa.

Po trzech godzinach otworzyła drzwi i wyszła z pokoju powolnym krokiem.

Była zlana potem, tak że ubranie przykleiło jej się do ciała, a włosy zwisały długimi strąkami.

Tom i Trey zerwali się z kanapy i podbiegli do niej niczym dwa młode spaniele witające swą panią, wracającą wieczorem do domu. Na widok ich pełnych nadziei twarzy wzruszyła ramionami.

- Pozostaje nam czekać - powiedziała. - Nie wiem, czy wystarczy to, co zrobiłam. Zobaczymy.

Nogi ugięły się pod nią, i pewnie by się przewróciła, gdyby Tom jej nie podtrzymał i nie podprowadził do skórzanej kanapy. Usiadł obok.

- Alexo, wiem, że zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy. Wiem też, że jeśli czyjś wysiłek może mieć jakieś znaczenie, to Lucien... - Popatrzył na dziewczynę i zorientował się, że zasnęła.

Lucien obudził się po dziewiątej wieczorem tego samego dnia. Alexa siedziała na krześle przy jego łóżku, i to właśnie jej płacz ściągnął do pokoju Treya i Toma.

Gdy wpadli do środka, wampir siedział oparty wygodnie o poduszki i uśmiechał się do córki, która trzymała go za rękę i szlochała, wciskając twarz w kołdrę.

Drugą dłonią gładził ją po włosach.

- Thomasie. - Lucien kiwnął głową do przyjaciela, a potem jego płonące spojrzenie skierowało się na Treya.

- Treyu... śniłeś mi się. Oboje z Alexą pomogliście mi przetrwać.

Chłopak skinął głową.

- Cieszę się, że znowu jesteś z nami, Lucienie. Bardzo za tobą tęskniliśmy.

Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała na nich. Na jej czerwonej, lśniącej od łez twarzy pojawił się uśmiech, a kostki palców zbieleły, gdy mocniej ścisnęła rękę ojca.

Rankiem następnego dnia Trey, Alexa, Tom i Lucien poszli pożegnać Charlesa.

Wampir, który doszedł do siebie szybciej, niż ktokolwiek mógł się tego spodziewać, zbył lekarzy machnięciem ręki, gdy zasugerowali, że powinien jeszcze zostać w łóżku.

Ciało czarodzieja spoczywało w dębowej trumnie w domu pogrzebowym. Stali wokół niej, spoglądając na młodzieńca - to on sprawił, że było ich tu czworo, a nie troje. Czworo żałobników, którzy przyszli opłakiwać jego śmierć.

Trey spojrzał na swojego opiekuna. Trudno mu było uwierzyć, że ten wysoki przystojny mężczyzna to ta sama istota, która jeszcze niedawno leżała w łóżku blada i słaba. Żłociste oczy wampira znowu płonęły, a palący się w nich tajemniczy ogień zdawał się bardziej ożywiony niż kiedykolwiek wcześniej, gdy tak przyglądał się nieruchomej postaci w trumnie. Trey patrzył, jak Lucien dotyka policzka Charlesa grzbietem dłoni.

- Dziękuję ci - powiedział. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odwdziżyć się za twoje poświęcenie i pomścić twoją śmierć, Charlesie Henstallu. - A potem odwrócił się i wyszedł.

- Żegnaj, chłopcze - rzekł Tom i położył na piersi Charlesa białą różę.

Trey i Alexa, trzymając się za ręce, pożegnali się z przyjacielem, każde na swój sposób, nie powstrzymując łez.

Czwartego dnia po pogrzebie Charlesa Trey wpadł do biura Luciena. Był tak zaaferowany, że nawet nie zapukał do drzwi. Wampir spojrzał znad biurka i nawet jeśli zachowanie gościa go zirytowało, to nie dał tego po sobie poznać.

Chłopak trzymał w jednej ręce oprawioną fotografię, którą Alexa podarowała mu w prezencie urodzinowym, a w drugiej niedużą książkę, którą anioł ognia rzucił mu w wieży Leroth.

- Wiedziałaś o tym? - zapytał, wymachując książeczką w kierunku wampira.

- Głupie pytanie! Pewnie, że wiedziałaś.

- O czym? - Lucien lekko uniósł brew. Odchylił się do tyłu i splótł palce.

Światło odbijało się od jego łysej głowy, a spojrzenie pilnie śledziło młodego podopiecznego, który stał przed nim, oddychając głęboko, by opanować gniew.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że mam wujka?

Wampir zerknął na przedmioty trzymane przez chłopaka, a potem znowu popatrzył na niego.

- Może lepiej usiądź.

- Nie chcę siadać, Lucienie. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że mam wujka? Czy to on? - Trey pokazał mu zdjęcie. - Ten mężczyzna obok moich rodziców. Czy to mój wuj?

Lucien wstał, powolnym ruchem wyjął fotografię z ręki chłopaka i przyjrzał jej się z bliska. Uśmiechnął się, patrząc na roześmiane twarze trzech osób stojących na tle jeziora.

- W jaki sposób się dowiedziałeś?

- Od ojca - odparł Trey, starając się utrzymać kontakt wzrokowy z opiekunem. - Moriel mi to dała. - Rzucił książeczkę na biurko. - To jego dziennik. Nie miałem pojęcia, co to jest, a poza tym był pogrzeb, więc dopiero dzisiaj do niego zajrzałem.

- Rozumiem.

- Czy on żyje?

- Tak.

Trey czekał cierpliwie, starając się zdusić rozpierający go gniew.

Lucien wziął głęboki oddech i zmarszczył czoło, zastanawiając się, od czego zacząć.

- Nie miałem zamiaru ukrywać tego przed tobą w nieskończoność. Chciałem tylko się upewnić, że... będziesz już rozumiał pewne rzeczy, zanim coś uczynisz.

Wybacz.

- Kim są LG78?

- Ach...

- To wataha wilków, prawda, Lucienie? Tam żyją tacy jak ja, mam rację?

- Nie, Treyu. Nie tacy jak ty. Wuj też nie jest taki jak ty. Jesteś jedyny w swoim rodzaju.

Chłopak milczał, licząc na to, że wampir powie mu coś więcej. Kiedy jednak stało się jasne, że tamten nie jest skłonny do dalszych wynurzeń, stracił cierpliwość.

- Lucienie, ja mam rodzinę! - Trey pokręcił głową z niedowierzaniem. -

Myślałem, że straciłem wszystkich i wszystko, tymczasem okazuje się, że gdzieś tam żyje mój wuj. - Spojrzał na niego. - Myślę, że wiesz, gdzie on jest, prawda?

- Tak. I jeśli zechcesz się z nim spotkać, to chętnie ci w tym pomogę...

- Nie - przerwał mu Trey drżącym z gniewu głosem. - Proszę tylko, żebyś mi powiedział, gdzie on jest i jak go mogę znaleźć. Mam własne pieniądze. Sam się wszystkim zajmę, dziękuję ci.

Lucien spojrzał na chłopaka. Chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał



uznawszy, że nie jest to właściwy moment. Sięgnął do szuflady i wyjął z niej arkusz papieru, na którym napisał adres, po czym złożył kartkę na pół i podał ją Treyowi.

- Oto adres twojego wuja. Mieszka w Kanadzie. Jeśli będziesz potrzebował jakiegokolwiek pomocy, daj mi znać.

Trey spojrział na papier i podziękował skinieniem głowy. Potem zabrał fotografię i dziennik ojca i ruszył do drzwi.

- Treyu - zwrócił się Lucien do chłopaka, zanim ten wyszedł - pragnę z tobą porozmawiać przed twoim wyjazdem. Powinieneś wiedzieć pewne rzeczy dotyczące twojego wuja i LG78. Niewiedza może narazić cię na duże niebezpieczeństwo. A poza tym chciałbym prosić cię o przysługę. - Zamilkł, lecz ponieważ chłopak milczał, mówił dalej: - Chciałbym cię prosić, żebyś nie wyjeżdżał od razu, żebyś został tu jeszcze jakiś czas. Mamy wiele do nadrobienia.

Trey spojrział na niego i skinął głową.

- Dobrze - odparł. - Porozmawiamy.

Lucien patrzył, jak Trey wychodzi i cicho zamyka za sobą drzwi. Potem westchnął i sięgnawszy po słuchawkę telefonu, wydał polecenie, aby Tom przyszedł do niego w wolnej chwili. Gdy skończył rozmowę, przez chwilę zastanawiał się nad tym wszystkim, co właśnie usłyszał. Zdawał sobie sprawę z tego, że chłopaka nic nie powstrzyma. Będzie się starał poznać swojego wuja i dowiedzieć się, jaki jest i co mają ze sobą wspólnego. I to było zupełnie naturalne.

Wolałby, żeby nie stało się to w taki sposób. Zdobył zaufanie Treya, a teraz nagle je utracił. Musiał jednak opowiedzieć mu o wuju i o jego grupie, a także o tym, jaką krzywdę wyrządził ojcu chłopaka. Wuj był jak trucizna, a wataha, która

nazwała siebie LG78, stanowiła dla Treya niebezpieczeństwo. Śmiertelne

niebezpieczeństwo.

Ciąg dalszy nastąpi...